

John Boyne

CHŁOPIEC  
NA SZCZYZCIE  
GÓRY

Autor książki *Chłopiec w pasiastej piżamie*

  
Replika



CHŁOPIEC



NA SZCZYZIE



GÓRY



John Boyne

CHŁOPIEC  
NA SZCZYZCIE  
GÓRY

Tłumaczył  
Tomasz Misiak



Tytuł oryginału  
*The Boy at the Top of the Mountain*

Copyright © John Boyne, 2015  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2017  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja  
Joanna Pawłowska

Korekta  
Kinga Zalejarz

Skład i łamanie  
Mateusz Czekala

Projekt okładki  
Mikołaj Piotrowicz

Zdjęcie na okładce  
Copyright © depositphotos.com/fisfra  
Copyright © depositphotos.com/zhuzhu

Wydanie elektroniczne 2017

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej  
Dariusz Nowacki

ISBN: 978-83-7674-837-5

Wydawnictwo Replika  
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo  
tel./faks 061 868 25 37  
replika@replika.eu  
www.replika.eu

*Dla moich siostrzeńców,  
Martina i Kevina*

Część 1  
**1936**

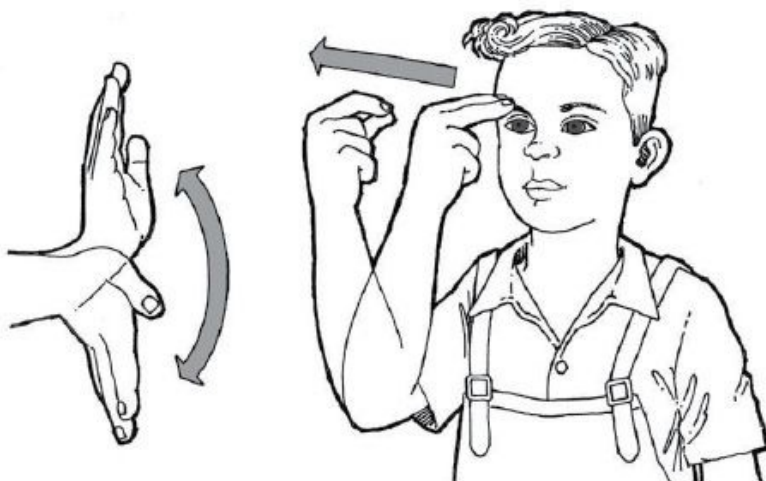
## *Trzy czerwone plamy na chusteczce do nosa*

Chociaż ojciec Pierrota Fischera nie zginął na Wielkiej Wojnie, tej pierwszej światowej, to jego matka Emilie zawsze utrzymywała, że właśnie wojna go zabiła.

Pierrot nie był jedynym w Paryżu siedmiolatkiem, który żył tylko z jednym z rodziców. Chłopiec siedzący przed nim w szkole nie widział swojej matki od czterech lat, odkąd uciekła z komiwojażerem handlującym encyklopediami. A klasowy osiłek, który przezywał Pierrota „Le Petit”, maluchem, bo był bardzo drobny, miał swój pokój u dziadków, nad ich sklepem z wyrobami tytoniowymi przy Avenue de la Motte-Piquet, gdzie spędzał większość czasu, zrzucając z okna wypełnione wodą balony na głowy przechodniów, a potem zapierając się, że nie miał z tym nic wspólnego.

Tylko z matką mieszkał na parterze w tym samym budynku co Pierrot, przy Avenue Charles-Floquet, jego najlepszy przyjaciel, Anszel Bronstein, którego ojciec utopił się dwa lata wcześniej podczas nieudanej próby przepłynięcia kanału La Manche.

Ponieważ urodzili się niemal równocześnie, gdyż dzieliły ich zaledwie tygodnie, Pierrot i Anszel wychowywali się, można powiedzieć, jak bracia bliźniacy, bo jedna z matek zajmowała się obydwoma, kiedy druga potrzebowała się zdrzemnąć. Jednak w odróżnieniu od wielu rodzonych braci, nigdy się nie kłócili. Anszel przyszedł na świat głuchy, więc chłopcy bardzo szybko opanowali język znaków migowych, dzięki któremu łatwo porozumiewali się i wyrażali wszystko, co chcieli powiedzieć, wykorzystując zręczne palce. Stworzyli nawet specjalne symbole dla każdego z nich i używali ich zamiast imion. Anszel określał Pierrota znakiem psa, ponieważ uważał, że jego przyjaciel jest po psiemu dobry i wierny, natomiast Pierrot Anszela znakiem lisa, jako najbystrzejszego chłopca w klasie, wedle powszechnej opinii. Kiedy używali tych swoich migowych imion, ich ręce układały się tak:



Większość czasu spędzali razem, kopiąc piłkę na Polu Marsowym i czytając te same książki. Byli tak blisko zaprzyjaźnieni, że jedynemu tylko Pierrotowi Anszel pozwalał czytać opowiadania, jakie pisywał nocami w swoim pokoju. Nawet jego matka, madame Bronstein, nie wiedziała, że chce zostać pisarzem.

„To jest dobre” — oceniał potem Pierrot, trzepocąc palcami w powietrzu, kiedy już odłożył plik kartek. — „Podobała mi się historia o koniu i ten fragment, gdzie odkrywają złoto schowane w trumnie. Ale to już nie jest takie dobre, jak dla mnie” — kontynuował, odkładając drugi plik. — „A to dlatego, że masz okropny charakter pisma i nie dałem rady przeczytać w niektórych miejscach... No, a to tutaj...” — dodawał, machając trzecim plikiem jak flagą na paradzie. „To przecież w ogóle nie ma sensu. Na twoim miejscu wyrzuciłbym je do kosza”.

„Ono jest eksperymentalne” — wyjaśniał na migi Anszel, który nie miał nic przeciwko krytyce, ale czasami lubił brać w obronę te opowiadania, które jego przyjacielowi podobały się najmniej.

„Nie” — sygnalizował Pierrot, kręcąc głową. — „To po prostu nie ma sensu. Nigdy nie dawaj tego nikomu do przeczytania. Pomyślą, że zwariowałeś”.

Pierrotowi także podobał się pomysł spisywania rozmaitych historii, ale nigdy nie mógł wysiedzieć wystarczająco długo, by przelać słowa na kartkę. Zamiast tego siadał na krześle naprzeciwko przyjaciela i zaczynał mu wszystko opowiadać gestami, a Anszel patrzył uważnie, żeby później zanotować to dla niego.

„Znaczy, ja to napisałem?” — pytał na migi Pierrot, kiedy już dostał kartki i przeczytał wszystko, co na nich było.

„Ty nie, napisałem ja” — odpowiadał Anszel, kiwając głową. — „Ale to twoja historia”.

Emilie, matka Pierrota, rzadko mówiła coś więcej o jego ojcu, ale chłopiec wciąż o nim myślał. Wilhelm Fischer mieszkał z żoną i synem do momentu, kiedy w kilka miesięcy po czwartych urodzinach chłopca, latem 1933 roku, opuścił Paryż. Pierrot pamiętał ojca jako wysokiego mężczyznę, który umiał naśladować odgłosy wydawane przez konia i nosił chłopca na swoich szerokich ramionach, krocząc ulicami i przechodząc od czasu do czasu w galop, co zawsze wywoływało u Pierrota okrzyki radości. Wilhelm uczył syna niemieckiego, aby pamiętał o swoim pochodzeniu, a także robił, co mógł, aby pomóc mu w opanowaniu prostych piosenek, wygrywanych na pianinie, jednak Pierrot z góry wiedział, że nigdy nie będzie w tym tak dobry jak ojciec. Papa grał te ludowe melodie tak, że gościom łzy napływały do oczu, zwłaszcza wtedy, gdy równocześnie śpiewał swoim miękkim, ale pełnym mocy głosem o wspomnieniach i żalu. Wprawdzie zdolności muzyczne Pierrota były skromne, ale rekompensowały to jego zdolności do języków; bez jakichkolwiek problemów, płynnie przechodził od niemieckiego w rozmowie z ojcem do francuskiego w rozmowie z matką. Lubiał też popisywać się przed gośćmi, wyśpiewując *Marsylianke* po niemiecku, a *Das Deutschland Lied* po francusku, co jednak na niektórych słuchaczy nie działało najlepiej.

— Proszę, żebyś nigdy więcej tak nie robił, Pierrot — zapowiedziała mu Maman któregoś wieczoru, kiedy to popis wywołał lekki niesmak u zaproszonych sąsiadów.

— Naucz się czegoś innego, jeśli chcesz występować. Żonglowania. Sztuczek magicznych. Stania na głowie. Czegoś, co nie będzie wymagało śpiewania po niemiecku.

— A co jest złego w niemieckim? — zapytał Pierrot.

— No właśnie, Emilie — odezwał się ze stojącego w kącie fotela Papa, który przesiedział na nim ten wieczór, pijąc zbyt wiele wina, co zawsze doprowadzało go do rozmyślań o niedobrych doświadczeniach, jakie go prześladowały. — Co jest złego w niemieckim?

— Nie masz już dość, Wilhelm? — rzuciła, opierając ręce mocno na biodrach i odwracając się do niego.

— Dość czego? Dość twoich przyjaciół, którzy obrażają mój kraj?

— Wcale nie obrażają — stwierdziła. — Tylko nie mogą zapomnieć wojny, to wszystko. Zwłaszcza ci, którzy stracili w okopach kogoś, kogo kochali.

— Ale to nie przeszkadza im przychodzić do mojego domu, jeść moje wiktuały i pić moje wino.

Wypowiedziawszy te słowa, Papa poczekał, aż Maman wyjdzie do kuchni, po czym przywołał Pierrota do siebie i objął go ramieniem.

— Pewnego dnia odbierzemy, co nasze — stwierdził, patrząc chłopcu prosto w oczy. — A kiedy to zrobimy, pamiętaj, po której jesteś stronie. Mogłeś się urodzić we Francji i możesz mieszkać w Paryżu, ale od początku do końca jesteś Niemcem, jak ja. Nie zapominaj o tym, Pierrot.

Czasami Papa budził się w środku nocy, jego krzyki niosły się w ciemnych i pustych korytarzach mieszkania, a D'Artagnan, piesek Pierrota, wyskakiwał przestraszony ze swego koszyka, gramolił mu się do łóżka i drżąc, przytulał się do niego. Chłopiec naciągał koc aż po uszy i słuchał przez cienkie ściany, jak Maman próbuje uspokoić Papę, tłumacząc mu stłumionym głosem, że nic złego się nie dzieje, że jest w domu ze swoją rodziną i że to był tylko zły sen.

— Ale to nie był sen — usłyszał kiedyś słowa ojca, wypowiedziane głosem drżącym z przerażenia. — To było gorsze niż sen. To było wspomnienie.

Niekiedy Pierrot budził się, aby pobiec do łazienki za potrzebą, i natrafiał na ojca, który siedział przy kuchennym stole, z głową na jego drewnianym blacie, tuż obok opróżnionej i przewróconej na bok butelki, i mamrotał coś sam do siebie. Ilekroć się tak zdarzało, chłopiec zbiegał na bosaka na dół i wyrzucał butelkę do podwórzowego kubła na śmieci, aby Maman nie znalazła jej następnego ranka. Zwykle, gdy wracał na górę, w kuchni nikogo już nie było, bo Papa zdążył dźwignąć się jakoś i odnaleźć powrotną drogę do łóżka.

Ani ojciec, ani syn nigdy nie wspominali o tym następnego dnia.

Pewnego razu jednak wszystko wyszło inaczej, bo Pierrot, zbiegając na dół, poślizgnął się na mokrych zewnętrznych schodach i przewrócił, wprawdzie nie tak pechowo, by zrobić sobie krzywdę, ale wystarczająco, by potłuc butelkę, którą trzymał, a kiedy wstawał, kawałek szkła wbił mu się w podeszwę lewej stopy. Krzywiąc się, wyciągnął go, ale wtedy cieniutka strużka krwi zaczęła mu się sączyć ze

skaleczonego miejsca. Gdy przykuśtykał do mieszkania, aby poszukać bandaża, Papa ocknął się i stwierdził, że to jego wina. Po zdezynfekowaniu rany i starannym jej zabandażowaniu posadził chłopca przy sobie i przeprosił go za swoje opilstwo. Ocierając łzy, powiedział Pierrotowi, że bardzo go kocha, i obiecał, że nigdy już nie zrobi niczego takiego, co mogłoby znów narazić go na niebezpieczeństwo.

— Ja też cię kocham, Papo — powiedział Pierrot. — Ale najbardziej kocham cię wtedy, kiedy trzymasz mnie na ramionach i udajesz, że jesteś koniem. A nie lubię, kiedy przesiadujesz w fotelu i nie chcesz rozmawiać ze mną ani z Maman.

— Ja też nie lubię tych chwil — rzekł cicho Papa. — Ale czasami jest tak, jakby oplątała mnie czarna chmura, a ja nie jestem w stanie się z niej wydostać. Dlatego piję. To mi pomaga zapomnieć.

— Zapomnieć o czym?

— O wojnie. O tym, co widziałem. I o tym, co robiłem — dodał ojciec szeptem, przymknąwszy oczy.

Pierrot przełknął ślinę i niemal z lękiem wykrztusił pytanie:

— A co robiłeś?

Papa smutno uśmiechnął się do niego.

— Cokolwiek robiłem, robiłem to dla mojego kraju — stwierdził. — Potrafisz to zrozumieć, prawda?

— Potrafię, Papo — przytaknął Pierrot, który wprawdzie nie był pewien, co ojciec ma na myśli, ale miał wrażenie, że w ten sposób dowodzi, jaki jest dzielny. — Też zostanę żołnierzem, jeśli to sprawi, że będziesz ze mnie dumny.

Papa spojrział na syna i położył mu rękę na ramieniu.

— Daj mi tylko pewność, że staniesz po właściwej stronie — powiedział.

Potem przez kilka tygodni nie pił. Ale w końcu zaczął, tak samo nagle, jak przestał, bo czarna chmura znowu go oplątała.

Papa pracował jako kelner w pobliskiej restauracji, zniknął z domu około dziesiątej rano, przychodził o trzeciej, aby o szóstej znowu wyjść do pracy, na wieczorną zmianę. Pewnego razu wrócił w złym nastroju i stwierdził, że ktoś, kogo nazywano Papa Joffre, był w restauracji na obiedzie i siedział przy jednym z jego stolików; on zaś wzbierał się przed obsłużeniem go, dopóki pracodawca, monsieur Abrahams, nie powiedział mu, że jeśli tego nie zrobi, to może iść do domu i więcej nie wracać.

— Kto to jest ten Papa Joffre? — zapytał Pierrot, który nigdy wcześniej o takiej osobie nie słyszał.

— On był wielkim generałem podczas wojny — odpowiedziała mu Maman, wyciągając z koszyka stertę świeżo upranej odzieży i kładąc ją przy desce do prasowania. — Bohaterem dla naszego narodu.

— Dla twojego narodu — rzekł z naciskiem Papa.

— Pamiętaj, że ożeniłeś się z Francuzką — rzuciła zdenerwowana Maman.

— Bo ją kochałem — odparł Papa. — Pierrot, czy ja ci kiedyś opowiadałem o tym, jak zobaczyłem twoją matkę po raz pierwszy? To było kilka lat po zakończeniu Wielkiej Wojny, umówiłem się na spotkanie z moją siostrą Beatrix podczas jej

przerwy obiadowej i kiedy przyszedłem do domu towarowego, gdzie pracowała, akurat rozmawiała z jedną z nowych ekspedientek, z takim onieśmielonym stworzeniem, dopiero co przyjętym w tym tygodniu. Wystarczyło, że tylko raz na nią spojrzałem i od razu wiedziałem, że to jest dziewczyna, z którą się ożenię.

Pierrot uśmiechnął się, bo uwielbiał, gdy jego ojciec opowiadał takie historie.

— Otworzyłem usta, żeby się odezwać, ale żadnego słowa jakoś nie mogłem znaleźć. Było tak, jakby mój mózg po prostu przysnął. No, to stałem tam, gapiąc się, ale nic nie mówiąc.

— Pomyślałam, że coś z nim jest nie tak — stwierdziła Maman, uśmiechając się do wspomnień.

— Beatrix musiała szarpnąć mnie za ramię, żebym oprzytomniał — rzekł Papa, śmiejąc się ze swojej własnej głupoty.

— Gdyby nie ona, nigdy nie zgodziłabym się wtedy z tobą wyjść — dodała Maman. — Powiedziała mi, żebym dała ci szansę. Że nie jesteś takim tumanem, na jakiego wyglądasz.

— Dlaczego nigdy nie spotykamy się z ciocią Beatrix? — zapytał Pierrot, który słyszał parę razy imię siostry ojca, ale nigdy jej nie widział, bo nie odwiedzała ich ani nawet nie przysyłała listów.

— Bo nie — uciał krótko Papa, już bez cienia uśmiechu.

— Ale dlaczego nie?

— Zostaw to, Pierrot — mruknął ojciec.

— Tak, zostaw to, Pierrot — powtórzyła jego słowa Maman, również pochmurniejąc. — Bo właśnie tak robimy w tym domu. Odpychamy ludzi, których kochamy, nie rozmawiamy o rzeczach, które są ważne, i nie pozwalamy nikomu nam pomóc.

I w ten sposób było po radosnej rozmowie.

— On żre jak świnia — odezwał się kilka minut później Papa, kucając i spoglądając Pierrotowi w oczy, wyginając palce tak, by udawały pazury. — Znaczy ten Papa Joffre. Jak szczur, który rozgryza pałkę kukurydzy.

Nie było tygodnia, aby Papa nie narzekał na to, że pensję ma marną, że pracodawcy, państwo Abrahams, nim pomiatają, i że paryżanie coraz bardziej skąpią napiwków.

— Właśnie przez to nigdy nie mamy pieniędzy — biadolił. — Takie straszne z nich sknery. Zwłaszcza Żydzi, ci są najgorsi. A stale przychodzą, bo mówią, że madame Abrahams przyrządza najlepiej w całej Europie Zachodniej gefilte fisz — karpia po żydowsku, i latkes — żydowskie placki ziemniaczane.

— Anszel jest Żydem — powiedział cicho Pierrot, który często widywał, jak jego przyjaciel wychodzi z matką do synagogi.

— Anszel jest jednym z tych dobrych — mruknął Papa. — Jak to się mówi, w każdej skrzynce dobrych jabłek znajdzie się jedno zgniłe. I odwrotnie, jedno dobre...

— Nigdy nie mieliśmy pieniędzy — przerwała mu Maman — bo ty wydajesz większość tego, co zarabiasz, na wino. No i nie powinieneś mówić w taki sposób o naszych sąsiadach. Pamiętasz, jak...

— Ty myślisz, że ja to kupiłem? — wtrącił pytanie, biorąc butelkę i obracając ją tak,

żeby pokazać etykietę, tę samą, jaką miało wino serwowane w restauracji. — Ta twoja matka bywa czasami strasznie naiwna — dodał po niemiecku, zwracając się do Pierrota.

Pomimo wszystko Pierrot uwielbiał spędzać czas z ojcem. Raz w miesiącu wybierali się razem do Ogrodów Tuileries, gdzie Papa potrafił nazwać każde z drzew i innych roślin posadzonych wzdłuż alejek, a także wyjaśnić, jak się zmieniają z upływem pór roku. Przy okazji powiedział mu kiedyś, że jego rodzice byli zamiłowanymi ogrodnikami i w ogóle uwielbiali uprawiać ziemię.

— Ale oczywiście wszystko stracili — dodał. — Odebrano im gospodarstwo. Cała ich ciężka praca poszła na marne. Nigdy się potem nie pozbierali.

W drodze powrotnej do domu Papa kupował lody u ulicznego sprzedawcy i kiedy Pierrotowi zdarzało się swojego upuścić, oddawał mu własną porcję.

O takich rzeczach Pierrot starał się pamiętać, ilekroć w domu pojawiały się problemy. Jak kilka tygodni później, kiedy w ich saloniku doszło do kłótni, bo zaproszeni sąsiedzi — nie ci, którym przeszkadzało, że Pierrot śpiewa *Marsyliankę* po niemiecku, tylko inni — zaczęli dyskutować o polityce. Rozprawiano coraz głośniej, wyciągano stare pretensje... A kiedy goście wyszli, rodzice wszczęli straszną kłótnię.

— Żebyś ty w końcu przestał pić — wykrzykiwała Maman. — Po alkoholu wygadujesz okropne rzeczy. Nie widzisz, jak bardzo denerwujesz ludzi?

— Piję, żeby zapomnieć — huknął Papa. — Ty nie widziałaś tego, co ja. Ty nie masz w głowie tych wszystkich obrazów, na okrągło, dzień i noc.

— Przecież to było tak dawno temu — odezwała się ciszej, podchodząc do niego i wyciągając ku niemu ręce, aby ująć go za ramiona. — Ja wiem, jak bardzo cię to wszystko boli, ale proszę cię, Wilhelm, ty pomyśl, czy nie dlatego, że bronisz się przed rozsądną rozmową na ten temat. Może gdybyś podzielił się tym swoim bólem ze mną...

Emilie nie dokończyła zdania, ponieważ w tym momencie Wilhelm zrobił coś bardzo złego; coś, co zrobił po raz pierwszy kilka miesięcy wcześniej, a potem zaklinał się, że nie pozwoli sobie na to nigdy więcej, ale kilkakrotnie od tamtego czasu łamał przyrzeczenie. Mimo wszystko matka Pierrota zawsze zdobywała się na to, żeby jakoś wytłumaczyć, usprawiedliwić postęпки ojca, zwłaszcza gdy odnajdywała syna w jego pokoju, skulonego, zapłakanego z powodu przerażających scen, jakich był świadkiem.

— Nie powinieneś go obwiniać — powiedziała teraz.

— Ale on zrobił ci krzywdę — szepnął Pierrot, spoglądając na nią oczyma pełnymi łez.

D'Artagnan zerkał z łóżka, gdzie znalazł sobie miejsce, to na nią, to na niego, aż w końcu zeskoczył i przylgnął do chłopca, wtykając mu nos pod ramię; ten mały piesek zawsze wiedział, kiedy jego mały pan jest zrozpaczony i potrzebuje pociechy.

— On jest chory — stwierdziła Emilie, kryjąc twarz w dłoniach. — A jeśli ktoś, kogo kochamy, choruje, to naszym zadaniem jest pomóc mu wydobrżeć. Jeśli nam na to pozwoli. Ale jeśli nie...

Matka na chwilę umilkła, a zanim znowu się odezwała, wzięła głęboki oddech.

— Pierrot — powiedziała w końcu. — A jak ty byś się czuł, gdybyśmy stąd odeszli?

— Wszyscy?

Pokręciła przecząco głową i powiedziała:

— Nie. Tylko ty i ja.

— A co z Papą?

Maman westchnęła ciężko, a Pierrot zobaczył, jak łzy napływają jej do oczu.

— Wiem tylko — wykrztusiła — że dalej nie może być tak, jak jest.

Po raz ostatni Pierrot widział ojca w ciepły majowy wieczór, w jakiś czas po swoich czwartych urodzinach, kiedy to znów kuchnię wypełniły puste butelki, a Papa zaczął krzyczeć i walić się rękami z obydwu boków po głowie, skarżąc się, że oni tam są, że oni wszyscy tam są, że przyszli, by wziąć na nim odwet. Pierrot nie widział sensu w tym, co mówił. A Papa zaczął wygarniać obydwoma garściami talerze, miski i kubki z kredensu na podłogę, tłukąc je na setki drobnych kawałków. Maman wyciągnęła ku niemu ręce, próbując go uspokoić, ale on uderzył ją pięścią w twarz i zaczął wyrzaskiwać takie straszne rzeczy, że Pierrot zatkał uszy i uciekł razem z D'Artagnanem do swojego pokoju, gdzie obydwaj schowali się w szafie. Chłopiec trząsł się cały, ale usiłował nie płakać, kiedy przerażony piesek skomlił i tulił się do niego.

Pierrot nie wychodził z szafy bardzo długo, póki wszystko nie ucichło, a kiedy wreszcie wyszedł, zorientował się, że ojciec zniknął, a matka leży bez ruchu na podłodze, z zakrwawioną i posiniaczoną twarzą. D'Artagnan podszedł ostrożnie, pochylił łebek i zaczął lizać ją raz po raz po uchu, próbując ocucić, a Pierrot tylko wlepiął w nią oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Dopiero po chwili zdobył się, by zbiec na dół do mieszkania Anszela, gdzie tylko pokazał na schody, nie będąc w stanie wykrztusić choćby słowa wyjaśnienia. Madame Bronstein, która musiała słyszeć przez sufit wcześniejszą awanturę, lecz była zbyt przestraszona, żeby zareagować, popędziła na górę, przeskakując po dwa lub trzy stopnie. Tymczasem Pierrot, który wciąż nie mógł niczego powiedzieć, spojrzał na swego przyjaciela, który nie mógł niczego usłyszeć. Zauważywszy plik kartek na stojącym za nim stole, podszedł tam, usiadł i zaczął czytać najnowsze opowiadanie Anszela. Wtedy poczuł, że ucieczka w świat inny niż jego własny przynosi mu ulgę.

Przez kilka tygodni nie było ani słowa od Papy i Pierrot tak samo bardzo pragnął jego powrotu, jak się go bał. Aż któregoś poranka dotarła do nich wiadomość, że Wilhelm nie żyje, bo wpadł pod pociąg jadący z Monachium do Penzbergu, miasta, gdzie się urodził i spędził dzieciństwo. Kiedy Pierrot usłyszał to, poszedł do swego pokoju, zamknął drzwi, spojrzał na pieska, który drzemał na łóżku, i powiedział bardzo spokojnie:

— Papa patrzy teraz na nas z góry, D'Artagnan. A ja zamierzam kiedyś sprawić, że będzie ze mnie dumny.

Później państwo Abrahams zaproponowali Emilie pracę kelnerki, co jak stwierdziła

madame Bronstein, nie było żadną łaską, bo po prostu chodziło o posadę, którą piastował wcześniej jej zmarły mąż. Ale Maman, wiedząc, że ona i Pierrot potrzebują pieniędzy, z wdzięcznością przyjęła propozycję.

Restauracja znajdowała się w połowie drogi między szkołą a domem Pierrota, więc mógł każdego popołudnia czytać i rysować w niewielkim pomieszczeniu na parterze, gdzie ciągle się ktoś kręcił wokół niego, bo personel spędzał tam przerwy, plotkując o klientach i w ogóle robiąc zamieszanie. Madame Abrahams zawsze przynosiła mu tam na talerzu danie dnia i pucharek lodów na dodatek.

Pierrot spędził trzy lata, od czwartego do siódmego roku życia, przesiadując w służbowym pokoju każdego popołudnia, podczas gdy Maman obsługiwała gości na górze, i chociaż nigdy o nim nie mówił, to codziennie myślał o swoim ojcu, wyobrażając go sobie w restauracji, jak przebiera się rano w swój kelnerski uniform albo przelicza napiwki pod koniec dnia.

Po latach, kiedy Pierrot spoglądał z perspektywy na swoje dzieciństwo, odtwarzał sobie w pamięci niejednolite emocje, jakie wtedy przeżywał. Jakkolwiek bowiem był bardzo smutny z powodu ojca, to miał wielu kolegów, lubił swoją szkołę, a on i Maman żyli razem szczęśliwie. Paryż rozkwitał, jego ulice, zawsze wypełnione ludźmi, pulsowały energią.

Jednak w 1936 roku, w same urodziny Emilie, to, co powinno być szczęśliwym dniem, zamieniło się w tragedię. Wieczorem madame Bronstein i Anszel przyszli do nich na górę z ciastem, aby razem świętować, i w momencie kiedy Pierrot i jego przyjaciel akurat pałaszowali po drugim kawałku, Maman całkiem niespodziewanie zaczęła kaszleć. W pierwszej chwili Pierrot pomyślał, że okruch ciasta musiał jej wpaść w niewłaściwą uliczkę, ale kaszel trwał znacznie dłużej niż normalnie w takich sytuacjach i ustał dopiero, kiedy madame Bronstein podała jej szklankę wody do wypicia. Maman doszła do siebie, ale miała oczy nabiegłe krwią i przyciskała rękę do piersi, jakby czuła tam ból.

— Nic mi nie jest — powiedziała, kiedy oddech już się jej unormował. — Musiałam się przeziębic, to wszystko.

— Ale, moja droga... — Madame Bronstein nie dokończyła zdania, gdyż nagle pobladła i tylko wskazała ręką na chusteczkę do nosa, którą Emilie trzymała w dłoniach.

Pierrot zerknął i z wrażenia aż otworzył usta, bo zobaczył trzy plamki krwi na płótnie. Maman także patrzyła na nie przez kilka chwil, ale szybko zmięła chusteczkę i schowała ją do kieszeni. Po czym, wsparłszy się mocno obydwoma rękami o poręcz krzesła, wstała, wygładziła sukienkę i spróbowała się uśmiechnąć.

— Emilie, czy ty już całkiem dobrze się czujesz? — zapytała madame Bronstein, wstając również.

Matka Pierrota skinęła głową.

— To nic takiego — stwierdziła. — Pewnie mam jakąś infekcję gardła, no i jestem trochę zmęczona. Chyba powinnam się przespać. Okazaliście mi tyle troski, przynosząc ciasto, ale jeśli ty i Anszel pozwolicie...

— Oczywiście, oczywiście — przytaknęła skwapliwie madame Bronstein, klepieniem w ramię dając Anszelowi znak do odejścia i kierując się ku drzwiom z pośpiechem, jakiego nigdy wcześniej Pierrotowi nie zdarzyło się u niej zaobserwować. — Gdybyś czegoś potrzebowała, po prostu tupnij kilka razy, a ja zaraz u ciebie będę.

Maman nie kaszlała już więcej tej nocy ani przez kilka następnych dni, ale później, kiedy akurat obsługiwała jakichś klientów w restauracji, zaczęła mdleć, więc sprowadzono ją na dół do służbowego pokoju, w którym Pierrot akurat grał w szachy z jednym z kelnerów. Tym razem twarz miała szarą, zaś chusteczkę już nie poplamioną, tylko nasączoną krwią. Pot spływał jej z czoła i kiedy przybył doktor Chibaud, to tylko zerknął na nią i wezwał ambulans. Nie minęła godzina, a ona leżała już na łóżku w szpitalu Hotel-Dieu de Paris, gdzie badali ją tamtejsi lekarze i szeptali coś między sobą z niepokojem.

Pierrot spędził tę noc w mieszkaniu Bronsteinów, dzieląc z Anszelem poślanie, pod którym chrapał D'Artagnan. Był oczywiście bardzo wystraszony i miał wielką chęć porozmawiać z przyjacielem o tym, co się stało, ale chociaż ich migowy język był zawsze taki użyteczny, to niestety nie można było się nim posłużyć w ciemnościach.

Odwiedzał Maman w szpitalu przez cały tydzień i każdego dnia miał wrażenie, że z coraz większym trudem walczy o to, by oddychać. I tylko on był przy niej w niedzielę po południu, kiedy jej oddech zaczął całkowicie ustawać i zwiotczały jej palce, którymi ścisnęła jego dłoń. Potem jej głowa osunęła się na poduszkę i chociaż oczy miała nadal otwarte, to on już wiedział, że odeszła.

Pierrot siedział w całkowitym bezruchu przez kilka minut, zanim po cichutku zaciągnął kotarę wokół łóżka i wrócił na stojące przy nim krzesło, by trzymać matkę za rękę. W końcu nadeszła starsza już pielęgniarka i kiedy zobaczyła, co się stało, powiedziała mu, że musi przenieść Emilie w inne miejsce, gdzie jej ciało zostanie przygotowane do przekazania przedsiębiorcy pogrzebowemu. Na te słowa Pierrot wybuchnął płaczem, który, jak czuł, mógł nim wstrząsać bez końca, i przywarł do martwej matki. Pielęgniarka usiłowała go jakoś pocieszyć, ale upłynął długi czas, nim się uciszył, a gdy to już nastąpiło, poczuł, że jest cały zdruzgotany od środka. Nigdy wcześniej nie zaznał takiego bólu.

— Chcę, żeby miała to przy sobie — powiedział, wyjmując z kieszeni zdjęcie ojca i kładąc obok niej na łóżku.

Pielęgniarka kiwnęła głową i obiecała, że dopilnuje, aby fotografia została z Maman.

— Masz jakąś rodzinę, którą mogłabym zawiadomić?

— Nie — rzekł Pierrot, kręcąc głową i nie patrząc jej w oczy, żeby nie widzieć w nich współczucia, albo może obojętności. — Nie, nie ma nikogo. Jestem tylko ja. Teraz już całkiem sam.

## *Medal w oszklonej szafce*

Siostry Simone i Adele Durand przyszły na świat rok po roku, nigdy nie wyszły za mąż i wydawały się zadowolone ze swego towarzystwa, jakkolwiek ani trochę nie były do siebie podobne.

Simone, starsza, była wyjątkowo wysoka, przewyższała wzrostem większość mężczyzn. Ta urodziwa kobieta o smagłej karnacji i ciemnobrązowych oczach miała artystyczną duszę i najbardziej lubiła siedzieć godzinami przy pianinie, grając i zatapiając się bez reszty w swojej muzyce. Natomiast Adele była raczej niska, miała tłusty zadek, bladą cerę, kaczkowaty chód i w ogóle sylwetkę kaczki. Stale żwawa, gotowa do działania i niewątpliwie bardziej towarzyska od siostry, w przeciwieństwie do niej zupełnie nie miała głowy do muzyki.

Siostry dorastały w okazałym gmachu w Orleanie, mieście leżącym w odległości około osiemdziesięciu mil na południe od Paryża, słynnym z tego, że pięćset lat wcześniej Joanna d'Arc uwolniła je od oblężenia. Kiedy były małe, żyły w przekonaniu, że należą do największej rodziny we Francji, ponieważ prawie pięćdziesiątka innych dzieci, w wieku od kilku tygodni do siedemnastu lat, mieszkała w ich domu w salach na trzecim, czwartym i piątym piętrze. Niektóre były przyjazne, inne złośliwe, niektóre nieśmiałe, inne bezczelne, ale wszystkie łączyło jedno: sieroctwo. Ich głosy i kroki dobiegały do rodzinnych pomieszczeń na pierwszym piętrze, w mieszkaniu słychać było ich wieczorne pogwarki przed pójściem do łóżek i poranną bieganinę, tupot bosych stóp po zimnych marmurowych posadzkach i towarzyszące mu popiskiwanie. Jednak chociaż Simone i Adele dzieliły z tymi dziećmi dom, to izolowano je od nich, czego wtedy nie bardzo rozumiały.

Państwo Durand, ich rodzice, założyli sierociniec, gdy tylko się pobrali, i prowadzili go aż do końca swoich dni, trzymając się bardzo ostrych zasad na temat tego, kto może zostać przyjęty, a kto nie. Kiedy umarli, placówkę przejęły ich córki, poświęcając się całkowicie opiece nad dziećmi, które zostały same na świecie; w istotny sposób zmieniły jednak zasady.

— Każde osierocone dziecko będzie mile widziane — zadeklarowały zgodnie. — Kolor skóry, rasa czy wyznanie nie mają dla nas znaczenia.

Simone i Adele były sobie wyjątkowo bliskie, codziennie obchodziły razem teren posesji, kontrolując klomby i rabaty kwiatowe i przekazując instrukcje ogrodnikowi. Poza wyglądem zewnętrznym było jeszcze coś, co je w istotny sposób różniło: Adele niemal nie przestawała gadać od chwili, kiedy się rano budziła, aż do momentu, gdy późnym wieczorem zasypiała, natomiast Simone w ogóle mówiła rzadko, a jeśli już, to krótkimi zdaniem, jakby każdy oddech oznaczał dla niej utratę energii, na co nie bardzo mogła sobie pozwolić.

Pierrot poznał siostry Durand w niecały miesiąc po śmierci matki. Zanim to nastąpiło, wsiadł do pociągu na Gare d'Austerlitz, w swoim najlepszym ubraniu i nowym szaliku, który madame Bronstein kupiła mu w pożegnalnym prezencie w Galeries Lafayette poprzedniego popołudnia. Ona, Anszel i D'Artagnan poszli z nim na dworzec, aby go odprowadzić, i z każdym kolejnym krokiem Pierrot czuł, jakby serce zapadało mu się w piersi coraz głębiej. Był przerażony i osamotniony, pełen żalu po Maman, i chciał ze swoim pieskiem wprowadzić się do domu najlepszego przyjaciela, gdzie przebywał przez kilka tygodni po pogrzebie. Widział, jak madame Bronstein i jej syn wychodzą razem do synagogi w szabas, a nawet pytał, czy mógłby pójść z nimi, jednak ona stwierdziła, że to nie byłby w tej chwili dobry pomysł i że zamiast tego powinien wziąć D'Artagnana na spacer na Pole Marsowe. Któregoś dnia madame Bronstein wróciła do domu w towarzystwie jednej ze swych przyjaciółek i on wtedy podsłuchiwał, jak tamta pani mówiła, że ma kuzynkę, która adoptowała gojowskie dziecko i ten chłopiec szybko stał się pełnoprawnym członkiem rodziny.

— Problem nie polega na tym, że on jest gojem, Ruth — powiedziała madame Bronstein. — Problemem jest to, że ja po prostu nie mam pieniędzy na jego utrzymanie. Bo mam niewiele, taka jest prawda. Levi zostawił mi bardzo mało. Cóż, trzymam fason albo przynajmniej usiłuję to robić, ale nie jest łatwo samotnej wdowie. A to, co mam, jest mi potrzebne dla Anszela.

— Musisz przede wszystkim troszczyć się o siebie i syna, to oczywiste — stwierdziła tamta pani. — Ale czy nie ma nikogo, kto mógłby...

— Szukałam. Wierz mi, rozmawiałam ze wszystkimi, którzy przyszli mi na myśl. Bo nie przypuszczam, że ty...

— Nie, przykro mi. Czasy są ciężkie, sama to powiedziałaś. No i Żydom w Paryżu ani troszkę się nie poprawia, czyż nie? Jemu powinno być lepiej w rodzinie bardziej podobnej do jego własnej.

— Masz rację. Przepraszam, nie powinnam nawet pytać.

— Skądże znowu, powinnaś. Robisz, co możesz dla tego chłopca. Bo taka jesteś. Bo my — podkreśliła — tacy jesteśmy. Ale co niemożliwe, to niemożliwe. Kiedy zatem mu powiesz?

— Myślę, że dziś wieczorem. Nie będzie to dla mnie łatwe.

Zaintrygowany podsłuchaną rozmową Pierrot wrócił do pokoju Anszela i sprawdził określenie „goj” w słowniku. A potem długo siedział zamyślony, obracając w dłoniach jarmużkę przyjaciela, która wcześniej wisiała na oparciu krzesła. Poźniej, kiedy madame Bronstein weszła, żeby z nim porozmawiać, miał ją już na głowie.

— Zdejmij to — rzuciła ostrym tonem, jakiego nigdy przedtem u niej nie słyszał, natychmiast sięgając po jarmużkę i odbierając mu ją, aby odłożyć na miejsce. — Nie możesz się tym bawić. To nie zabawka, to jest poświęcone.

Pierrot nic nie powiedział, zakłopotany i równocześnie strapiony. Nie wolno mu było pójść do synagogi, nie wolno mu było założyć czapeczki najlepszego przyjaciela; uznał więc za oczywiste, że go tutaj nie chcą. A kiedy ona powiedziała, dokąd ma zostać wysłany, nie miał już najmniejszych wątpliwości.

— Tak mi przykro, Pierrot — stwierdziła madame Bronstein, gdy już skończyła mu

tłumaczyć, jak mają się sprawy. — Ale słyszałam wyłącznie dobre opinie o tym sierocińcu. Jestem pewna, że będziesz tam szczęśliwy. I może wkrótce adoptuje cię jakaś cudowna rodzina.

— Ale co z D'Artagnanem? — zapytał Pierrot, spoglądając na pieska, który drzemał na podłodze.

— Zaopiekujemy się nim — odpowiedziała madame Bronstein. — Lubi kości, prawda?

— Uwielbia.

— Monsieur Abrahams da nam je dla niego za darmo. Już mi powiedział, że będę mogła codziennie wziąć kilka, ponieważ on i jego żona tak bardzo lubili twoją matkę...

Pierrot znowu nic nie powiedział, był jednak pewien, że Maman wzięłaby Anszela, gdyby znalazł się w takiej sytuacji jak on. A jego sytuacja, bez względu na to, co madame Bronstein mówiła, musiała w jakiś sposób wiązać się z faktem, że był gojem. Nic nie powiedział także ze strachu, że jest teraz sam na świecie; było mu smutno, bo Anszel i D'Artagnan mieli teraz siebie nawzajem, a on nie miał już w ogóle nikogo.

„Mam nadzieję, że nie zapomnę, jak to się robi” — pokazał na migi Pierrot, kiedy czekał wraz z przyjacielem w dworcowej hali tego poranka, kiedy madame Bronstein kupiła mu bilet w jedną stronę.

„Masz nadzieję, że nie zostaniesz orłem, tak powiedziałeś” — wyjaśnił mu Anszel ze śmiechem i pokazał znaki, jakich powinien użyć.

„A widzisz! Już zapominam” — zasygnalizował Pierrot, pragnąc, aby przyjaciel pchnął ku niemu w powietrze te wszystkie niezbędne znaki i aby one zaraz weszły mu w palce tak, jak powinny.

„Nie zapominasz. Ciągłe się uczysz, to wszystko”.

„Ty jesteś w tym lepszy ode mnie”.

Anszel uśmiechnął się i zamigał: „Bo muszę być”.

Pierrot odwrócił się, usłyszawszy syk pary, której nadmiar upuszczał z lokomotywy maszynista, i przenikliwy, wściekły świst gwizdka, którym konduktor wzywał wszystkich pasażerów na peron, a jego wprawił w trwogę wywracającą żołądek na drugą stronę. Jakaś jego część, oczywiście, ogarniało lekkie podniecenie podróżą, ponieważ nigdy dotąd nie jechał pociągiem, ale połączone z pragnieniem, aby ta podróż wcale się nie skończyła, bo bał się tego, co może go czekać u jej celu.

„Będziemy mogli pisać do siebie, Anszel” — pokazał na migi Pierrot. — „Żebyśmy nigdy nie stracili kontaktu”.

„Piszmy co tydzień”.

Pierrot pokazał znak lisa, a Anszel znak psa, i przytrzymali obydwaj swoje gesty, niejako zawieszając te znaki w powietrzu, aby wyrażały ich wieczną przyjaźń. Potem chcieli się uściskać, ale wokół było tyle osób, że poczuli się trochę zawstydzeni, więc tylko podali sobie ręce.

— Do widzenia, Pierrot — powiedziała madame Bronstein, nachylając się, aby go ucałować.

Hałas pociągu i bieganina pasażerów były tak przytłaczające, że prawie nie był w

stanie usłyszeć, co do niego mówi.

— To dlatego, że nie jestem Żydem, prawda? — rzucił, patrząc wprost na nią. — Bo pani nie lubi gojów i nie chce, żeby któryś z wami mieszkał.

— Co takiego? — wykrzyknęła zaszokowana, prostując się gwałtownie. — Pierrot, skąd ci coś takiego przyszło do głowy? To ostatnia rzecz, o jakiej mogłabym pomyśleć. Przecież ty jesteś mądrym chłopcem. Na pewno widzisz, jak podejście do Żydów się tutaj zmienia, jak oni tu o nas mówią, jakie urazy wobec nas w sobie budzą.

— Ale gdybym był Żydem, to znalazłaby pani sposób, żeby mnie u siebie zatrzymać, wiem, że znalazłaby pani sposób.

— Nie masz racji, Pierrot. Ja tylko myślę o twoim bezpieczeństwie i...

— Proszę wsiadać! — wrzasnął głośno konduktor. — Drzwi zamykać. Proszę wsiadać!

„Do widzenia, Anszel” — zamigał Pierrot, odwracając się od niej i kierując się ku stopniom wagonu.

— Pierrot! — zawołała madame Bronstein. — Wróć, proszę! Niech ci wytłumaczę, że zupełnie nie masz racji!

Nie obejrzał się. Jego czas w Paryżu minął, wiedział to już. Zatrzasnął za sobą drzwi wagonu, wziął głęboki oddech i ruszył dalej, aby rozpocząć nowe życie.

Półtorej godziny później konduktor stukał Pierrota w ramię i pokazywał mu przez okno kościelne wieże, jakie właśnie pojawiły się w polu widzenia.

— Już teraz — powiedział, pokazując z kolei na karteczkę, jaką madame Bronstein przypięła mu do klapy i na której wypisała dużymi czarnymi literami jego imię i nazwisko: PIERROT FISCHER, oraz cel podróży: ORLEAN. — To jest twoja stacja.

Pierrot z wysiłkiem przełknął ślinę, wyciągnął swoją małą walizkę spod siedzenia i doszedł do drzwi wagonu akurat w momencie, gdy pociąg się zatrzymał. Wysiadł i czekał na peronie aż opadnie para wypuszczona z lokomotywy, chcąc zobaczyć, czy ktoś na niego czeka, ogarnięty nagle panicznym strachem, co robi, jeśli nikt się nie pokaże. Kto się nim zaopiekuje? Bo przecież on ma tylko siedem lat i nie ma pieniędzy na bilet powrotny do Paryża. Co będzie jadł? Gdzie będzie spał? Co się z nim stanie?

W tym momencie poczuł, że ktoś klepnął go w ramię, a kiedy się odwrócił, nachylił się nad nim mężczyzna z ponurą miną na zaczerwienionej twarzy, aby oderwać notkę z jego kołnierza, podnieść ją sobie do oczu i odczytać, a potem zgnieść i wyrzucić.

— Jedziesz ze mną — stwierdził i skierował się w stronę konia i wozu.

Pierrot nie spuszczał z niego oczu, ale nie był w stanie zrobić kroku, zupełnie jakby przyrósł do podłoża.

— No, rusz się — rzucił przez ramię mężczyzna w jego kierunku. — Mój czas jest cenny, nawet jeśli twój nie.

— Kim pan jest? — zapytał Pierrot, wzbraniając się iść za nim w obawie, że może zostać wzięty przez jakiegoś rolnika, któremu potrzebna jest dodatkowa pomoc przy żniwach, na niewolniczą służbę, jak ten chłopiec, o którym Anszel napisał kiedyś opowiadanie, takie ze złym zakończeniem.

— Kim ja jestem? — powtórzył mężczyzna, śmiejąc się z zuchwałości tego pytania.

— Jestem człowiekiem, który wygarbuje ci skórę, jak zaraz nie wskoczysz do tego wozu.

Pierrot wytrzeszczył w osłupieniu oczy. Był w Orleanie ledwie od kilku minut i już zagrożono mu przemocą. Pokręcił buntowniczo głową i usiadł na walizce.

— Przepraszam, ale nie mam zamiaru ruszać się stąd gdziekolwiek z kimś nieznanym — powiedział.

— Zapewniam cię, że zaraz się zaznajomimy — stwierdził mężczyzna, uśmiechając się, dzięki czemu jego twarz zrobiła się nieco pogodniejsza.

Miał około pięćdziesięciu lat i wyglądał trochę jak pan Abrahams z restauracji, pominąwszy to, że nie golił się od kilku dni i miał na sobie stare ubranie, znoszone i wyraźnie niedopasowane.

— Ty jesteś Pierrot Fischer, prawda? — rzucił. — Bo tak stało na twojej klapie przy kołnierzu. Siostry Durand przysłały mnie, żebym cię zabrał. Nazywam się Houper. Robię dla nich to i tamto od czasu do czasu. Zdarza się, że odbieram jakąś sierotkę ze stacji. Taką, która przyjeżdża sama, jak ty.

— Aha — powiedział Pierrot, wstając z walizki. — Myślałem, że siostry Durand same po mnie przyjadą.

— I zostawia te małe potwory, żeby się rządziły w sierocińcu? — zachnął się mężczyzna. — To nie wchodzi w grę. Wszystko byłoby tam w ruinie przed ich powrotem — stwierdził.

Po czym chwycił walizkę Pierrota i dodał łagodniejszym tonem:

— Ale ty nie masz się czego bać. To dobre miejsce. One obydwie są bardzo życzliwe. No, to co, pojedziesz ze mną?

Pierrot rozejrzał się. Pociąg już odjechał, a wokół stacji, jak okiem sięgnąć, były tylko pola. Wiedział, że nie ma wyboru, odparł więc:

— Zgoda.

Nim minęła godzina, siedział już w biurze sierocińca, pomieszczeniu starannie urządzonej i wzorowo uporządkowanym, z dwoma ogromnymi oknami wychodzącymi na zadbane ogród, a siostry Durand lustrowały go tak wnikliwie, jakby był czymś, co zamierzają kupić na targu.

— Ile masz lat? — zapytała Simone, unosząc na chwilę do oczu okulary, by mu się lepiej przyjrzeć, ale zaraz potem pozwalając im swobodnie dyndać na łańcuszku, na jakim były zawieszane na jej szyi.

— Siedem — odpowiedział Pierrot.

— Na siedem jesteś o wiele za mały.

— Ja zawsze byłem mały — wyjaśnił. — Ale planuję, że będę większy w swoim czasie.

— Czyżby? — rzuciła z powątpiewaniem Simone.

— Jakież to cudowne, mieć siedem lat — odezwała się Adele, uśmiechając się błogo i aż klaszcząc w dłonie z ukontentowania. — Dzieci w tym wieku są zawsze takie szczęśliwe i takie ciekawe świata.

Simone położyła rękę na ramieniu siostry.

— Moja droga — upomniała ją. — Matka tego chłopca właśnie zmarła, nie sądzę

więc, by był szczególnie uszczęśliwiony.

— No tak, no tak — zgodziła się Adele, poważniejąc. — Ty musisz być wciąż pogrążony w żalu — zwróciła się do Pierrota. — Bo to jest straszne, strata kochanej osoby. Straszne, doprawdy. Moja siostra i ja rozumiemy to aż nazbyt dobrze. A ja miałam tylko na myśli, że chłopcy w twoim wieku są uroczy. Możesz się zrobić niemły, kiedy będziesz miał trzynaście czy czternaście lat. Ale oczywiście nie musisz. Tak mi się jakoś wydaje, że będziesz jednym z tych, którzy nadal są grzeczni.

— Moja droga — powtórzyła z cicha Simone.

— Przepraszam — zmitygowała się Adele. — Za dużo gadam, prawda? Pozwolę sobie więc jeszcze tylko powiedzieć... — tu odchrząknęła, jakby miała przemawiać do hałaśliwego tłumu — ...pozwolę sobie powiedzieć, jak bardzo jesteśmy szczęśliwe, że jesteś tu z nami, Pierrot. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ogromnie wzbogacisz swoją obecnością rodzinę, którą naszym zdaniem stanowi ten sierociniec. Na Boga, wszakże ty jesteś takim przystojnym młodym człowiekiem. I masz zadziwiająco błękitne oczy. Miałam spaniela z oczami takimi samymi jak twoje. Oczywiście nie chodzi o to, żebym porównywała cię do psa, to byłoby grubiańskie z mojej strony. Ja miałam tylko na myśli, że przywodziś u mnie wspomnienie o nim, to wszystko. Simone, czy oczy Pierrota nie przypominają ci tych, jakie miał Casper?

Simone uniosła jedną brew i popatrzyła na chłopca przez chwilę, nim pokręciła głową.

— Nie — stwierdziła.

— Ależ tak, naprawdę tak! — zapewniła Adele z radosnym uniesieniem, pod wpływem którego Pierrot aż zaczął się zastanawiać, czy ona przypadkiem nie wyobraża sobie, że jej zmarły pies wrócił do życia w ludzkiej postaci. — No, ale przejdźmy do tego, co istotne — kontynuowała, poważniejąc. — Obydwie z przykrością usłyszałyśmy o tym, co stało się z twoją ukochaną matką. Taka młoda kobieta i taka wspaniała żywicielka rodziny, jak nam powiedziano. To po prostu okrutne, że najbliższa osoba, która powinna dla ciebie żyć, została ci zabrana teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebujesz. Matka ogromnie cię kochała, śmiem twierdzić. Czy zgadzasz się ze mną, Simone? Czy nie sądzisz, że madame Fischer na pewno ogromnie kochała Pierrota?

Simone spojrzała znad rejestru, jaki właśnie uzupełniała o szczegóły dotyczące wzrostu i kondycji fizycznej chłopca.

— Sądzę, że większość matek kocha swoich synów — stwierdziła. — Nawet nie warto się nad tym rozwodzić.

— A jeśli chodzi o twojego ojca — Adele zwróciła się znów do Pierrota. — Odszedł z tego świata kilka lat temu, nieprawdaż?

— Tak — przyświadczył.

— I nie masz żadnej innej rodziny?

— Nie. Wprawdzie, jak wiem, mój ojciec miał siostrę, ale ja nigdy jej nie spotkałem. Nigdy u nas nie była. Pewnie nawet nie wie, że ja żyję, ani że moi rodzice zmarli. A ja nie mam jej adresu.

— Jaka szkoda!

— Jak długo będę musiał tu zostać? — zapytał Pierrot.

Czekając na odpowiedź, zwrócił uwagę na liczne obrazy i rysunki zdobiące wnętrze gabinetu. I jeszcze na fotografię na biurku, która przedstawiała mężczyznę i kobietę, siedzących na krzesłach tak daleko odsuniętych od siebie, do tego każde z tak poważnym wyrazem twarzy, że zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie uchwycono ich w samym środku kłótni; to byli rodzice sióstr, jak się domyślał. Inna fotografia, ustawiona na przeciwległym narożniku biurka, przedstawiała dwie małe dziewczynki, z których każda trzymała za rękę trochę młodszego chłopca, stojącego pomiędzy nimi. Na ścianie było jeszcze trzecie zdjęcie, portret młodego mężczyzny z krótko przystrzyżonym wąsikiem, w mundurze armii francuskiej. Uchwycony był z profilu, a zdjęcie wisiało tak, że zdawał się spoglądać przez okno na ogród, z zadumą malującą mu się na twarzy.

— Wiele naszych sierot trafia do dobrych rodzin w ciągu miesiąca lub dwu po przybyciu — stwierdziła Adele, siadając na kanapie i dając Pierrotowi znak, by usiadł przy niej. — Jest tak wielu wspaniałych mężczyzn i tak wiele cudownych kobiet, po założeniu rodziny niepobłogosławionych własnymi dziećmi, a inni chcą po prostu przyjąć dodatkowego brata czy siostrę do swego domu, powodowani dobrocią i miłosierdziem. Nawet sobie nie wyobrażasz, Pierrot, jak dobrzy potrafią być ludzie.

— Albo jak okrutni — mruknęła Simone zza biurka, ale gdy Pierrot spojrzał w jej stronę, nie podniosła wzroku.

— Miałysmy dzieci, które pozostawały z nami tylko przez kilka dni lub tygodni — kontynuowała Adele, ignorując komentarz siostry. — A także takie, oczywiście, które pozostawały trochę dłużej. Kiedyś chłopczyk w twoim wieku trafił tutaj rano, a w porze obiadu już go u nas nie było. Nawet nie zdążyliśmy go poznać, prawda Simone?

— Nie zdążyliśmy.

— Jakże to on miał na imię?

— Nie pamiętam.

— Cóż, to nieistotne — stwierdziła Adele. — Chodzi o to, że nie sposób przewidzieć, kiedy ktoś znajdzie rodzinę. Coś takiego, jak temu chłopcu, może też przytrafić się tobie, Pierrot.

— Ale już dochodzi piąta — zauważył. — Dzień prawie się zakończył.

— Ja tylko miałam na myśli...

— A ilu nigdy nie adoptują?

— Co takiego?

— Ile dzieci nigdy nie zostaje adoptowanych? — powtórzył pytanie. — Ile jest takich, które są tutaj, aż dorosną?

— Ach, o to ci chodzi — uśmiech na twarzy Adele trochę przygasł. — No cóż, oczywiście trudno podać liczbę. Czasami się tak zdarza, oczywiście, zdarza się, ale ja bardzo wątpię, żeby tak miało zdarzyć się tobie. Dlaczego, przecież każda rodzina byłaby uradowana, mając ciebie! Nie trapmy się więc w tej chwili. Niezależnie od tego, jak długi czy jak krótki może być twój pobyt, postaramy się uczynić go tak przyjemnym, jak to tylko możliwe. Teraz ważne jest, żebyś się zakwaterował, poznał

nowych kolegów i zaczął się u nas czuć jak u siebie w domu. Być może słyszałeś jakieś straszne historie o tym, co dzieje się w sierocińcach, Pierrot, ponieważ jest cała masa ludzi, którzy lubią opowiadać straszne historie, no i jeszcze był ten okropny Anglik, pan Dickens, który wydał o nas wszystkich okropną opinię w swoich powieściach, ale możesz być pewien, że nic niestosownego nie dzieje się w naszej placówce. Prowadzimy szczęśliwy dom dla wszystkich naszych chłopców i dziewcząt, a gdybyś nawet w którejś chwili poczuł się załęczniony albo osamotniony, to po prostu możesz przyjść do Simone albo do mnie i my będziemy rade ci pomóc. Prawda, Simone?

— Adele zawsze bardzo łatwo znaleźć — odrzekła starsza siostra.

— A gdzie ja będę spał? — spytał Pierrot. — Czy będę miał własny pokój?

— Co to, to nie — zaprzeczyła Adele. — Nawet Simone i ja nie mamy własnych pokoi. Wiesz, to nie jest pałac Wersalski, nie! Mamy tutaj sypialnie. Oddzielne dla chłopców i dziewcząt, ma się rozumieć, nie musisz się o to martwić. W każdej sypialni jest dziesięć łóżek, chociaż w tej, gdzie ty trafisz, są w tej chwili wolne miejsca, więc będziesz tam siódmy. Możesz sobie wybrać któreś z wolnych łóżek. Prosimy cię tylko: jak je wybierzesz, już potem nie zmieniaj, to uprości nam sprawę w dniu kąpieli. Będziesz się kąpał w każdą środę wieczorem, chociaż... — Adele nachyliła się nad nim i nieco mocniej wciągnęła nosem powietrze — jak sądzę, powinieneś wziąć kąpiel także dziś, by spłukać z siebie paryski kurz i woń pociągu. Bo teraz troszkę od ciebie zalatuje tym wszystkim. Co jeszcze... Wstajemy o szóstej trzydziści, potem jest śniadanie, szkoła, obiad, jeszcze trochę nauki, czas na gry i zabawy, kolacja i do łóżka. Polubisz ten tutejszy rytm, Pierrot, jestem pewna, że polubisz. A my uczynimy, co tylko w naszej mocy, aby znaleźć dla ciebie cudowną rodzinę. To jest najprzyjemniejsze w pracy takiej, jak nasza, muszę ci powiedzieć. Jesteśmy szczęśliwe, że do nas zawitałeś, ale będziemy jeszcze szczęśliwsze, kiedy od nas odejdziesz. Czyż nie mam racji, Simone?

— Masz — zgodziła się starsza z sióstr.

Adele wstała, chcąc oprowadzić Pierrota po sierocińcu, i dała mu znak, by ruszył za nią, ale on, zmierzając ku drzwiom, spostrzegł coś lśniącego w niewielkiej przeszklonej szafce i podszedł tam, by przyjrzeć się temu z bliska. Aż przytknął nos do szyby, wpatrzony w krążek z brązu, z figurą widniejącą pośrodku, zawieszony na wstążce w białe i czerwone pasy. Była do niej przypięta poprzeczka, również z brązu, z wygrawerowanym napisem Engage Volontaire. Niżej w szafce stała niewielka świeca i w ramce jeszcze jedno zdjęcie mężczyzny z wąsikami, uśmiechającego się i machającego ręką z pociągu, który odjeżdżał ze stacji. Pierrot od razu rozpoznał peron, ten sam, na którym wysiadł z pociągu z Paryża.

— Co to jest? — zapytał Pierrot, wskazując na medal. — I kto to jest?

— Nie twoja sprawa — ucięła Simone, również wstając i przybierając posępny wyraz twarzy. — Masz tego nigdy nie dotykać... Adele, zaprowadź go do pokoju. Już, proszę!

## *List od przyjaciela i list od nieznajomej*

W sierocińcu wcale nie żyło się tak wspaniale, jak zapowiadała Adele Durand. Łóżka były twarde, a kołdry cienkie. W obfitych porcjach zwykle podawano potrawy bez smaku, natomiast smaczne — w skąpych.

Pierrot robił, co mógł, by zaprzyjaźnić się z innymi dziećmi, ale nie było to łatwe, bo one znały się już doskonale i nie kwapiły się do tego, by pozwolić nowicjuszowi przystać do którejkolwiek z grup. Ci, którzy lubili czytać, nie pozwalali Pierrotowi wtrącać się do ich rozmów o książkach, bo on czytywał inne niż oni. Ci, którzy od miesięcy budowali wioskę w miniaturze z drewna zebranego w pobliskim lesie, tylko pokręcili głowami i stwierdzili, że skoro Pierrot nie ma pojęcia, jaka jest różnica pomiędzy heblem a pilnikiem, to nie pozwolą mu zepsuć tego, nad czym tak ciężko pracują. Ci, którzy każdego popołudnia kopali piłkę na podwórzu, przybierając sobie jako przydomki nazwiska ulubionych zawodników francuskiej reprezentacji narodowej — Courtois, Mattler, Delfour — raz nawet pozwolili Pierrotowi stanąć na bramce, ale ponieważ jego drużyna przegrała jedenaście do zera, doszli do wniosku, że jest za mały, by wyskakiwać do wysokich strzałów, a tylko pozycja bramkarza była w zespole nieobsadzona.

— Przykro nam, Pierrot — stwierdzili, choć wcale nie było słyhać, że żałują szczerze.

Jedyną osobą, z którą spędzał sporo czasu, była dziewczynka starsza od niego o rok lub dwa, imieniem Josette, umieszczona w sierocińcu trzy lata wcześniej, po tym, gdy jej rodzice zginęli w katastrofie kolejowej w pobliżu Tuluzy. Adoptowano ją od tego czasu już dwukrotnie, ale za każdym razem odsyłano ją jak niechcianą paczkę, bo kolejne rodziny stwierdzały, że „zbyt zakłócała im spokój domowy”.

— Ci pierwsi, którzy mnie wzięli, byli okropni — wyznała Pierrotowi, kiedy pewnego ranka siedzieli razem pod drzewem, zanurzając stopy w wilgotnej od rosy trawie. — Nie nazywali mnie Josette, bo powiedzieli, że zawsze chcieli mieć córkę imieniem Marie-Louise. A tym drugim potrzebna była bezpłatna służąca. Miałam im szorować podłogi i zmywać naczynia od rana do wieczora, jak Kopciuszek. No, to robiłam zamęt tak długo, aż pozwolili mi odejść. A swoją drogą, to ja lubię Simone i Adele — dodała. — Może kiedyś pozwolę się adoptować, ale jeszcze nie teraz. Bo tu jest mi całkiem dobrze.

Najgorszy ze wszystkich był chłopiec imieniem Hugo, który spędził pod opieką sióstr Durand całe swoje życie — jedenaście lat — i był w sierocińcu najważniejszy, a zarazem najbardziej dokuczliwy. Nosił długie do ramion włosy i miał łóżko w tej samej sypialni, co Pierrot, który popełnił błąd, wybierając sobie po przybyciu sąsiednie; Hugo chrapał bowiem tak głośno, że Pierrot musiał naciągać sobie kołdrę

na głowę, by choć trochę mniej to słyszeć. Próbował nawet wtykać sobie na noc do uszu zgniecione kawałki gazet, żeby sprawdzić, czy to pomoże. Simone i Adele nigdy nie proponowały nikomu Hugo do adopcji i kiedy do sierocińca przybywały pary małżeńskie, on pozostawał w sali i nigdy nie mył buzi i nie zakładał czystej koszuli, ani nie uśmiechał się do gości, jak czyniły to pozostałe dzieci.

Hugo spędzał większość czasu, wałęsając się po korytarzach i rozglądając za kimś, komu mógłby dokuczyć. A Pierrot, który był niski i szczupły, stanowił jego oczywisty cel.

Dokuczanie miało kilka form, z których żadna nie była szczególnie wymyślna. Czasami Hugo czekał, aż Pierrot uśnie, i wtedy wkładał mu lewą rękę do miski z gorącą wodą, przez co zaczął on robić to, co robić przestał, ukończywszy trzy latka. To znowu w klasie zabierał Pierrotowi krzesło i ten musiał sterczeć, póki go nauczyciel nie skrzyczał i nie posadził. Kiedy indziej chował mu ręcznik w trakcie kąpieli, by musiał czerwony ze wstydu pędzić na golasa do sypialni, przez co inni chłopcy śmiali się z niego i wytykali go palcami. A czasami ograniczał się do bardziej tradycyjnych, sprawdzonych przez lata metod dokuczania słabszym i po prostu czekał na Pierrota za rogiem korytarza, aby rzucić się na niego, złapać go za włosy, łupnąć pięścią w brzuch i zostawić z sińcami, w poszarpanym ubraniu.

— Kto ci to zrobił? — zapytała Adele, kiedy natknęła się na niego któregoś popołudnia nad pobliskim jeziorem, gdzie siedział samotnie i przyglądał się skaleczeniu na swoim ręku. — Prześladowanie kolegów jest czymś, czego absolutnie nie toleruję, Pierrot.

— Ja nie mogę powiedzieć — odparł, wlepiwszy oczy w ziemię, bo nie chciał być kapusiem.

— Muisz — nalegała. — Inaczej nie będę mogła zrobić czegokolwiek, żeby ci pomóc. Czy to Laurent? Były już z nim problemy z takiego powodu.

— Nie, to nie Laurent — zaprzeczył Pierrot, kręcąc przy tym głową.

— To może Sylvestre? — podsunęła. — Tego chłopca zawsze ciągnie do złego.

— Nie — stwierdził Pierrot. — Sylvestre też nie.

Adele podniosła oczy ku niebu i głęboko westchnęła.

— To Hugo, prawda? — odezwała się po długiej chwili milczenia, a w tonie jej głosu było coś, co pozwoliło Pierrotowi domyślić się, że od początku wiedziała, ale miała nadzieję, że się myli.

Pierrot nie powiedział nic, kopnął tylko kilka kamyków czubkiem prawego buta i patrzył, jak spadają z brzegu i znikają pod powierzchnią wody.

— Czy mogę już iść do sali? — zapytał.

Adele skinęła głową. Pierrot wiedział, że obserwuje go przez całą drogę, gdy wracał przez ogród do budynku.

Następnego popołudnia Pierrot i Josette wybrali się na spacer, aby poszukać żabiej rodziny, jaką napotkali kilka dni wcześniej w pobliżu sierocińca; idąc, opowiadał jej o liście od Anszela, jaki dostał tego ranka.

— O czym wy do siebie piszecie w tych swoich listach? — zapytała zaciekawiona, ponieważ sama nigdy nie otrzymywała żadnej korespondencji.

— Wiesz, on opiekuje się moim psem D'Artagnanem, więc pisze mi o nim. No i o tym, co się dzieje tam, gdzie mieszkałem. W pobliżu ostatnio doszło do jakichś rozruchów. Nawet się cieszę, że mnie ominęły.

Josette przeczytała o rozruchach już tydzień wcześniej, w artykule, który głosił, że wszystkich Żydów należy posłać na gilotynę. W następnych dniach coraz więcej gazet zamieszczało artykuły potępiające Żydów i głoszące, że wszyscy powinni iść precz, a ona uważnie czytała każdy z nich.

— I on jeszcze przysyła mi opowiadania — kontynuował Pierrot — ponieważ chce zostać...

Nim dokończył zdanie, zza kępy drzew wyłonił się Hugo i jego dwaj kompani, Gerard i Marc, wszyscy z kijami w rękach.

— Patrzcie, patrzcie, kto tu jest — rzucił Hugo, krzywiąc się w uśmiechu i obcierając wierzchem dłoni długi sopel czegoś paskudnego, co ciekło mu z nosa. — Oto szczęśliwi małżonkowie, pan i pani Fischer.

— Idź sobie, Hugo — powiedziała Josette, usiłując go minąć, ale on pokręcił głową i zablokował jej drogę, trzymając przed sobą dwa kije, skrzyżowane na kształt litery X.

— To moja ziemia — stwierdził. — Każdy, kto tędy przechodzi, musi płacić mi myto. Josette głęboko westchnęła, jakby nie mogła uwierzyć, że chłopcy potrafią być aż tak irytujący, po czym skrzyżowała ramiona i spojrzała prosto na niego, nie ustępując mu pola. Tymczasem Pierrot cofnął się, żałując, że w ogóle tu przyszli.

— Niech już będzie — powiedziała Josette. — Ile?

— Pięć franków.

— Będę ci winna.

— Doliczę franka za każdy dzień czekania na zapłatę — zastrzegł Hugo.

— W porządku — zgodziła się Josette. — Daj mi znać, kiedy kwota dojdzie do miliona, to uzgodnię z moim bankiem, żeby zrobił przelew na twoje konto.

— Ty myślisz, że jesteś taka mądra? — rzucił Hugo, przewracając oczyma.

— Mądrzejsza od ciebie, to pewne.

— Jeszcze czego...

— Jest mądrzejsza — przyświadczył Pierrot, czując, że lepiej coś powiedzieć, niż milczeć jak tchórz.

Hugo spojrzał na niego z półuśmiechem.

— Obstajesz za swoją narzeczoną, Fischer, prawda? — zapytał. — No, bo tak jesteś w niej zakochany, że aż...

Zamiast mówić dalej, zaczął cmokać jak przy pocałunku. Oplótłszy rękoma własne ciało, gładził się po bokach, udając, że kogoś namiętnie pieści.

— Masz pojęcie, jak komicznie wyglądasz? — zapytała Josette i Pierrot nie mógł powstrzymać się od śmiechu, chociaż wiedział, że nie jest dobrym pomysłem prowokowanie Hugo, który z powodu doznanej urazy zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy niż zwykle.

— Ty mnie nie drażnij — warknął, dźgając ją w ramię jednym ze swoich patyków. — Nie zapominaj, kto tu rządzi.

— No nie! — wykrzyknęła Josette. — On sobie myśli, że tutaj rządzi! A kto by

pozwoił parszywemu Żydowi rządzić czymkolwiek?

Twarz Hugo spochmurniała, a jego brwi zmarszczyły się pod wpływem zdenerwowania pomieszanego z zakłopotaniem.

— Czemu powiedziałaś coś takiego? — zapytał. — Przecież ja się tylko zgrywałem.

— Ty się nigdy nie zgrywasz, Hugo, bo nie umiesz — stwierdziła, odpychając go. — I nie możesz nic na to poradzić, prawda? Bo taka jest twoja natura. Czego można oczekiwać od świni, jak nie chrząkania?

Pierrot zmarszczył czoło. Więc Hugo też jest Żydem? Chciał roześmiać się z tego, co powiedziała Josette, ale przypomniał sobie, co niektórzy chłopcy z ich klasy mówili do Anszela i jak wielką przykrość sprawiało to jego przyjacielowi.

— Ty pewnie nie wiesz, Pierrot, dlaczego Hugo nosi takie długie włosy, prawda? — odezwała się Josette. — Dlatego, że ma pod nimi rogi. Jakby się ostrzygł, to wszyscy byśmy je zobaczyli.

— Przestań — mruknął Hugo, tonem już nie tak zawadiackim jak wcześniej.

— Idę o zakład, że jakby ściągnąć mu gacie, to pokazałby się ogon.

— Przestań! — powtórzył Hugo, tym razem głośniej.

— Pierrot, jesteś w tej samej sali co on. Zauważyłeś kiedyś jego ogon, jak się przebierał przed snem?

— Jest naprawdę długi i ma łuski — przyświadczył Pierrot, bo fakt, że Josette najwyraźniej była górą w tej słownej utarczce, dodał mu śmiałości. — Coś jak u smoka.

— Uważam, że wy nie powinniście spać w tej samej sypialni — stwierdziła. — Najlepiej nie mieszać się z takimi jak on, wszyscy to mówią. Kilku takich jest w sierocińcu. Powinno się im wydzielić osobną salę. Albo dokądś ich odesłać.

— Zamknij się! — wrzasnął Hugo i ruszył w jej stronę, ona jednak odskoczyła, w efekcie czego pomiędzy nimi znalazł się Pierrot.

Pięść starszego chłopaka trafiła go prosto w nos, w którym aż coś zachrząściło. Pierrot upadł, po górnej wardze pociekła mu krew. On jęknął, Josette krzyknęła, a Hugo szeroko rozdziawił usta. Chwilę później uciekł, kryjąc się w zaroślach, tak samo jak Gerard i Marc, którzy popędzili za nim.

Pierrot w pierwszej chwili poczuł coś takiego, jakby chciało mu się mocno kichnąć. To nawet nie było jednoznacznie przykre, raczej dziwaczne. Za moment jednak pulsujący ból przeniknął mu głowę na wysokości oczu, a jego usta zrobiły się nieprzyjemnie suche. Spojrzał w górę na Josette, która z wrażenia przycisnęła sobie obydwie dłonie do policzków.

— Nic mi nie jest — powiedział, wstając, a chociaż od razu poczuł, że słabo trzyma się na nogach, dodał jeszcze: — To tylko draśnięcie.

— Nieprawda — stwierdziła Josette. — Muszę cię od razu zaprowadzić do sióstr.

— Nic mi nie jest — powtórzył Pierrot, obmacując sobie twarz, by się upewnić, że wszystko nadal jest na niej tam, gdzie powinno być.

Jednak kiedy opuścił rękę, palce miał zakrwawione. Popatrzył na nie szeroko otwartymi z wrażenia oczyma i przypomniał sobie chusteczkę do nosa, także poplamioną krwią, kiedy Maman podczas swojego urodzinowego przyjęcia otarła

sobie nią usta.

— Nie jest dobrze — szepnął i poczuł, że pobliskie drzewa zaczynają mu wirować przed oczyma, a nogi słabnąć.

I padł zemdłony na ziemię.

Gdy oprzytomniał, zorientował się ze zdziwieniem, że leży na sofie w biurze sióstr Durand. Przy znajdującej się tam umywalce stała Simone. Zmoczyła pod kranem ściereczkę, wyżeła ją i zatrzymawszy się tylko po to, żeby poprawić przekrzywioną fotografię na ścianie, podeszła do niego i zrobiła mu okład na nos.

— No, ocknąłeś się — stwierdziła.

— Co mi się stało? — zapytał Pierrot, unosząc się na łokciach.

Głowa go bolała, usta miał nadal wysuszone i czuł nieprzyjemne pieczenie u nasady nosa, w miejscu, gdzie Hugo go uderzył.

— Twój nos nie jest złamany — zapewniła go Simone, siadając przy nim na krześle.

— Z początku myślałam, że tak, ale nie. Chociaż pewnie będzie cię bolał przez kilka dni, nim opuchlizna zejdzie. No i jeszcze to podbite oko. Jak jesteś wrażliwy, to unikaj lustra przez pewien czas.

Pierrot przełknął ślinę i poprosił o szklankę wody. W ciągu kilku miesięcy, które minęły odkąd przybył do sierocińca, Simone Durand nigdy jeszcze nie wypowiedziała do niego tylu słów. Zwykle prawie wcale się nie odzywała.

— Porozmawiam z Hugo — stwierdziła. — Każę mu cię przeprosić. I dopilnuję, żeby już nigdy więcej coś takiego ci się nie przytrafiło.

— To nie był Hugo — powiedział Pierrot, może bez przekonania, trzymając się jednak pomimo bólu zasady, że nie należy pakować nikogo w kłopoty.

— Ależ był — rzekła Simone. — Wiem to od Josette, chociaż i tak bym się domyśliła.

— Dlaczego on mnie nie lubi? — zapytał cicho, spoglądając na nią.

— To nie twoja wina — odpowiedziała. — Tylko nasza, moja i Adele. Popełniłyśmy błędy, jeśli chodzi o niego. Wiele błędów.

— Ale opiekujecie się nim — stwierdził Pierrot. — Tak jak nami wszystkimi, chociaż żadne z nas nie jest dla was rodziną. On powinien być wam wdzięczny.

Simone przez chwilę w milczeniu stuknęła palcami w poręcz krzesła, jakby wahała się, czy ma wyjawić tajemnicę, czy nie. W końcu jednak powiedziała:

— Akurat on jest dla nas rodziną. To nasz bratanek.

Pierrot szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

— Ojej, nie wiedziałem — wykrztusił. — Myślałem, że jest sierotą, jak reszta dzieci.

— Jego ojciec zmarł lata temu — wyjaśniła Simone. — A jego matka... — Zawiesiła głos, pokręciła głową i starła sobie łzę z oka. — Cóż, moi rodzice bardzo źle ją traktowali. Bo mieli takie strasznie głupie, staroświeckie poglądy. I w końcu ją wygnali. A ojcem Hugo był nasz brat Jacques.

Pierrot omiótł spojrzeniem fotografię, na której dwie małe dziewczynki trzymały za rękę małego chłopca, a także portret mężczyzny z wąsikami, ubranego w mundur armii francuskiej.

— Co się z nim stało? — zapytał.

— Umarł w więzieniu. Trafił tam na kilka miesięcy przed narodzinami Hugo. Nawet

go nie zobaczył.

Pierrot zamyślił się. Nie znał nikogo, kto był w więzieniu. Tylko czytał w *Człowieku w żelaznej masce* o Filipie, bracie króla Ludwika XIII, którego pod fałszywymi zarzutami więziono w Bastylii, a potem miał w związku z tym nocne koszmary.

— Dlaczego on był w więzieniu? — zapytał.

— Nasz brat, tak jak twój ojciec, walczył na wojnie — powiedziała Simone. — Niektórzy żołnierze, kiedy wojna się skończyła, byli w stanie wrócić do normalnego życia, jednak wielu, przeważająca większość, jak uważam, nie umiało poradzić sobie z pamięcią o tym, co widzieli i co robili. Oczywiście są lekarze, którzy zrobili wszystko, co mogli, żeby świat zrozumiał ich traumę. Na przykład doktor Jules Persoine tu we Francji albo doktor Alfie Summerfield w Anglii. Obydwaj uczynili zadaniem swojego życia edukowanie społeczeństwa na temat tego, jak ucierpiało wojenne pokolenie i tłumaczenie nam, że naszym obowiązkiem jest niesienie mu pomocy.

— Mój ojciec też taki był — stwierdził Pierrot. — Mama zawsze mówiła, że chociaż nie zginął na wielkiej wojnie, to ta wojna go zabiła.

— Rozumiem, co miała na myśli — przytaknęła Simone, kiwając głową. — Z naszym Jacquesem było podobnie. Był takim uroczym chłopcem, pełnym życia i radości. Uosobieniem dobroci. Jednak później, gdy wrócił do domu... Cóż, stał się zupełnie inny. I robił straszne rzeczy. Ale służył swemu krajowi z honorem.

Simone wstała, podeszła do szklanej szafki, otworzyła ją i wyjęła medal, któremu Pierrot przyglądał się w dniu przyjazdu do sierocińca.

— Chcesz go potrzymać? — spytała.

Kiwnął głową, wziął medal ostrożnie w ręce i przebiegł opuszkami palców po wypukłościach figury widocznej na awersie.

— Dostał go za męstwo — stwierdziła Simone, odbierając od Pierrota medal i umieszczając go znów w szafce za szkłem. — To wszystko, co nam po nim zostało. Na przemian a to trafiał do więzienia, a to z niego wychodził, i tak przez dziesięć lat. Adele i ja często go odwiedzaliśmy, choć nienawidziłyśmy tego. Widzieć go w takich strasznych warunkach, tak źle traktowanego przez kraj, dla którego poświęcił cały swój spokój ducha... To była tragedia, nie tylko dla nas, ale też dla tak wielu innych rodzin. Włączając twoją, mam rację?

Pierrot skinął głową, ale nic nie powiedział.

— Jacques umarł w więzieniu, a potem Hugo był pod naszą opieką. Kilka lat temu powiedziałyśmy mu, jak nasi rodzice potraktowali jego matkę i jak nasz kraj potraktował jego ojca. Być może był zbyt młody, powinniśmy poczekać, aż stanie się dojrzały. W nim jest teraz ogromny gniew, który niestety manifestuje się w tym, jak on traktuje inne sieroty. Ale ty nie bądź dla niego zbyt surowy, Pierrot. Możliwe, że on uwziął się na ciebie najbardziej, bo jesteś kimś, z kim ma najwięcej wspólnego.

Pierrot wziął to pod rozwagę i spróbował poczuć sympatię do Hugo, ale nie było to łatwe. Prawda, że jak zauważyła Simone, ich ojcowie przeszli przez podobne doświadczenia, ale przecież on nie starał się z tego powodu obrzydzić życia, komu tylko się da.

— Szczęście, że to się skończyło — powiedział. — Mam na myśli wojnę. Następnej nie będzie, prawda?

— Mam nadzieję — odpowiedziała Simone w tym samym momencie, w którym drzwi otwały się na oścież i weszła Adele, wymachując listem.

— Tutaj jesteście! Szukałam was wszędzie — zawołała, spoglądając to na jedno, to na drugie z nich. — A tobie cóż takiego się przydarzyło? — zapytała, nachylając się nad Pierrotem i lustrując jego pokiereszowaną twarz.

— To była walka — stwierdził.

— Zwyciężyłeś?

— Nie.

— A to pech. Ale to cię powinno pocieszyć — pokazała mu list. — Masz tutaj dobre wiadomości. Już wkrótce nas opuścisz.

— Jakaś rodzina mnie chce? — spytał.

— Nie jakaś rodzina, tylko twoja rodzina — stwierdziła Adele, uśmiechając się. — Twoja własna.

— Adele, czy mogłabyś wyjaśnić, o co tu chodzi? — odezwała się Simone, odbierając list siostrze i przebiegając wzrokiem po jego kopercie. — Austria? — dodała, jeszcze bardziej zdziwiona, przyjrząwszy się znaczkowi.

— To list od twojej cioci Beatrix — powiedziała Adele, spoglądając na Pierrota.

— Ale przecież ja jej nigdy nie widziałem!

— No cóż, a ona i tak wie wszystko o tobie. Przeczytaj. Dopiero ostatnio dowiedziała się o tym, co się stało z twoją matką. Chce, żebyś do niej przyjechał i z nią zamieszkał.

## *Podróż trzema pociągami*

Zanim Adele pożegnała Pierrota na dworcu w Orleanie, wręczyła mu paczuszkę z kanapkami i zapowiedziała, żeby je jadł tylko wtedy, gdy będzie bardzo głodny, bo muszą mu wystarczyć na całą podróż, która potrwa ponad dziesięć godzin.

— Wpięłam ci w klapę nazwy wszystkich trzech stacji — dodała, kręcąc się jeszcze wokół niego, kiedy już upewniła się, że każda z karteczek jest solidnie przymocowana do jego kołnierza. — Za każdym razem jak dojedziesz do stacji, której nazwa będzie się zgadzała z którąś z kartek, zerwij ją i przesiądź się do następnego pociągu.

— Proszę — rzekła Simone, sięgając do torebki i podając mu jakiś drobny upominek, starannie opakowany w brązowy papier. — Pomyślałyśmy, że dzięki temu czas mniej ci się będzie dłużył. Przypomnisz sobie miesiące, które spędziłeś z nami.

Pierrot cmoknął każdą z sióstr w policzek, podziękował im za wszystko, co dla niego zrobiły i wsiadł do pociągu, gdzie wybrał sobie przedział, w którym siedziała już kobieta i nieduży chłopiec. Ta pani spojrzała na niego z niezadowoleniem, kiedy zajmował miejsce, jakby się spodziewała, że będą mieli przedział wyłącznie dla siebie, ale nie powiedziała nic, tylko wróciła do czytanej gazety, natomiast chłopiec schował do kieszeni paczuszkę ze słodyczami, która wcześniej leżała obok niego na siedzeniu. Pierrot usiadł przy oknie, pomachał Simone i Adele, kiedy pociąg ruszył, i dopiero wtedy przyjrzał się pierwszej notce przypiętej do jego klapy. Przeczytał ją sobie w skupieniu:

### MANNHEIM

Z dziećmi z sierocińca pożegnał się poprzedniego wieczora. Spośród wszystkich tylko Josette wydawała się żałować, że odjeżdża.

— Na pewno nie znalazła się jakaś obca rodzina, chętna, by adoptować? — zapytała. — Może to ukrywasz, żebyśmy my wszyscy czuli się lepiej, skoro nas nikt nie wybrał?

— Nie — zaprzeczył Pierrot. — Mogę pokazać ci list od cioci, jeśli chcesz.

— A jak ona cię odszukała?

— Mama Anszela porządkowała jakieś rzeczy mojej mamy i znalazła adres. Napisała do cioci Beatrix, co się wydarzyło, i przekazała jej informację o sierocińcu.

— I teraz ona chce, żebyś przyjechał i z nią zamieszkał?

— Tak — potwierdził Pierrot.

Josette pokręciła głową.

— Czy ona jest zamężna? — zapytała.

— Nie sędzę.

— To co ona robi? Jak zarabia na życie?

— Jest gosposią.

— Gosposią? — pytającym tonem powtórzyła Josette.

— Tak. A co w tym złego ?

— Pierrot, to nie jest złe samo przez się — stwierdziła, stosując sformułowanie, na jakie natknęła się ostatnio w książce i jakiego postanowiła używać teraz przy każdej okazji. — Jest tylko takie troszkę burżujskie, oczywiście, ale co ty możesz na to poradzić? A co z rodziną, której ona prowadzi dom, jacy to są ludzie?

— To nie jest rodzina — powiedział Pierrot. — To tylko jeden mężczyzna. Powiedział, że nie ma zastrzeżeń, jeśli nie jestem hałaśliwy. On niezbyt często tam przebywa, jak napisała moja ciocia.

— No tak — rzuciła Josette, siląc się na obojętny ton, lecz w głębi serca żałując, że nie może z nim pojechać. — Zawsze możesz tu wrócić, jak sądzę, gdyby tam coś nie wyszło.

Pierrot rozmyślał teraz o tej rozmowie, spoglądając przez okno na mijany krajobraz. Czuł się trochę niepewnie. Wydawało mu się dziwne, że ciocia nigdy nie skontaktowała się z nim przez te wszystkie lata — jakby nie było, siedem razy miał w tym czasie urodziny i siedem razy wypadało Boże Narodzenie — choć oczywiście było możliwe, że nie mogła zgodzić się z Maman, zwłaszcza po tym wszystkim, co musiało się wydarzyć między nią a jej bratem, czyli ojcem Pierrota. Tak, nękały go te sprawy, ale spróbował tymczasem o nich nie myśleć i przymknął oczy, chcąc się trochę zdrzemnąć. Otworzył je dopiero wtedy, gdy do przedziału wszedł starszy mężczyzna, by zająć czwarte, ostatnie już wolne miejsce. Pierrot wyprostował się, przeciągnął i ziewnął, przypatrując się mu. Mężczyzna był ubrany w długi czarny płaszcz, czarne spodnie oraz białą koszulę, i miał długie, skręcone kosmyki czarnych włosów po obu stronach głowy. Chodzenie najwyraźniej sprawiało mu trudność, bo używał laski.

— No, tego już za wiele — stwierdziła pani, która zajmowała miejsce naprzeciw Pierrota, składając gazetę i kręcąc głową.

Powiedziała to po niemiecku, a jemu otworzyła się w głowie jakaś klapka i przypomniał sobie język, w którym zawsze rozmawiał z ojcem.

— Naprawdę nie ma miejsca gdzie indziej? — dodała.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Szanowna pani, pociąg jest przepełniony — wyjaśnił grzecznie. — A tutaj jest wolne miejsce.

— Niestety — syknęła. — No, ale tak nie może być.

Wyrzuciwszy z siebie te słowa, wstała, wyszła z przedziału i ruszyła przed siebie korytarzem, a zaskoczony Pierrot nie mógł się nadziwić, jak może jej przeszkadzać, że ktoś dosiada się do nich, skoro jest wolne miejsce. Mężczyzna spojrzął w okno, potem westchnął głęboko, ale nie wstawił walizki na półkę na górze, choć zajmowała dużo miejsca na siedzeniu pomiędzy nim a Pierrotem.

— Może panu pomóc? — zapytał. — Mogę to wstawić, jeśli pan chce.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Myślę, że straciłbyś tylko czas — stwierdził. — Ale to bardzo uprzejme, że proponujesz.

W tym momencie do przedziału wróciła kobieta, prowadząc konduktora, który

rozejrzał się i wycelował palcem w starszego pana.

— No, dalej — warknął. — Na korytarz.

— Ale to miejsce jest wolne — odezwał się Pierrot, któremu przyszło do głowy, że konduktor myśli, że jedzie z nim któreś z jego rodziców i ten mężczyzna zajął mu miejsce. — Ja jestem sam.

— Na korytarz. I to już — pokrzykiwał konduktor, ignorując go. — Wstawaj, stary, bo będziesz miał kłopoty.

Mężczyzna podniósł się w milczeniu, wspierając się na lasce, wziął swoją walizkę i powoli, z wielką godnością, skierował się ku drzwiom.

— Bardzo szanowną panią za to przepraszam — zaczął się sumitować konduktor, kiedy tamten już wyszedł.

— Powinien pan na nich uważać — syknęła kobieta. — Podróżuję z synem. Chłopiec nie może być narażony na kontakt z takimi ludźmi.

— Przepraszam — powtórzył konduktor, na co ona tylko prychnęła z niesmakiem, jakby podejrzewała, że cały świat knuje coś, by tylko ją rozdrażnić.

Pierrot chciał ją zapytać, dlaczego zmusiła starszego mężczyznę do opuszczenia przedziału, ale przestraszył się, kiedy na nią spojrzął, i pomyślał, że jeśli coś powie, to może też będzie musiał wyjść, odwrócił się więc i zaczął wyglądać przez okno, a w końcu przymknął oczy i jeszcze raz zapadł w drzemkę.

Gdy się przebudził, drzwi przedziału były otwarte, a kobieta i jej syn zdejmowali z półek swoje bagaże.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— W Niemczech — odpowiedziała, po raz pierwszy się uśmiechając. — Nareszcie daleko od tych wszystkich okropnych Francuzów.

Gestem wskazała mu napis „Mannheim” widoczny na peronie, taki sam, jaki miał w klapie.

— Zdaje się, że tutaj wysiadasz — stwierdziła.

Pierrot zerwał się na te słowa, zebrał swoje rzeczy i wysiadł z pociągu.

Znalazłszy się w hali dworcowej, Pierrot poczuł się niepewny i samotny. Gdziekolwiek skierował wzrok, mężczyźni i kobiety pędzili dokądś, mijając go w pośpiechu i zmierzając tam, dokąd chcieli dojść, z zaciętością bliską desperacji. Żołnierze także. Mnóstwo żołnierzy.

Oczywiście uświadomił sobie, już w pierwszej chwili, że język się zmienił. Teraz, po przekroczeniu granicy, wszyscy wokół mówili po niemiecku, a nie po francusku, słuchał więc uważnie, starając się zrozumieć wypowiedane przez ludzi słowa i zdania, zadowolony z tego, że Papa nastawał, by uczył się tego języka już jako mały dzieciak. Zerwał z klapy swojej kurtki kartkę z napisem „MANNHEIM”, wrzucił ją do najbliższego kosza na śmieci i spojrzawszy na następną, odczytał głośno:

— Monachium.

Po czym pospiesznie ruszył w kierunku stacyjnego rozkładu jazdy, nad którym wisiał ogromny zegar, i w biegu wpadł na mężczyznę nadchodzącego z przeciwka tak niefortunnie, że odbiwszy się od niego, runął plecami na posadzkę. Gdy uniósł wzrok, zobaczył, że ten mężczyzna ma ziemistoszary mundur z masywnym czarnym pasem,

czarne buty z cholewami do kolan i opaskę na lewym ramieniu, z orłem z rozpostartymi skrzydłami umieszczonym ponad swastyką.

— Przepraszam — wykrztusił Pierrot, patrząc na niego ze strachem, a nawet przerażeniem.

Mężczyzna skrzywił się pogardliwie i zamiast pomóc chłopcu się podnieść, przydepnął czubkiem buta wierzch jego dłoni.

— To boli! — krzyknął Pierrot, bo nacisk był silny, coraz silniejszy, jakby zaraz miał zmiążyć mu palce.

Nigdy dotąd nie natknął się na kogoś, kto czerpałby aż tak widoczną przyjemność z zadawania bólu. A żaden z pasażerów, którzy przechodzili obok i widzieli, co się dzieje, nawet nie próbował mu pomóc.

— Ach, Ralf! — zawołała kobieta, która pojawiła się po chwili z małym chłopczykiem na rękach i z dziewczynką, mniej więcej pięcioletnią, idącą za nią. — Bardzo cię przepraszam, ale Bruno chciał zobaczyć parowe pociągi i nieomal straciliśmy cię z oczu. A co się tutaj stało? — zapytała.

Mężczyzna najpierw uśmiechnął się, potem zwolnił nacisk buta i nachylił się, by pomóc Pierrotowi wstać, a w końcu stwierdził, wruszając ramionami:

— Ten dzieciak biegł, a nie patrzył przed siebie. O mało co by mnie przewrócił.

— A jakie on ma stare ubranie — odezwała się dziewczynka, lustrując Pierrota z niesmakiem.

— Gretel, już ci przecież mówiłam, że nie robi się takich uwag — upomniała ją matka, marszcząc brwi.

— I do tego śmierdzące.

— Gretel!

— To może my już pójdziemy? — rzucił mężczyzna, spoglądając na zegarek.

Jego żona kiwnęła głową.

Ruszyli przed siebie, a Pierrot, rozcierając sobie drugą dłonią obolałe palce, patrzył na nich od tyłu. W pewnym momencie chłopczyk obrócił się na rękach matki, spojrział na niego i podniósł rączkę, żeby zrobić pa-pa. Pierrot uśmiechnął się mimo bólu i także mu pomachał. Kiedy w końcu wszyscy zniknęli w tłumie, stację wypełniły odgłosy konduktorskich gwizdków i Pierrot uzmysłowił sobie, że musi szybko znaleźć właściwy pociąg, bo inaczej może utknąć w Mannheim.

Z rozkładu zorientował się, że jego pociąg ma zaraz odjechać z peronu trzeciego, więc pobiegł tam i wpadł do wagonu w momencie, gdy konduktor zaczynał już zamykać drzwi. Ten odcinek podróży, jak wiedział, miał mu zająć trzy godziny. Myślał o tym teraz już bez wcześniejszej ekscytacji samym tylko faktem, że jedzie pociągiem.

A pociąg szarpnął i ruszył z hałasem z dworca, w chmurze pary. Pierrot, stojąc w korytarzu, widział przez otwarte okno, jak jakaś kobieta z walizką w ręku i w szalu na głowie biegnie i woła do maszynisty, żeby zaczekał. Kiedy stojący na peronie trzej żołnierze zaczęli się z niej śmiać, zatrzymała się, postawiła bagaż i upomniała ich, a wtedy jeden z żołnierzy złapał tę kobietę za rękę i wykręcił ją do tyłu. Przerażony Pierrot zdążył jeszcze zobaczyć, jak widoczna na jej twarzy złość ustępuje miejsca paroksyzmowi bólu, zanim odwrócił się od okna, bo ktoś klepnął go ręką po

ramieniu.

— A co ty tutaj robisz? — podejrzliwie zapytał konduktor. — Czy ty w ogóle masz bilet?

Pierrot sięgnął do kieszeni i wyjął wszystkie dokumenty, jakie siostry Durand dały mu przed opuszczeniem sierocińca. Konduktor zaczął je kartkować, a chłopiec patrzył, jak przesuwając poplamiony atramentem palec po linijkach i odczytuje poszczególne słowa, poruszając wargami i mamrocząc pod nosem. Zalatywało od niego papierosami, aż Pierrot poczuł lekki skurcz w żołądku, wywołany połączeniem tego odoru i ruchu pociągu.

— No, w porządku — stwierdził w końcu konduktor, wsuwając bilety i inne papiery Pierrota z powrotem do kieszeni jego kurtki i przyglądając się kartkom z nazwami miejscowości, jakie miał przypięte do klapy. — Sam podróżujesz, prawda?

— Tak, proszę pana.

— Nie masz rodziców?

— Nie, proszę pana.

— Tak czy inaczej, nie możesz tutaj stać, kiedy pociąg jest w ruchu — oświadczył. — To niebezpieczne. Mógłbyś wypaść, a pod kołami zostałaaby z ciebie tylko miazga. I nie myśl sobie, że nigdy nie było takich wypadków. Nawet nie miałbyś szans, żeby wyjść z czegoś takiego cało.

Dla Pierrota każde z tych słów było jak cios nożem w serce, bo przecież właśnie w taki sposób zginął jego Papa.

— To idziemy — zarządził mężczyzna, po czym szarpnął chłopca za ramię i pociągnął za sobą korytarzem.

Pierrot ścisnął w rękach walizkę i kanapki, a konduktor zaglądał do kolejnych mijanych przedziałów.

— Ten jest pełny — mruknął, sprawdzwszy pierwszy. — Ten też — stwierdził przy drugim. — I ten, i ten, i ten... Może w ogóle nie być wolnych miejsc — oznajmił w końcu, spoglądając na Pierrota. — Pociąg jest dzisiaj tak przepełniony, że może nie będziesz miał gdzie usiąść. Ale nie możesz też stać w korytarzu przez całą drogę do Monachium. Względy bezpieczeństwa, rozumiesz.

Pierrot nie rozumiał, ale nie powiedział tego. Tylko sobie pomyślał, że skoro nie może siedzieć ani nie może stać, to co ma robić, unosić się w powietrzu? Przecież nie jest w stanie.

— No! — rzucił w końcu z wyraźną ulgą mężczyzna, otworzywszy drzwi i zajrzawszy do kolejnego przedziału, z którego aż na korytarz dobiegał śmiech i głośna rozmowa. — Tu się znajdzie miejsce dla tego malca, prawda chłopcy? Ten dzieciak jedzie sam do Monachium. Zostawię go pod waszą opieką, jeśli pozwolicie.

Konduktor odsunął się z przejścia, a Pierrot, już wcześniej pełen obaw, przestraszył się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył pięciu chłopaków, czternasto-, piętnastoletnich, dobrze zbudowanych blondynów o jasnej karnacji, w milczeniu spoglądających na niego tak, jakby byli watahą wygłodniałych wilków, którym nieoczekiwanie trafił się świeży posiłek.

— Wchodź, mały — odezwał się najwyższy z nich, wskazując wolne miejsce

między dwoma kolegami siedzącymi naprzeciwko niego. — My nie gryziemy — dodał, po czym wyciągnął rękę i zagarnął go nią do środka.

W tym z pozoru zapraszającym gości było coś, co sprawiło, że Pierrot poczuł się bardzo nieswojo, usiadł jednak, ponieważ nie miał wyboru. Po paru minutach oni znowu zaczęli ze sobą rozmawiać, całkowicie go ignorując. Poczuli się wśród nich strasznie mały.

Dość długo patrzył na czubki własnych butów, ale w końcu, gdy trochę nabrał śmiałości, podniósł wzrok z podłogi i zaczął udawać, że wygląda przez okno, choć tak naprawdę spoglądał na jednego z chłopaków, który drzemał z głową opartą o szybę.

Oni wszyscy byli jednakowo ubrani, w mundury składające się z brązowych koszul, czarnych krótkich spodni, czarnych krawatów i białych podkolanówek, a na ramionach mieli czerwono-biało-czerwone opaski, ze swastyką na białym polu w kształcie rombu, taką samą, jaką nosił na rękawie mężczyzna, który przydepnął mu palce na dworcu w Mannheim. Ich wygląd robił na Pierrocie wrażenie, żałował, że nie ma na sobie munduru, tylko stare rzeczy, w jakie przyodział go siostry Durand. Gdyby był ubrany tak, jak ci chłopcy, to żadne tam dziewczuszki na stacjach nie mogłyby robić sobie uwag na temat jego odzieży.

— Mój ojciec był żołnierzem — odezwał się nagle, sam zadziwiony tym, jak głośno te słowa popłynęły z jego ust.

Chłopcy przestali rozmawiać ze sobą i popatrzyli na niego, a ten spod okna ocknął się, zamrugał kilkakrotnie oczami, rozejrzał się wokół i spytał, czy już dojechali do Monachium.

— Coś ty powiedział, mały? — mruknął najwyższy chłopak, najwyraźniej przywódca całej grupy.

— Powiedziałem, że mój ojciec był żołnierzem — powtórzył Pierrot, żałując już w tym momencie, że w ogóle się odzywał.

— A kiedy?

— W czasie wojny.

— Ta twoja wymowa... — zauważył tamten, nachylając się. — Dobrze mówisz po niemiecku, ale nie jesteś rodowitym Niemcem, prawda?

Pierrot pokręcił głową.

— To kim? Niech zgadnę... — Chłopak z przelotnym uśmiechem szturchnął Pierrota palcem w pierś, na wysokości serca. — Szwajcarem? Nie, nie. Francuzem! Mam rację, prawda?

Pierrot kiwnął głową, a wtedy tamten uniósł brwi i z lekka pociągnął kilka razy nosem, jakby próbował wywąchać jakiś nieprzyjemny zapach.

— A ile masz lat, sześć? — zapytał.

— Siedem — odparł Pierrot, prężąc się, dotknięty do żywego.

— Za mały jesteś jak na siedem lat.

— Wiem o tym — przytaknął. — Ale kiedyś będę większy.

— Możliwe, jak dożyjesz. A do kogo ty jedziesz?

— Do cioci — wyjaśnił Pierrot.

— Też jest Francuzką?

— Nie, ona jest Niemką.

Chłopak podumał przez chwilę i uśmiechnął się tak jakoś niepokojąco, po czym rzucił:

— A czy ty wiesz, mały, co ja w tej chwili czuję?

— Nie — odpowiedział Pierrot.

— Głód.

— To nie jadłeś dzisiaj śniadania?

Pytanie Pierrota wywołało głośny śmiech u dwu spośród pozostałych chłopaków, który jednak ucichł niemal natychmiast, kiedy przywódca spiorunował ich wzrokiem.

— Owszem, jadłem śniadanie — odparł. — Zjadłem pyszne śniadanie. I dobry obiad. I nawet jeszcze coś tam na dworcu w Mannheim. Ale dalej jestem głodny.

Pierrot zerknął na swoją paczuszkę z prowiantem, leżącą na siedzeniu obok niego, i pożałował, że nie schował jej do walizki razem z upominkiem od Simone. Zamierzał zjeść teraz dwie kanapki, a trzecią zostawić sobie na ostatni odcinek podróży.

— Może w pociągu jest bufet? — rzucił niepewnie.

— Może, ale ja i tak nie mam pieniędzy — stwierdził chłopak, uśmiechając się i rozkładając ręce. — Przecież ja jestem tylko młodym człowiekiem w służbie ojczyzny. Zwykłym Rottenführerem, dowódcą sekcji, synem profesora literatury. Prawda, że starszym rangą od tych siedzących tu obok mnie szeregowych członków Hitlerjugend... A jak się miewa twój ojciec? — zmienił nagle temat.

— Mój ojciec nie żyje.

— Zginął na wojnie?

— Nie, później.

Chłopak zamilkł, jakby rozważał to, co usłyszał.

— A twoja matka jest na pewno bardzo ładna, co? — odezwał się po chwili, ujmując kciukiem i palcem wskazującym podbródek Pierrota.

— Moja matka też nie żyje — odpowiedział Pierrot i szarpnął się do tyłu.

— Jaka szkoda. Też była Francuzką, jak myślę?

— Tak.

— No, w takim razie...

— Przestań, Kurt — przerwał mu ten spod okna. — Daj mu spokój, przecież to dziecko.

— Masz coś do powiedzenia, Schlenheim? — syknął, odwracając się błyskawicznie i wbijając wzrok w kolegę. — Chyba to, że regulamin wyparował ci z głowy, kiedy tu chrapałeś jak wieprzek.

Schlenheim nerwowo przełknął ślinę i spąsował na twarzy.

— Ja... przepraszam... Rottenführer Kotler — wykrztusił zdeprymowany. — Tak jakoś mi się wyrwało.

— Powtarzam więc: jestem głodny — stwierdził Kotler, popatrując znów na Pierrota.

— Jakby tak było coś do zjedzenia... Zaraz! A co to jest? — Uśmiechnął się przy tym pytaniu, prezentując garnitur równiutkich, lśniących białych zębów. — Czy to są jakieś kanapki? — złapał paczuszkę i powąchał ją. — Chyba tak, sądząc po zapachu. Ktoś musiał je tu wcześniej zostawić.

— One są moje — odezwał się Pierrot.

— A podpisałeś je swoim imieniem i nazwiskiem?

— Przecież nie da się podpisać chleba...

— W takim razie nie mamy pewności, że są twoje. A skoro ja je znalazłem, to mam do nich pełne prawo — z triumfem w głosie zawyrokował Kotler, po czym bezceremonialnie rozerwał paczuszkę, wyciągnął pierwszą kanapkę, pochłonał ją na trzy kęsy i zabrał się za drugą. — Są pyszne — stwierdził i podał trzecią Schlenheimowi, a kiedy ten pokręcił głową, spytał go: — Nie jesteś głodny?

— Nie, Rottenführer Kotler.

— A ja słyszałem, jak ci w brzuchu burczało. Jedz!

Schlenheimowi z lekka drżała ręka, kiedy brał od niego tę ostatnią kanapkę.

— No, świetnie — rzucił Kotler z uśmiechem. — Szkoda, mały, że już więcej nie ma — zwrócił się do Pierrota — bo dałbym jedną tobie. Wyglądasz, jakbyś głodował.

Pierrot patrzył na niego i miał ochotę wygarnąć mu prosto w twarz, co myśli o złodziejach, którzy kradną jedzenie młodszym dzieciom, jednak było w tym chłopaku coś takiego, co dało mu do zrozumienia, jak źle wyszedłby na ewentualnej sprzeczce, i to nie tylko dlatego, że Kotler był od niego starszy i większy. Milczał więc, a kiedy poczuł, że łzy napływają mu do oczu, to zaczął usilnie mrugać, byleby tylko się nie pokazały, bo postanowił nie płakać. No i na wszelki wypadek zaczął się wpatrywać w podłogę.

Kotler powoli wysunął nogę i trącił go butem, a kiedy chłopiec podniósł wzrok, cisnął mu w twarz zgniecioną papierową torebkę po kanapkach i jakby nigdy nic wrócił do rozmowy z kolegami.

Pierrot milczał już do samego Monachium.

Kiedy kilka godzin później pociąg wjechał na dworzec, członkowie Hitlerjugend zebrali swoje rzeczy i kolejno zaczęli opuszczać przedział. Pierrot chciał, żeby wyszli najpierw, więc czekał, aż w końcu został sam z Rottenführerem Kotlerem, który omiółszy go wzrokiem, nachylił się, żeby odczytać kartkę, jaką miał wpiętą do klapy.

— Musisz tu wysiąść — stwierdził. — To twoja stacja.

Z jego tonu nikt by się nie domyślił, że wcześniej dokuczał Pierrotowi, teraz robił wrażenie kogoś, kto chce wyłącznie nieść pomoc, gdy zrywał napis „MONACHIUM” z jego kołnierza i odczytywał na głos ostatnią notkę:

— Salzburg. Znaczy, że nie zostajesz w Niemczech — stwierdził. — Jedziesz do Austrii.

— Ale ty nie, prawda? — zapytał Pierrot, ogarnięty nagle panicznym strachem, że mogliby znowu znaleźć się w tym samym pociągu.

— Ja, do Austrii? — rzucił Kotler, biorąc plecak z półki i kierując się do drzwi. — Nie — odparł z uśmiechem i pokręcił głową. — Znaczy, jeszcze nie — dodał po chwili namysłu i zrobieniu paru kroków, odwracając się i puszczając perskie oko. — Ale niedługo tak, jak myślę, bardzo niedługo. Dzisiaj Austriacy mają miejsce, które nazywają swoim domem. Ale pewnego pięknego dnia... baach! — zamarkował odgłos eksplozji, wzmacniając go dodatkowo gestem najpierw złożonych, a potem gwałtownie

odrywanych od siebie dłoni.

Po czym wybuchnął śmiechem i zniknął z przedziału.

Ostatni odcinek podróży miał zająć niecałe dwie godziny, więc Pierrot, głodny i zmęczony aż do wyczerpania, bał się zasnąć, żeby nie przegapić stacji. Myślał o mapie Europy, jaka wisiała na ścianie w jego klasie w Paryżu, i próbował wyobrazić sobie, dokąd mógłby trafić, gdyby do tego doszło. Być może do Rosji. A nawet jeszcze dalej.

Siedział teraz w przedziale sam, więc przypomniał sobie o upominku, jaki Simone wręczyła mu na peronie w Orleanie, bez obaw wyjął go z walizki. W brązowy papier opakowana była książka. Na żółtej okładce, podpisanej w prawym dolnym rogu nazwiskiem rysownika — Trier, widać było mężczyznę idącego ulicą i trzech chłopców, którzy obserwowali go, ukryci za filarem. Książka nosiła tytuł *Emil i detektywi*, a jej autorem był Erich Kastner. Zaczynała się tak:

— *Emil, przenieś mi ten drugi dzbanek gorącej wody, dobrze?* — *powiedziała pani Tischbein.*

*Sama złapała pierwszy dzbanek oraz niebieską miseczkę z rumiankowym szamponem i szybko przeszła z kuchni do frontowego pokoju. Emil ze swoim dzbankiem podążył za nią.*

Pierrot nie musiał czytać długo, żeby się zorientować, że chłopiec z książki, Emil, ma z nim sporo wspólnego. Po śmierci ojca mieszka tylko z matką, tak jak on mieszkał ze swoją Maman, tyle że nie w Paryżu, a w Berlinie. Także wyrusza sam w podróż pociągiem i mężczyzna z jego przedziału kradnie mu pieniądze, podobnie jak Rottenführer Kotler ukradł Pierrotowi kanapki.

Pierrot nawet ucieszył się, że nie ma żadnych pieniędzy, ale miał przecież walizkę, a w niej ubrania, szczoteczkę do zębów, zdjęcie rodziców i nowe opowiadanie, jakie Anszel przysłał mu tuż przed wyjazdem z sierocińca. Zdażył już je przeczytać dwa razy, było o chłopcu obrzucanym wyzwiskami przez ludzi, o których sądził, że są jego przyjaciółmi, i Pierrotowi wydawało się trochę niepokojące, czy może denerwujące. Wolał opowiadania, jakie Anszel pisywał wcześniej, o czarodziejach i mówiących zwierzętach. Teraz walizkę przyciągnął bliżej do siebie, na wypadek, gdyby ktoś wsiadł i próbował zrobić mu to, co Max Grundreis zrobił Emilowi. W końcu jednak kołysanie pociągu okazało się tak kojące, że nie zdołał powstrzymać oczu przed zamknięciem i usnął, a książka wysunęła mu się z rąk.

Obudziło go głośne stukanie w okno. Zaskoczony, zerwał się i zaczął rozglądać wokół, w pierwszej chwili zastanawiając się, gdzie jest, a już za moment wpadając w popłoch, że może znalazł się w Rosji. Pociąg już stał, w przedziale panowała pełna grozy cisza.

Stukanie powtórzyło się, jeszcze gwałtowniejsze, ale okno było tak zaparowane, że nie mógł wyrzeć na peron. Przetarł szybę ręką, zakreślając nią łuk, i z ulgą zobaczył wielką tablicę z napisem „Salzburg”. Dość ładna kobieta z długimi rudymi włosami

stała na zewnątrz i zaglądała do przedziału. Coś mówiła, ale on nic nie słyszał, choć ona wciąż poruszała ustami. Dopiero kiedy wspiął się na siedzenie i otworzył małe okienko u góry, dotarły do niego jej słowa:

— Pierrot, to ja! Jestem twoją ciocią Beatrix.

## *Dom na szczycie góry*

Pierrot obudził się następnego ranka w nieznanym sobie pokoju. Jego drewniany sufit tworzyły szeregi długich jasnych desek, wspieranych przez poprzeczne, nieco ciemniejsze belki. W rogu, wprost nad głową chłopca, rozciągała się wielka pajęcza sieć, a jej budowniczy zawisł złowrogo na swojej jedwabistej nici, która nieustannie wirowała.

Pierrot leżał bez ruchu przez kilka minut, próbując przypomnieć sobie więcej szczegółów z ostatniego odcinka podróży. Pamiętał jeszcze, jak wysiadł z pociągu i szedł peronem z kobietą, która stwierdziła, że jest jego ciotką, i jak zajął miejsce na tylnym siedzeniu samochodu prowadzonego przez mężczyznę w ciemnoszarym uniformie i szoferskiej czapce. Wszystko, co było później, tonęło już w mroku. Chyba napomknął o tym, że chłopcy z Hitlerjugend odebrali mu kanapki, a szofer powiedział coś o ich zachowaniu, ale ciocia Beatrix natychmiast go uciszyła. Zaraz potem usnął i śniło mu się, że unosi się w chmurach, coraz wyżej i wyżej, i z każdą minutą robi mu się coraz bardziej zimno. Aż wreszcie jakieś silne ręce wyciągnęły go z samochodu i zaniósły do sypialni, gdzie kobieta otuliła go kołdrą i pocałowała w czoło, a potem zgasła światło.

W końcu usiadł i rozejrzał się wokół. Pokój był całkiem niewielki — mniejszy nawet od tego, w którym sypiał w domu w Paryżu — a jego umeblowanie ograniczało się do łóżka, komody z miską i dzbankiem na blacie i szafy stojącej w kącie. Pierrot odchylił kołdrę i spostrzegł ze zdziwieniem, że ma na sobie tylko długą nocną koszulę, a pod nią już nic. Na myśl o tym, że ktoś musiał go rozebrać do snu, oblał się rumieńcem, bo przecież ta osoba, kimkolwiek była, widziała wszystko.

Wstał z łóżka i czując bosymi stopami chłód drewnianej podłogi, podszedł do szafy, ale nie znalazł w niej swoich rzeczy. Jedną po drugiej otwierał szuflady komody, ale one również okazały się puste. Natomiast dzbanek pełen był wody, wypił więc odrobinę, płucząc przy tym usta, i wlał trochę do miski, żeby przemyć sobie twarz. Potem podszedł do jedynej w pokoju okna i odsunął zasłonę, chcąc wyrzecz, ale szyba była oszroniona, zobaczył więc tylko niewyraźną mieszankę zieleni i bieli, co sugerowało widok łąki, która stara się przebić przez śnieg. Poczł skurcz w żołądku.

Gdzie ja jestem? — pomyślał z lękiem.

Odwróciwszy się, spostrzegł na ścianie portret niesłychanie poważnego mężczyzny z wąsikami, patrzącego gdzieś w dal; miał na sobie żółtą marynarkę z żelaznym krzyżem wpiętym w kieszeń na piersi, jedną rękę trzymał na oparciu krzesła, a drugą opierał na biodrze. W tle widać było drzewa i niebo, które zaciągało się ciemnymi chmurami, jakby przed jakąś straszną burzą.

Pierrot długo wpatrywał się w malowidło, w spojrzeniu mężczyzny było bowiem coś

hipnotyzującego. Oderwał wzrok od portretu, dopiero kiedy usłyszał kroki na korytarzu. Wskoczył wtedy do łóżka i podciągnął sobie kołdrę aż pod brodę. Gałka w drzwiach obróciła się i do pokoju weszła dość korpulentna dziewczyna w wieku około osiemnastu lat, z rudymi włosami i rumianą twarzą.

— No, obudziłeś się wreszcie — rzuciła karzącym tonem.

Pierrot nie odrzekł nic, jedynie kiwnął głową.

— Masz ze mną pójść — stwierdziła.

— Dokąd?

— Tam, gdzie cię zaprowadzę i tyle — zachnęła się. — Chodź. Pospiesz się. Bo ja mam za dużo roboty, żeby jeszcze tracić czas na odpowiadanie na jakieś głupie pytania.

Pierrot wysunął się spod kołdry i stanął przy łóżku. Patrząc na własne stopy, a nie na dziewczynę, zapytał ją:

— A gdzie są moje ubrania?

— Poszły do pieca — odpowiedziała. — Teraz jest już z nich popiół.

Pierrot poczuł, że coś go dławi z żalu. Przecież to, co założył na podróż, kupiła mu Maman na siódme urodziny; po raz ostatni wtedy razem robili zakupy.

— A moja walizka? — wykrztusił.

Dziewczyna lekceważąco wzruszyła ramionami.

— Wszystko poszło do pieca — mruknęła. — Nie chcemy mieć tu w domu żadnego takiego śmierdzącego paskudztwa.

— Ale przecież...

— Nie marudź — skarciła go. — Te wszystkie łachy były brudne i pewnie gnieździł się w nich jakiś niepożądany element, dlatego trafiły do ognia. A ty masz szczęście, że jesteś tutaj, w Berghof.

— Gdzie?

— W Berghof — powtórzyła. — Tak nazywa się ten dom. Nie uznajemy tutaj żadnych fochów. Chodź teraz ze mną i już. Nie chcę słyszeć więcej ani słowa od ciebie.

Pierrot szedł korytarzem, popatrując to w prawo, to w lewo, i usiłując zorientować się we wszystkim. Dom był niemal całkowicie drewniany i jakkolwiek wydawał się przyjemny, przytulny, to umieszczone na ścianach grupowe fotografie, przedstawiające wyprężonych na baczność oficerów w mundurach — niektórzy z nich tak wpatrywali się w obiektyw, jakby chcieli prześwidrować go wzrokiem — niezbyt pasowały do jego wnętrza. Pierrot zatrzymał się przed jedną z nich. Sportretowani mężczyźni wydali mu się zawzięci, groźni, przystojni i elektryzujący jednocześnie. Zaczął się zastanawiać, czy ma szansę wyglądać tak samo, kiedy dorośnie; bo gdyby tak wyglądał, to nikt nie ośmieliłby się przewrócić go na dworcu kolejowym ani ukraść mu kanapek w przedziale.

— Ona zrobiła te zdjęcia — powiedziała dziewczyna, przystając również.

— To znaczy kto? — zaciekał się Pierrot.

— Pani. No, nie ociągaj się już, bo woda stygnie.

Wprawdzie nie pojął, o co jej chodzi, ale ruszył za nią, gdy skierowała się najpierw

schodami w dół, a potem na lewo.

— To jak ty masz na imię? — spytała, zerkając na niego przez ramię. — Bo jakoś mi znowu wyszło z głowy.

— Pierrot.

— A co to jest za imię?

— Nie wiem — odparł, wzruszając ramionami. — Po prostu takie mam.

— Nie wzruszaj ramionami — upomniała go. — Pani nie cierpi ludzi, którzy tak robią. Mówi, że to prostackie.

— Mówisz o mojej cioci?

Dziewczyna stanęła jak wryta i wybałuszyła na niego zdziwione oczy, a zaraz potem odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem.

— Coś ty, Beatrix nie jest tu panią, tylko gospodynią — wyjaśniła. — A pani to... No, pani to pani i tyle. Ona tu rządzi. Wydaje rozkazy twojej ciotce. I nam wszystkim.

— A ty jak się nazywasz?

— Herta Theissen — odpowiedziała dziewczyna. — Jestem tu drugą co do starszeństwa pokojówką.

— A ile jest pokojówek?

— Dwie. Ale pani mówi, że wkrótce będzie potrzeba nam więcej, więc kiedy dojdą inne, to ja pozostanę drugą i one będą mi podlegały.

— Też tutaj mieszkasz?

— Ma się rozumieć. Myślisz, że tylko wpadłam z wizytą, czy co? Tutaj jest pan i pani, o ile są obecni, bo teraz nie widzieliśmy ich od paru tygodni. Czasami przyjeżdżają na dzień lub dwa, na przykład na sobotę i niedzielę, czasami na dłużej, ale zdarza się też, że nie widzimy ich przez cały miesiąc. No i jest Emma, kucharka, uważaj, żeby się jej nie narazić. I Ute, starsza pokojówka. I oczywiście szofer Ernst, widziałeś go wczoraj wieczorem, jak myślę. On jest cudowny! Taki przystojny i wesoły, i taki... uważny... — umilkła na chwilę i westchnęła z rozmarzeniem. — No i jest twoja ciotka, gospodyni. I zwykle paru żołnierzy, którzy trzymają wartę przy drzwiach, ale oni zmieniają się tak często, że szkoda zachodu, żeby się z nimi zapoznawać.

— A gdzie jest moja ciocia? — zapytał Pierrot, pewien już, że niezbyt lubi Hertę.

— Pojechała z Ernstem na dół, kupić parę rzeczy potrzebnych tu na górze. Szybko będzie z powrotem, jak myślę. Chociaż z nimi nigdy nic nie wiadomo. Bo twoja ciotka ma taki paskudny zwyczaj, że lubi zabierać Ernstowi czas. Coś bym jej przygadała na ten temat, ale ona jest nade mną i pewnie poszłaby z tym do pani.

Herta otworzyła jakieś drzwi. Ona przodem, a Pierrot za nią, weszli do pomieszczenia, pośrodku którego stała blaszana wanna, do połowy napełniona wodą, ciepłą, jak można było sądzić po unoszącej się parze.

— Jest akurat dzień kąpieli? — zapytał.

— Kąpiel jest tylko dla ciebie — odpowiedziała, podwijając rękawy. — Ściągaj koszulę i wskakuj do wanny, żebym cię mogła wyszorować do czysta. Bóg jeden wie, jakie brudy przywlokłeś tu ze sobą. Nigdy nie spotkałam Francuza, który by nie był flejtuchem.

— Nie! — krzyknął Pierrot i nie tylko odskoczył do tyłu, ale też zasłonił się rękoma, kierując ku Hercie wewnętrzną stroną dłonie z rozczapierzonymi palcami, by nie mogła podejść do niego bliżej.

Przecież nie wchodziło w grę, żeby miał się rozbierać przy kimś obcym, a już zwłaszcza przy dziewczynie. Nawet w sierocińcu, gdzie w sali byli sami chłopcy, nie lubił tego robić.

— Nie, nie, nie — powtórzył dobitnie. — W żadnym wypadku. Niczego nie zdejmę. Przepraszam, ale nie.

— Czy ty myślisz, że masz jakiś wybór? — huknęła, biorąc się pod boki i spoglądając na niego tak, jakby spadł z księżycy. — Rozkaz to rozkaz, Pierre...

— Pierrot.

— Szybko się tego nauczysz. Rozkazy są nam wydawane, a my je wykonujemy. Za każdym razem i bez gadania.

— Nie zrobię tego — stwierdził Pierrot, czerwieniejąc ze wstydu. — Nawet mama przestała mnie kapać, kiedy miałem pięć lat.

— Z tego, co wiem, twoja matka nie żyje. A twój ojciec rzucił się pod pociąg.

Pierrot patrzył na nią, przez chwilę niezdolny do wypowiedzenia bodaj słowa. Jakby nie mógł uwierzyć, że naprawdę usłyszał od kogoś coś tak okrutnego.

— Sam się umyję — wykrztusił w końcu. — Wiem, jak to zrobić i zrobię to dobrze, obiecuję.

Zrezygnowana Herta machnęła ręką.

— Niech ci będzie — mruknęła, po czym złapała kostkę mydła i wetknęła mu w dłoń. — Ale jak wrócę tu za piętnaście minut, całe mydło ma być zużyte, rozumiesz? Bo jak nie, to wezmę szczotkę do szorowania i zrobię z tobą porządek, chcesz czy nie.

Pierrot kiwnął głową na znak, że przyjmuje warunki, i odetchnął z ulgą. Zaczekał, aż Herta wyjdzie z łazienki, zdjął nocną koszulę i ostrożnie wszedł do wanny. Gdy się w niej znalazł, położył się na wznak i przymknął oczy, rozkoszując się niespodziewanym luksusem. Długi czas minął, odkąd ostatnio wziął ciepłą kąpiel. W sierocińcu kąpiele zawsze były zimne, a na dodatek tak wiele dzieci musiało korzystać z tej samej wody. Teraz, kiedy mokre mydło zrobiło się przyjemnie miękkie i speniło się, zaczął się myć.

Choć woda szybko zmętniała od brudu, jaki nagromadził się na jego ciele, zanurzył w niej głowę i przytrzymał ją przez chwilę pod powierzchnią, rozbawiony tym, że przestały wtedy do niego docierać jakiegokolwiek odgłosy z zewnątrz. A potem namydlił ją, żeby umyć włosy. Następnie, spłukawszy z siebie pianę, usiadł w wannie, by zająć się szorowaniem stóp i paznokci. Patrzył z ulgą, jak mydło robi się coraz to mniejsze, ale nie przestawał się myć, póki całkiem nie zniknęło. Dopiero wtedy odetchnął, uradowany tym, że Herta nie będzie miała powodu, by wypełnić swoją przerażającą groźbę.

Kiedy znów weszła do łazienki — nawet bez pukania! — przyniosła duży ręcznik.

— No dalej, wychodź — rzuciła.

— To się odwróć — zażądał Pierrot.

— Ale masz wymagania! — stęknęła, jednak odwróciła głowę i przymknęła oczy.

Pierrot wyszedł z wanny i calutki owinał się ręcznikiem, tak wspaniale miękkim, jak żaden, którego kiedykolwiek używał. Z miłą chęcią zostałby w nim na zawsze, bo było mu nadzwyczaj przyjemnie.

— No dobra — odezwała się Herta. — Zostawiłam ci czyste ciuchy na łóżku. Są za duże, ale na razie muszą wystarczyć tu na górze, póki Beatrix nie zabierze cię na dół, żeby coś ci kupić, jak planuje, z tego co wiem.

Znowu ta góra.

— Dlaczego ja jestem na górze? — zapytał Pierrot. — Co to za miejsce?

— Już żadnych pytań — ucięła Herta. — Ty może nie masz nic do zrobienia, ale ja mam. Ubierz się, a jak zejdziesz na dół, to możesz sobie wziąć coś do zjedzenia, jeśli jesteś głodny.

Pozostawiając ślady mokrych stóp na drewnianej podłodze, Pierrot, wciąż owinięty w ręcznik, pobiegł schodami na górę do swojego pokoju, gdzie faktycznie na łóżku znalazł starannie ułożony komplet odzieży. Rękawy koszuli musiał podwinąć, podobnie jak nogawki spodni, a pasek zaciągnąć najciaśniej, jak tylko się dało. Była jeszcze bluza, ale aż taka na wyrost, że kiedy ją założył, to sięgała mu poniżej kolan, zdjął ją więc i postanowił się hartować.

Idąc znów na dół schodami, rozglądał się wokół, niepewny, gdzie ma się kierować, ale nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc.

— Halo? — rzucił niezbyt głośno, aby zbytnio nie zwracać na siebie uwagi, jednak z nadzieją, że ktoś go usłyszy. — Halo? — powtórzył, idąc ku frontowym drzwiom.

Dobiegały zza nich jakieś męskie głosy i śmiechy, przekręcił więc gałkę i otworzył. Z zewnątrz buchnęło do środka silne pomimo chłodu słoneczne światło. Kiedy wyszedł, dwaj mężczyźni natychmiast cisnęli na ziemię wypalone do połowy papierosy i przydepnęli je, po czym stanęli wyprężeni, patrząc na wprost. W szarych mundurach, szarych czapkach z daszkami, czarnych wysokich butach z cholewami prawie do kolan, ściśnięci masywnymi czarnymi pasami, byli jak dwa posągi.

Obydwaj mieli karabiny na ramionach.

— Dzień dobry — nieśmiało odezwał się Pierrot.

Żaden z żołnierzy nie odpowiedział, więc on zrobił jeszcze parę kroków, po czym odwrócił się i mając ich teraz przed sobą, zaczął spoglądać na przemian to na jednego, to na drugiego, jednak nadal żaden z nich nie wyrzekł bodaj słowa. Zamiast zatrwożyć, jakoś go rozbawili tą swoją postawą, toteż wetknął sobie dwa palce w kąciki ust, rozciągnął je tak szeroko, jak tylko zdołał, i zaczął przewracać oczami, dla lepszego efektu tłumiąc chichot. Nie zareagowali. Zaczął więc skakać na jednej nodze i klepiąc się dłonią po otwartych ustach, wydał indiański okrzyk wojenny. Dalej nic.

— Jestem Pierrot! — oznajmił. — Król góry!

W tym momencie jeden z żołnierzy odwrócił trochę głowę, wydał wargi i uniósł lekko ramię, przez co lufa jego karabinu również poszła w górę, a wszystko to zrobił tak, by Pierrot uznał, że nie powinien nic już więcej do nich mówić.

Co miał zatem robić? Trochę chciał wracać do środka i poszukać czegoś do zjedzenia, jak radziła Herta, bo przecież nic nie miał w ustach od dwudziestu czterech godzin, odkąd opuścił Orlean. Jednak chęć, by rozejrzeć się wokół,

zorientować się, gdzie właściwie jest, była silniejsza. Ruszył przez trawę pokrytą szronem, który przyjemnie trzeszczał mu pod butami, aby oddalić się od domu i zobaczyć coś więcej. Widok okazał się oszałamiający. Ta góra, na szczycie której przebywał, nie wznosiła się samotnie, ale wśród innych, tak wysokich, że strzelały ku chmurom. Ich ośnieżone szczyty zlewały się z bielą nieba, a chmury kłębiły się pomiędzy nimi tak gęsto, że trudno było stwierdzić, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga. Pierrot nigdy w życiu nie widział czegoś takiego.

To było piękne. Ogrom świata owładnięty ciszą.

Kiedy usłyszał z oddali jakiś dźwięk, ruszył łukiem, by popatrzeć na drogę, która biegła przed domu przez samo serce Alp, wijąc się serpentynami to w lewo, to w prawo, i w końcu niknąc gdzieś w dole. „Właściwie, to jak wysoko ja teraz jestem?” — zaniepokoił się. Wziął oddech. Powietrze było świeże i lekkie, wypełniło jego płuca i jego duszę nieogarnionym wprost błogostanem. Kiedy znów spojrzął w dół na drogę, dostrzegł samochód, który mozolnie zmierzał w stronę domu, i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien raczej wejść do środka, zanim pojawi się ten ktoś, kto nim jedzie. Pomyślał jeszcze, że chciałby być tutaj razem z Anszalem, bo on wiedziałby, co zrobić. Pisywali do siebie regularnie, kiedy Pierrot był w sierocińcu, ale przeprowadzka nastąpiła tak szybko, że nawet nie zdążył powiadomić o niej przyjaciela. Prawda, mógł teraz napisać do niego list, ale jaki adres miałby mu podać?

Pierrot Fischer  
Szczyc Góry  
Gdzieś blisko Salzburga

To na pewno by nie wystarczyło.

Samochód podjechał bliżej i zatrzymał się w punkcie kontrolnym, usytuowanym przy drodze o jakieś pięć czy sześć metrów poniżej domu. Pierrot patrzył, jak żołnierz wychodzi z niewielkiej drewnianej budki, a potem podnosi barierę i daje ręką sygnał do dalszej jazdy. To był ten sam samochód, jaki zabrał go ze stacji poprzedniego wieczora, czarny volkswagen ze składanym dachem i z parą czarno-biało-czerwonych chorągiewek z przodu, powiewających na wietrze. Gdy stanął, wysiadł Ernst, obszedł go i otworzył tylne drzwi cioci Beatrix. Zamienili swobodnie parę słów, ale gdy w końcu ona spojrzała w stronę żołnierzy stojących u drzwi, jej twarz najwyraźniej spoważniała, a może i sposepniała. Ernst wsiadł z powrotem do auta i odjechał, aby je zaparkować nieopodal.

Beatrix powiedziała coś do jednego z żołnierzy, a ten wskazał jej na Pierrota. Popatrzyła w jego stronę, a kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia, uśmiechnęła się, i wtedy on uświadomił sobie, jak bardzo jest podobna do jego ojca Wilhelma. Przypomniawszy sobie i pomyślał, że chciałby znów być w Paryżu w dawnych dobrych czasach, gdy żyli obydwój rodzice i troszczyli się o niego, i kochali go, i chronili, i D'Artagnan drapał w drzwi, żeby go wyprowadzić na spacer, a Anszel był na dole, zawsze gotów uczyć Pierrota tych wszystkich bezgłośnych słów wypowiedzianych

palcami.

Beatrix uniosła rękę, a on odczekał chwilę i też podniósł swoją w odpowiedzi, porzucając w tym momencie wspomnienia i ciekawiąc się coraz bardziej, do czego też go doprowadzi to jego nowe życie.

*Trochę mniej francuski, trochę bardziej niemiecki*

Następnego ranka Beatrix przyszła do pokoju Pierrota i oznajmiła, że pojedą na dół, kupić mu trochę nowych ubrań.

— Te rzeczy, które przywiozłeś z Paryża, nie nadawałyby się do noszenia tutaj — powiedziała, rozglądając się i podchodząc do drzwi, aby je domknąć. — Pan ma bardzo rygorystyczne poglądy, będzie bezpieczniej dla ciebie, jeśli założysz tradycyjny strój niemiecki. Tamte twoje ubrania były troszkę zbyt fantazyjne jak na jego gusty.

— Będzie bezpieczniej dla mnie? — powtórzył jej słowa, dziwiąc się, że w ogóle ich użyła.

— Nie było łatwo przekonać go, żeby pozwolił cię tu sprowadzić — wyjaśniła. — Nie jest przyzwyczajony do dzieci. Musiałam mu przyrzec, że nie będzie z tobą żadnych kłopotów.

— To on nie ma dzieci? — spytał Pierrot, który wcześniej miał nadzieję, że może jakieś dziecko w jego wieku pojawi się wraz z panem, kiedy ten przybędzie.

— Nie. I byłoby wskazane, żebyś nie zrobił niczego, co by go mogło rozzłościć, bo wtedy każe cię odesłać z powrotem do Orleanu.

— Sierociniec wcale nie okazał się taki zły, jak się spodziewałem — powiedział Pierrot. — Simone i Adele były dla mnie bardzo dobre.

— Nie zaprzeczam. Ale liczy się rodzina. A ty i ja jesteśmy rodziną. Jedyną, jaka każdemu z nas pozostała. Musimy się już zawsze wspierać i trzymać razem, rozumiesz?

Pierrot kiwnął głową. Ale była inna niepojęta dla niego rzecz, o której myślał, odkąd w Orleanie dostał list od ciotki.

— Dlaczego nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej? — spytał ją teraz. — Dlaczego kiedy Papa, Maman i ja mieszkaliśmy w Paryżu, ty nigdy nas nie odwiedziłaś?

Beatrix pokręciła głową i podeszła do drzwi.

— To nie jest historia na dziś — powiedziała. — Ale porozmawiamy o tym kiedy indziej, jeśli zechcesz. A teraz chodź, bo musisz być głodny.

Po śniadaniu wyszli przed dom. Ernst, swobodnie oparty o karoserię auta, czytał gazetę. Uniósłszy wzrok i spostrzegłszy ich, złożył ją na pół, wetknął sobie pod pachę i z uśmiechem otworzył tylne drzwi. Pierrot zerknął na jego szoferski uniform — jakże elegancko w nim wyglądał! — i zaczął się zastanawiać, czy udałoby mu się namówić ciocię, żeby mu kupiła coś podobnego. Zawsze lubił mundury, podobały mu się wszystkie. Także ten, który jego ojciec miał w szafie w ich mieszkaniu w Paryżu, ale którego nigdy nie zakładał — zielony, sukienny, bluza z zaokrąglonym kołnierzem i sześcioma guzikami... Pierrot próbował go raz przymierzyć i Papa, kiedy przyłapał go na tym, aż zastygł w drzwiach, niezdolny się poruszyć, a Maman skrzyczała syna, że

grzebie w rzeczach, które nie należą do niego.

— Dzień dobry, Pierrot! — przyjacielskim tonem rzucił kierowca, mierzwiąc mu włosy. — Dobrze spałeś?

— Dziękuję, bardzo dobrze.

— A mnie się śniło tej nocy, że grałem w piłkę w reprezentacji Niemiec, wiesz? Strzeliłem zwycięskiego gola Anglikom, wszyscy wiwatowali na moją cześć, a koledzy z drużyny znieśli mnie z boiska na rękach.

Pierrot kiwnął głową. Nie lubił, kiedy mu opowiadano sny. Tak jak nie lubił niektórych bardziej zawikłanych opowiadań Anszela, bo nigdy nie mógł się w nich doszukać jakiegokolwiek sensu.

— To dokąd jedziemy, Fräulein Fischer? — zapytał Ernst, gnąc się w ukłonie przed Beatrix i teatralnym gestem zrywając z głowy szoferską czapkę.

Ze śmiechem ulokowała się na tylnym siedzeniu.

— Wygląda na to, że awansowałam — zwróciła się do chłopca, który wsiadł za nią. — Wcześniej Ernst nigdy nie odnosił się do mnie z takim uszanowaniem. Do miasta, proszę. — Te słowa skierowała już do kierowcy. — Bo Pierrot potrzebuje nowych ubrań.

— Nie słuchaj jej — rzucił Ernst, zajmując miejsce za kierownicą i zapuszczając silnik. — Ta twoja ciocia dobrze wie, że mam o niej wysokie mniemanie.

Pierrot spojrzał na Beatrix i zauważył, jak jej oczy spotykają się z oczyma kierowcy we wstecznym lusterku, na jej twarzy rozbłyska półśmiech, a policzki zabarwia lekki rumieniec. Gdy już ruszyli, zaczął wyglądać przez tylną szybę i popatrzył jeszcze na dom, zanim ten zniknął z pola widzenia. Był zjawiskowo wprost piękny, jego sylweta z jasnego drewna urokliwie kontrastowała z tłem dzikiego, surowego, malowniczo poszarpanego pejzażu ośnieżonych gór.

— Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłam ten dom — odezwała się Beatrix. — Aż nie mogłam uwierzyć w jego urok. Uznałam za pewnik, że jest to miejsce bezgranicznej błogości, niebiańskiego spokoju.

— No i jest — mruknął Ernst półgębkiem, ale wystarczająco głośno, żeby Pierrot usłyszał. — Ale kiedy jego nie ma w pobliżu.

— Jak długo tu mieszkasz, ciociu? — zapytał Pierrot.

— Cóż, miałam trzydzieści cztery lata, kiedy tu po raz pierwszy przyjechałam, czyli to muszą być... no, trochę ponad dwa lata, odkąd tu jestem.

Pierrot zlustrował ją spojrzeniem. Bez wątpienia była bardzo urodziwa, z nieskazitelnie jasną cerą i długimi rudymi włosami, które opadały jej w lekkich falach na ramiona.

— To znaczy, ciociu, że teraz masz trzydzieści sześć lat? — zapytał po chwili. — Strasznie dużo!

— Ba! — wykrzyknęła Beatrix i wybuchnęła śmiechem.

— Pierrot, chyba będziemy musieli ze sobą pogadać — odezwał się Ernst. — Jeśli planujesz znaleźć sobie kiedyś dziewczynę, to warto, żebyś już wcześniej wiedział, jak z nią rozmawiać. Pamiętaj: nigdy nie mów kobiecie, że wygląda staro. Zawsze daj jej o pięć lat mniej, niż ci się naprawdę wydaje.

— Ale ja nie chcę mieć dziewczyny — obruszył się Pierrot, zatrwożony już samym pomysłem.

— Tak mówisz teraz, zobaczymy, co powiesz za kilka lat.

Pierrot pokręcił głową na znak, że na pewno zdania nie zmieni. Pamiętał, jak Anszel zgłupiał na punkcie dziewczyny z ich klasy, jak pisał dla niej opowiadania i zostawiał jej kwiaty na ławce. Przeprowadził wtedy z przyjacielem poważną rozmowę na ten temat, ale w żaden sposób nie mógł wpłynąć na stan jego ducha; Anszel był zadurzony i tyle, zaś Pierrotowi to wszystko wydawało się śmiechu warte.

— A ile pan ma lat? — zapytał kierowcę, wsuwając głowę w odstęp pomiędzy dwoma przednimi siedzeniami, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

— Już dwadzieścia siedem, chociaż trudno w to uwierzyć, bo wyglądam jak młodzieniaszek — odpowiedział, odwróciwszy się. — Dlatego śmiało możesz mi mówić po imieniu, po prostu Ernst.

— Ty patrz na drogę, Ernst — upomniała go ciocia Beatrix, surowym tonem starając się zamaskować rozbawienie. — A ty, Pierrot, oprzyj się porządnie, zamiast się nachylać, bo to niebezpieczne. Jakbyśmy mieli wypadek...

— Ernst, czy ty zamierzasz ożenić się z Hertą? — chłopiec przerwał pytaniem jej wywód.

— Z Hertą? Jaką Hertą?

— Z tą pokojówką.

— Hertą Theissen? — upewnił się Ernst, w zdumieniu mimowolnie podnosząc głos.

— Dobry Boże, nie. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

— Bo ona powiedziała, że jesteś przystojny i wesoły, i uważny.

Beatrix musiała zasłonić sobie usta dłonią, żeby stłumić śmiech.

— Czyżby to była prawda, Ernst? — zapytała, drocząc się z nim. — Herta naprawdę kocha się w tobie?

— Wszystkie kobiety się we mnie kochają — stwierdził kierowca ze wzruszeniem ramion. — To jest mój krzyż i muszę go dźwigać. Jak tylko któraś raz na mnie spojrzy, to koniec. — Pstryknął palcami. — Przepadła na wieki. Zrozum, nie jest łatwo być takim przystojnym.

— I takim skromnym — dopowiedziała Beatrix.

— Pewnie podoba się jej twój mundur — zasugerował Pierrot.

— Każdej dziewczynie podoba się mężczyzna w mundurze — stwierdził Ernst.

— Być może każdej dziewczynie, ale nie w każdym mundurze — zauważyła Beatrix.

— A czy ty wiesz, Pierrot, dlaczego ludzie noszą mundury? — spytał kierowca.

Chłopiec pokręcił głową.

— Bo każdy umundurowany uważa, że może robić wszystko, co chce.

— Ernst! — upomniała go Beatrix.

— Że może traktować innych tak, jak nigdy by nie mógł, nosząc normalne ubranie.

Mundury pozwalają nam praktykować okrucieństwo bez poczucia winy, te wszystkie trencze z pagonami, buty z cholewami...

— Ernst, dosyć! — przerwała mu Beatrix.

— To nie uważasz, że mam rację?

— Wiesz, że uważam — rzuciła półgłosem. — Ale to nie jest dobra pora na taką rozmowę.

Ernst nic już nie powiedział, w milczeniu prowadził samochód. A Pierrot, rozważając jego słowa, na próżno usiłował doszukać się w nich sensu. Bo sam uwielbiał mundury i pragnął mieć własny.

— Czy tu są jakieś dzieci, z którymi mógłbym się bawić? — spytał, zmieniając temat.

— Niestety, nie ma — odpowiedziała Beatrix. — To znaczy w naszym domu nie ma, bo w mieście jest oczywiście sporo. Spodziewam się, że jak wkrótce rozpoczniesz naukę w szkole, to się tam z kimś zaprzyjaźnisz.

— A czy szkolni koledzy będą mogli odwiedzać mnie na szczycie góry?

— Nie, bo naszemu panu by to nie odpowiadało.

— Tam na górze my dwaj będziemy się teraz kolegowali, Pierrot — wtrącił się Ernst. — Potrzebuję mieć przy sobie drugiego faceta. Bo tak, to te wszystkie kobiety strasznie mnie tam maltretują.

— No, ale przecież ty jesteś stary — zafrasował się Pierrot.

— Ech, nie aż taki stary.

— Masz dwadzieścia siedem lat, więc jesteś... hm... starożytny.

— Jak on jest starożytny, to co ze mną? — spytała Beatrix.

Pierrot zawahał się przez moment, zanim wypalił, chichocząc:

— Ty jesteś prehistoryczna, ciociu.

Beatrix wybuchnęła śmiechem, a Ernst mruknął:

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć o kobietach, mały.

— W Paryżu pewnie miałeś wielu kolegów, prawda? — odezwała się Beatrix.

Pierrot kiwnął głową.

— Całkiem sporo — potwierdził. — I jednego śmiertelnego wroga, który przeżywał mnie maluchem, „Le Petit”, bo jestem taki nieduży.

— Wyrośniesz — stwierdziła Beatrix.

A Ernest w tym samym momencie rzucił:

— Wszędzie znajdzie się jakiś prześladowca.

— Mój najlepszy przyjaciel, Anszel — kontynuował Pierrot — mieszkał pod nami w tym samym domu, jego najbardziej mi teraz brakuje. U niego, pod opieką, został mój piesek D'Artagnan, bo nie pozwolono mi go zabrać do sierocińca. Ja też tam byłem przez kilka tygodni, kiedy Maman umarła, ale mama Anszela nie chciała, żebym został z nimi na stałe.

— Dlaczego? — zapytał Ernst.

Pierrot w pierwszej chwili chciał nawet zrelacjonować podsłuchaną rozmowę madame Bronstein z przyjaciółką, ale ostatecznie powstrzymał się przed tym. Wciąż pamiętał, że bardzo się rozżłościła, kiedy go przyłapała w jarmułce Anszela i że nie chciała, żeby on chodził z nimi do synagogi.

— Anszel i ja prawie zawsze spędzaliśmy czas razem — powiedział, ignorując pytanie. — O ile on nie pisał opowiadań.

— Własnych opowiadań? — upewnił się Ernst.

— Tak, bo on chce zostać pisarzem, kiedy dorośnie.

Beatrix uśmiechnęła się.

— Czy ty też chcesz zostać pisarzem? — zapytała.

— Nie — odparł Pierrot. — Parę razy próbowałem pisać, ale nigdy mi się nie udało z sensem poskładać słów. Za to wymyślałem różne rzeczy albo mówiłem, co śmiesznego wydarzyło się w szkole, a potem on wychodził na godzinę, a kiedy wracał, już dawał mi kartki. I zawsze mówił, że chociaż on je zapisał, to jednak jest moja historia.

Beatrix w zamyśleniu przez dłuższą chwilę bębniła palcami w pokryte skórą siedzenie auta.

— Anszel... — odezwała się w końcu. — To przecież jego matka napisała do mnie, gdzie mogę cię znaleźć, prawda? Przypomnij mi, Pierrot, jego nazwisko.

— Bronstein.

— A właśnie, Anszel Bronstein.

Pierrot znów zauważył, jak spojrzenie jego cioci krzyżuje się we wstecznym lusterku ze spojrzeniem Ernsta. Tym razem jednak na twarzy kierowcy, który lekko potrząsnął głową, nie było nawet cienia uśmiechu.

— Tutaj na pewno będzie nudno — stwierdził Pierrot, nie kryjąc przygnębienia.

— Żebyś się nie nudził, zawsze znajdzie się coś do zrobienia dla ciebie, kiedy nie będziesz w szkole — odezwała się Beatrix. — Jakaś praca.

— Praca? — zdziwił się.

— A jakże! W domu na szczycie góry każdy musi pracować, ty też. Bo praca czyni nas wolnymi, jak mówi pan.

— Ja myślałem, że i tak jestem wolny — stwierdził Pierrot.

— Ja też — rzucił szofer zza kierownicy. — Wychodzi na to, że obydwaj byliśmy w błędzie.

— Daj spokój, Ernst — rzuciła Beatrix.

— A jakiego rodzaju praca wchodzi w grę? — zaciekawił się Pierrot.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała. — Pan może mieć jakiś pomysł w tej kwestii. A jeśli nie, to na pewno Herta i ja coś dla ciebie znajdziemy. Albo będziesz pomagał Emmie w kuchni. Ale nie rób takiej przestraszonej miny. Każdy Niemiec jest teraz zobowiązany pracować dla Ojczyzny, służyć jej w ten sposób, nieważne, młody czy stary.

— Ale ja nie jestem Niemcem — stwierdził Pierrot. — Jestem Francuzem.

Beatrix spojrzała mu w oczy z ogromną powagą.

— Urodziłeś się we Francji, to fakt. I twoja matka była Francuzką. Ale twój ojciec, mój starszy brat, był Niemcem. I dlatego ty też jesteś Niemcem, zrozum — powiedziała dobitnie. — I od tej pory najlepiej nawet nie wspominaj nikomu, skąd tutaj przyjechałeś.

— Dlaczego?

— Bo tak będzie bezpieczniej — wyjaśniła. — Jest jeszcze coś, o czym muszę z tobą porozmawiać — dodała po chwili. — Chodzi o twoje imię.

— Moje imię? — powtórzył Pierrot pytającym tonem, unosząc ze zdziwienia brwi.

— Tak — potwierdziła, po czym wzięła głęboki oddech, jakby nie mogła inaczej

wyrzucić z siebie tego, co postanowiła powiedzieć. — Myślę, że nie powinniśmy już więcej nazywać cię Pierrotem.

Ze zdumienia szeroko rozdziawił buzię; po prostu nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

— Przecież ja zawsze byłem Pierrotem! — wykrzyknął. — Bo to jest... no, moje imię.

— Ale to jest francuskie imię. Myślę, że możemy zamiast niego używać imienia Pieter. Tego samego, tylko w niemieckiej wersji. Aż tak bardzo się przecież nie różnią.

— Ale ja nie jestem Pieter tylko Pierrot — upierał się.

— Proszę cię, Pieter...

— Pierrot!

— Proszę cię, zaufaj mi w tej sprawie. W głębi duszy nadal oczywiście możesz być Pierrotem, ale na szczycie góry, przy innych, a już zwłaszcza przy panu i pani, niech będzie z ciebie Pieter.

Pierrot ciężko westchnął.

— Ale to imię wcale mi się nie podoba — mruknął zrezygowany.

— Musisz zrozumieć, że tylko twoje dobro leży mi na sercu, nic innego. Dlatego postarałam się, żebyś ze mną zamieszkał. A teraz chcę, żebyś tu był bezpieczny. Rób więc zawsze to, o co cię poproszę, nawet gdyby ci się czasem zdawało, że moje prośby są jakieś dziwne.

Dłuższą chwilę jechali potem w milczeniu, wciąż stopniowo tracąc wysokość. Pierrot zastanawiał się, jak bardzo zmieni się jego życie, nim skończy się rok.

— Jak nazywa się to miasto, do którego jedziemy? — zapytał w końcu.

— Berchtesgaden — odpowiedziała Beatrix. — To już niedaleko, będziemy tam za parę minut.

— A nie Salzburg? — upewnił się, przypomniawszy sobie ostatnią z kartek, jakie miał przypięte do kurtki.

— Nie, Salzburg jest jakieś trzydzieści parę kilometrów stąd — wyjaśniła. — Góry, które widzisz tu wokół, to Alpy Bawarskie. Tam — wskazała na lewo — jest granica z Austrią. A tam — wskazała na prawo — jest Monachium. Jechałeś przez Monachium, prawda?

— Tak — przyświadczył Pierrot. — I przez Mannheim — dodał, przypominając sobie wojskowego, który na dworcu przydepnął mu palce i zdawał się czerpać przyjemność z tego, że zadaje ból. — To znaczy, że tam — wskazał ręką w dal, gdzieś poza góry — musi być Paryż. I tam jest mój dom.

Beatrix pokręciła przecząco głową, chwyciła Pierrota za rękę i zmusiła go, by ją opuścił na kolana.

— Nie, Pieter — stwierdziła, spoglądając ku szczytowi. — Twój dom jest tam wysoko, na górze Obersalzberg. Tam teraz mieszkasz. I nie wolno ci już więcej myśleć o Paryżu. Pewnie go długo nie zobaczysz.

Pierrot poczuł, że przepętnia go ogromny żal i przypomniał sobie, jak to było, kiedy siadywali sobie z Maman jedno przy drugim wieczorami przy kominku i ona robiła na drutach, a on czytał książkę albo coś sobie rysował w szkicowniku. I w domu był jeszcze D'Artagnan, a pod nimi mieszkała madame Bronstein z Anszelem... Na myśl o

Anszelu palce same ułożyły mu się najpierw w znak lisa, potem w znak psa, a w końcu wypowiedziały bezgłośnie całe zdanie, które jedynie jego przyjaciel mógłby zrozumieć:

„Chcę do domu!”

— Dlaczego tak machasz rękami, co to ma znaczyć? — zapytała Beatrix.

— Nic — mruknął Pierrot, kładąc dłonie na kolanach i patrząc w okno.

Po kilku minutach dojechali do znanego z targów miasta Berchtesgaden. Ernst zatrzymał auto w spokojnym miejscu trochę na uboczu, po czym odwrócił się do Beatrix i zapytał ją:

— Dużo czasu wam to wszystko zajmie?

— No, trochę — odpowiedziała. — Potrzebne mu są ubrania, buty... Przydałoby się też strzyżenie, prawda? Musimy doprowadzić do tego, żeby stał się trochę mniej francuski, a trochę bardziej niemiecki.

Kierowca popatrzył przez chwilę na Pierrota i kiwnął głową.

— Raczej tak — stwierdził. — Od jego wyglądu wiele może zależeć. Przede wszystkim to, że on zmieni zdanie.

— Kto może zmienić zdanie? — rzucił Pierrot, nie uzyskawszy jednak żadnej odpowiedzi.

— Możemy być za dwie godziny? — zaproponowała kierowcy ciocia Beatrix.

— Jak najbardziej.

— A ty kiedy będziesz?

— Tuż przed dwunastą. Spotkanie zajmie mi jakąś godzinkę...

— Na jakie spotkanie idziesz? — zapytał Pierrot.

— Nie idę na żadne spotkanie — odparł Ernst.

— Przecież właśnie powiedziałaś...

— Spokój, Pieter — przerwała mu Beatrix, wyraźnie poirytowana. — Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że nie należy podsłuchiwać czyichś rozmów?

— Ale przecież ja siedzę tu obok — obruszył się. — Jak mógłbym nie usłyszeć, co mówicie?

— No, dobrze już, dobrze — z uśmiechem odezwał się Ernst. — Podoba ci się prowadzenie samochodu?

— Pewnie.

— A chciałbyś się nauczyć kierować samochodem takim jak ten?

— Chciałbym — przytaknął Pierrot. — Lubię samochody.

— W takim razie nauczę cię prowadzić auto, jak będziesz grzeczny. Zrobię to dla ciebie, ale pod warunkiem, że ty w zamian zrobisz coś dla mnie, no wiesz, przysługa za przysługę. Zgoda?

Pierrot spojrzał na ciotkę, ale ona milczała.

— Zgoda, spróbuję — odparł więc, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi.

— Nie chcę, żebyś tylko próbował — stwierdził Ernst. — Chcę, żebyś mi obiecał.

— Niech będzie, obiecuję — zgodził się Pierrot. — Tylko o co chodzi?

— Chodzi o tego twojego przyjaciela, Anszela Bronsteina.

— Co z nim? — zapytał Pierrot, marszcząc brwi.

— Ernst... — rzuciła nerwowo Beatrix, nachylając się ku kierowcy.

— Proszę cię, Beatrix, jeszcze moment — powiedział z powagą, jakiej wcześniej tego ranka nie dało się słyszeć w jego głosie. — Twoja przysługa będzie polegała na tym, że nigdy nie wypowiesz jego imienia tam, w domu na szczycie góry. Zrozumiałeś?

Oszołomiony Pierrot spojrział na niego jak na szaleńca.

— Ale dlaczego? — wykrztusił. — On jest moim najlepszym przyjacielem. Znam go od urodzenia. On jest praktycznie moim bratem.

— Nie — ostro uciął kierowca. — On nie jest twoim bratem, nie mów czegoś takiego. Możesz sobie tak myśleć, jeśli musisz. Ale nigdy nie mów tego głośno.

— Ernst ma rację — odezwała się Beatrix. — Najlepiej w ogóle nic nie mów o swojej przeszłości. Zachowaj ją w pamięci dla siebie, ale nigdy nikomu o niej nie mów.

— I nie wspominaj o tym chłopcu, Anszelu, pod żadnym pozorem — powtórzył swoje żądanie Ernst.

— Nie mogę mówić o moich przyjaciółach, nie mogę używać własnego imienia! — wykrzyknął Pierrot, bliski płaczu z rozżalenia pomieszanego z irytacją. — Czy jest jeszcze coś, czego nie mogę robić?

— Nie, to już wszystko — odrzekł Ernst, uśmiechając się do niego. — Przestrzegaj tych zasad, a ja pewnego dnia nauczę cię kierować samochodem.

— Niech będzie — zgodził się Pierrot, zastanawiając się równocześnie, czy szofer nie jest przypadkiem trochę niezdrowy na umyśle, co byłoby fatalną przypadłością u człowieka, który kilka razy dziennie musi prowadzić auto krętą i stromą górską drogą.

— No, to widzimy się za dwie godziny, jak mówiliśmy — przypomniał Ernst.

Kiedy Pierrot, który wysiadł pierwszy, zerknął za siebie, zobaczył, jak kierowca ściska jego ciotkę za łokieć i jak spoglądają jedno drugiemu prosto w oczy, bez cienia uśmiechu, z powagą i niepokojem.

Berchtesgaden tętniło życiem. Idąc przez miasto, ciocia Beatrix miała okazję powiedzieć „dzień dobry” kilkorgu znajomym i przedstawić im Pierrota, i oznajmić, że przyjechał, żeby z nią zamieszkać. Było tu także wielu żołnierzy; czterej siedzieli rozparci przy stoliku przed jakąś knajpką, paląc i żłopiąc piwo już z samego rana, ale kiedy spostrzegli nadchodzącą Beatrix, natychmiast odrzucili papierosy i zeszywnieli na krzesłach. Jeden z nich usiłował nawet zasłonić swoją szklankę hełmem, ale okazała się o wiele za wysoka i wystawała. Ciotka z rozmysłem nawet nie patrzyła w ich stronę, więc Pierrot nie mógł się nadziwić, z jakiego powodu wpadli w taki popłoch.

— Znasz tych żołnierzy? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała. — Ale oni mnie znają. I boją się, że doniosę na nich, bo tu siedzą i piją, zamiast patrolować miasto. Bo kiedy pana nie ma na miejscu, to oni zawsze robią się mniej sumienni w wypełnianiu obowiązków. No, już jesteśmy — stwierdziła, kiedy minawszy piwiarnię, znaleźli się przed sklepem z odzieżą. — Te rzeczy, które tu mają, powinny być odpowiednie.

Następne dwie godziny były dla Pierrota chyba najbardziej męczące w całym dotychczasowym życiu. Najpierw musiał przymierzyć tradycyjny niemiecki strój

chłopięcy, składający się z białej koszuli i skórzanych krótkich spodni zwanych lederhosen, noszonych z szelkami z brązowej skóry i podkolanówkami, a potem Beatrix zaprowadziła go do sklepu z obuwem, gdzie, mierząc buty, musiał spacerować tam i z powrotem, a wszyscy na niego patrzyli. Na koniec wrócili do pierwszego sklepu, w którym tymczasem dopasowywano mu wybrane rzeczy, musiał więc ponownie je założyć i obracać się w nich we wszystkie strony, aby ciocia i ekspedientka mogły powiedzieć mu, jaki z niego przystojniak.

A on czuł się jak idiota.

— Czy możemy już iść? — zapytał, kiedy Beatrix zapłaciła za zakupy.

— Tak, oczywiście — odpowiedziała. — Może byśmy teraz coś zjedli? Jesteś głodny?

Potwierdził bez zastanowienia, bo w zasadzie zawsze był głodny. Kiedy powiedział o tym ciotce, głośno się roześmiała i stwierdziła:

— To jesteś taki sam, jak twój ojciec.

Weszli do pobliskiego baru, gdzie Beatrix zamówiła zupę i kanapki.

— Ciociu, czy mogę cię o coś zapytać? — odezwał się Pierrot.

— Pewnie, że tak.

— Czemu nigdy nas nie odwiedziłaś, jak byłem mały?

Beatrix w zadumie pokiwała głową, a mówić zaczęła dopiero wtedy, gdy już podano im na stół wszystko, na co czekali.

— Twój ojciec i ja nigdy nie byliśmy ze sobą zbyt blisko jako dzieci — stwierdziła. — On był starszy ode mnie i mieliśmy niewiele wspólnych spraw. Ale kiedy poszedł walczyć, na wojnę, to strasznie za nim tęskniłam i martwiłam się o niego przez cały czas. Przychodziły od niego listy, oczywiście, ale tylko czasem miały sens, bo kiedy indziej były raczej takie, no, bez ładu i składu. On podczas wojny został ciężko ranny, jak wiesz...

— Nie — zaprzeczył Pierrot, zaskoczony tym, co usłyszał. — Nie wiedziałem.

— Naprawdę? Dziwię się, że nikt ci nic nie powiedział. Tak, on był w okopach, które pewnej nocy zaatakowała i opanowała grupa brytyjskich żołnierzy. Zabili prawie wszystkich, ale jemu jakoś udało się uciec, mimo kuli w ramieniu, która niechybnie by go uśmierciła, gdyby poszła nieco bardziej na prawo i trafiła w serce. Schował się w pobliskim lesie i widział stamtąd, jak Brytyjczycy wyciągnęli jakiegoś nieszczęśnika z jego kryjówki — to był młody chłopak, jedyny, oprócz niego, który przeżył atak na okopy — i zaczęli się kłócić o to, co mają z nim zrobić, ale nim doszli do porozumienia, jeden z nich po prostu strzelił mu w głowę. Wilhelm zdołał jakimś cudem dotrzeć do niemieckich pozycji, chociaż utracił mnóstwo krwi i majaczył. Opatrzono go i wysłano do szpitala na kilka tygodni i mógł już potem pozostać na tyłach, ale nie, on uparł się, żeby wrócić na front, kiedy wydobrzeał.

W tym momencie Beatrix rozejrzała się wokół, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje, i zniżyła głos niemal do szeptu, mówiąc dalej:

— Uważam, że to, co wycierpiał, i to, co zobaczył tamtej nocy, doprowadziło do nieodwracalnych zmian w jego umyśle. Po wojnie nigdy już nie był taki jak wcześniej. Przepęłniał go gniew, nienawiść do wszystkich, którzy według niego przyczynili się do klęski Niemiec. Poróżniliśmy się przez to: ja nie mogłam znieść, że on jest taki

zaślepiiony, a on wmawiał mi, że nie mam o niczym pojęcia, bo nigdy nie widziałam wojny.

Pierrot aż zmarszczył czoło, usiłując zrozumieć, co ona ma na myśli.

— Ale przecież byliście po tej samej stronie, prawda? — wykrztusił w końcu.

— No cóż, poniekąd — rzuciła. — Ale Pieter, to nie jest rozmowa na teraz — dodała zaraz. — Może jak będziesz starszy, zdołam wytłumaczyć ci to lepiej. Kiedy już będziesz wiedział troszkę więcej o świecie. Tymczasem musimy szybko zjadać i wracać, bo Ernst na nas czeka.

— Przecież to jego spotkanie jeszcze się nie skończyło.

Beatrix spojrzała mu z powagą prosto w oczy.

— On nie miał żadnego spotkania, Pieter — stwierdziła dobitnym, gniewnym po trosze tonem, jakiego jeszcze u niej do tej pory nie słyszał. — On przez cały czas czeka na nas w tym samym miejscu, w którym go zostawiliśmy, i będzie tam, kiedy wrócimy. Zrozumiałeś mnie?

Pierrot, lekko spłoszony, kiwnął głową.

— Zrozumiałem — przytaknął i postanowił nie wracać już nigdy do tego tematu, choć dobrze pamiętał, co usłyszał, i nikt na świecie nie mógł mu wmówić, że było inaczej.

## *Dźwięk, jakim brzmią koszmary*

Kilka tygodni później, kiedy Pierrot obudził się w sobotę rano, od razu zorientował się, że w całym domu panuje straszne zamieszanie. Starsza pokojówka Ute zmieniała pościel na łóżkach i otwierała jedno po drugim wszystkie okna, żeby wpuścić świeże powietrze do pokoi, a Herta, zaczerwieniona na twarzy jeszcze bardziej niż zwykle, miotła się jak szalona, najpierw zamiatając wszystkie podłogi, a potem zmywając je do czysta.

— Sam musisz sobie dzisiaj skombinować śniadanie, Pieter — stwierdziła kucharka Emma. — Bo ja mam kupę roboty, a nie za wiele czasu.

Po całej kuchni porozstawiane były brytfanny i blachy do pieczenia, a dostawca z Berchtesgaden najwyraźniej zdołał już pokonać drogę na szczyt góry, bo resztę wolnego miejsca na blatach zajmowały skrzynki i koszyki ze świeżymi owocami i warzywami.

— Może potrzebuje pani pomocy? — zapytał, ponieważ był to akurat jeden z tych poranków, w które czuł się po przebudzeniu bardzo samotny i z niechęcią myślał o tym, że mógłby przesiedzieć cały dzień beczynnienie.

— A jakże, potrzebuję pomocy! — przytaknęła. — Ale od doświadczonej siły fachowej, a nie od siedmioletniego chłopaczka. No, może później będziesz mógł coś dla mnie zrobić. Ale na razie łap to — wyjęła jabłko z jednej ze skrzynek i rzuciła mu — i zmykaj. Jak będzie trzeba, to cię zawołam.

Wyszedł z kuchni na korytarz i natknął się na ciocię Beatrix, która trzymała notes z listą spraw do załatwienia i odfajkowała to, co już zostało zrobione.

— Co się dzieje? — zapytał. — Dlaczego wszyscy są dzisiaj tacy zabiegani?

— Pan i pani przyjadą za kilka godzin — odpowiedziała. — Dostaliśmy telegram z Monachium, wczoraj późnym wieczorem. Najlepiej, żebyś teraz nie wchodził nikomu w drogę. Kąpałeś się?

— Wieczorem.

— To w porządku. Jest taki piękny wiosenny poranek, weź książkę i usiądź z nią gdzieś pod drzewem... Aha, przy okazji... — Wyciągnęła z notesu kopertę i podała ją Pierrotowi.

— Co to jest? — spytał zaskoczony.

— List — odpowiedziała lakonicznie.

— Do mnie?

— Tak.

Patrzył na nią zdziwiony, bo jakoś nie przychodziło mu do głowy, kto mógłby ten list napisać.

— Od twojego przyjaciela Anszela — poinformowała go ciotka.

— Skąd wiesz?

— Bo go otworzyłam.

Pierrot zmarszczył brwi.

— Otworzyłaś mój list? — oburzył się.

— I całe szczęście, że to zrobiłam — stwierdziła Beatrix. — Dla twojego dobra, uwierz mi.

Wziął od niej rozciętą kopertę z przeczytanym listem od przyjaciela.

— Odpisz mu, najlepiej od razu dziś, żeby już nigdy więcej nie pisał do ciebie — poleciła.

— Ale... ciociu... dlaczego? — wykrztusił osłupiały.

— Wiem, że to może cię dziwić — odparła. — Ale listy od tego... no, tego małego Anszela, mogą narobić ci kłopotów, o jakich nie masz pojęcia. Tobie i mnie. Jakby on miał na imię Franz albo Heinrich, albo Martin... Ale Anszel? — westchnęła i pokręciła głową. — Listy od żydowskiego chłopca nie mają prawa tutaj przychodzić.

Bardzo nerwowo zrobiło się tuż przed południem, kiedy Pierrot akurat kopał piłkę w ogrodzie, a Ute i Herta siedziały na ławce na tyłach domu i spoglądały na niego, paląc papierosy i kumoszując. Wpadła tam na nie Beatrix.

— No, pięknie — rzuciła ze złością. — One sobie tu przesiadują, a tam lustra niewypolerowane, kominek w salonie niewyczyszczony, dywaniki ze strychu nieprzyniesione!

— My tylko zrobiliśmy sobie małą przerwę — odezwała się na to zbolalym tonem Herta. — Przecież nie możemy pracować na okrągło przez cały dzień.

— No i nie pracujecie. Emma mi powiedziała, że wygrzewacie się na słoneczku już dobre pół godziny.

— A to donosicielka! — burknęła Ute, zerkając buńczucznie spod oka.

— My o niej też możemy to i owo powiedzieć — dodała Herta. — Na przykład, że jajka dokądś z kuchni wędrują, jak tylko ich jest trochę więcej, i że całe tabliczki czekolady znikają ze spiżarni. Nie wspominając już o tym, co ona wyprawia z mleczarzem Lotharem.

— Plotki mnie nie interesują — ucięła Beatrix. — Ale muszę mieć pewność, że wszystko będzie zrobione, zanim pojawi się pan. A jak na was patrzę, dziewczęta, to chwilami mam wrażenie, że zarządzam przedszkolem.

— My tu przedszkola nie robimy, dzieci nie sprowadzamy — syknęła Herta.

Beatrix zgromiła ją wzrokiem, nic jednak nie powiedziała, widząc że Pierrot podchodzi do nich bliżej, najwyraźniej zaciekawiony przebiegiem dyskusji.

— Zmykaj do domu, Pieter, i zrób porządek w swoim pokoju — poleciła mu.

— Dobrze — zgodził się bez szemrania, jednak skrył się tylko za rogiem budynku, żeby posłuchać dalszego ciągu i przekonać się, kto będzie górą.

— A ty co jeszcze masz do powiedzenia? — huknęła Beatrix.

— Nic — mruknęła Herta, spuszcżając głowę.

— Czy ty w ogóle masz pojęcie, przez co ten dzieciak przeszedł? — wybuchła ciotka.

— Najpierw ojciec odchodzi i ginie pod kołami pociągu. Potem matka umiera na

gruźlicę, a biednego malca wysyłają do sierocińca. Może były z nim jakiegokolwiek problemy, odkąd tutaj trafił? Żadnych! Jest grzeczny i miły dla wszystkich, chociaż na pewno wciąż pogrążony w bólu. Miałam nadzieję, Herta, że akurat ty okażesz mu trochę więcej współczucia, to ci powiem. Bo przecież też nie miałaś najłatwiejszego życia, prawda? Powinnaś rozumieć, przez co on przechodzi.

— Przepraszam — bąknęła pod nosem Herta.

— Słucham?

— Powiedziałam, że przepraszam — rzuciła trochę głośniej.

— Ona przeprasza — powtórzyła za nią Ute.

— To dobrze — pojednawczym tonem stwierdziła Beatrix i pokiwała głową. — Tylko pamiętajcie: już żadnych złośliwych uwag. I oczywiście koniec z leniuchowaniem. Chyba nie chcecie, żeby pan się dowiedział, na co sobie pozwoliłyście, prawda?

Na te słowa obydwie dziewczyny, najwyraźniej przestraszone, jak na komendę zerwały się z ławki, przydepnęły papierosy i wygładziły służbowe fartuchy.

— Wypoleruję lustra — zaofiarowała się Herta.

— A ja wyczyszczę kominek — dodała Ute.

— Świetnie — stwierdziła Beatrix. — Dywanikami zajmę się sama. Oni wkrótce mogą tu być, trzeba się spieszyć, żeby wszystko było bez zarzutu.

Ruszyła w stronę domu, więc Pierrot szybko wpadł do środka i złapał pozostawioną w korytarzu szczotkę, żeby ją wziąć do swego pokoju, gdzie miał posprzątać.

— Pieter, kochanie, pójdz do mojego pokoju i przynieś mi z szafy bezrękawnik — poprosiła go Beatrix.

— Już idę — zgodził się skwapliwie, po czym odstawił szczotkę, z powrotem opierając ją o ścianę, i skierował się w koniec korytarza.

W pokoju ciotki był wcześniej tylko raz, kiedy oprowadzała go po domu w pierwszym tygodniu pobytu; nie był szczególnie interesujący, jakkolwiek znacznie większy od pozostałych pomieszczeń dla personelu. Znajdowało się w nim z grubsza to samo, co u niego: łóżko, szafa, komoda, dzbanek i miska.

Otworzył szafę, wyjął z niej bezrękawnik i już miał wyjść, gdy zauważył coś, czego nie spostrzegł za pierwszym razem. Na ścianie wisiała oprawiona w ramki fotografia jego matki i ojca, z niemowlęciem w kocyku. Emilie promiennie się uśmiechała, ale Wilhelm wyglądał na przygnębionego, natomiast maleństwo — którym był oczywiście on sam — smacznie spało. W prawym rogu na zdjęciu była data — 1929 — i nazwa pracowni, w której je wykonano: Fotografia Matthias Reinhardt, Montmartre. Pierrot dokładnie wiedział, gdzie jest Montmartre. Pamiętał, jak stał na schodach prowadzących do kościoła Sacré-Coeur, a matka opowiadała mu, że po raz pierwszy była tam jako młoda dziewczyna w 1919 roku, zaraz po zakończeniu wojny, aby zobaczyć uroczystość konsekracji bazyliki przez kardynała Amette. Uwielbiała krążyć po pchlich targach, przyglądać się artystom malującym na ulicach; niekiedy ona, Wilhelm i Pierrot spędzali tam całe popołudnia, po prostu spacerując, coś przegryzając, kiedy zgłodnieli, i dopiero potem wracając do domu. Byli tam szczęśliwą rodziną, nim jeszcze nadszedł czas, kiedy Papa zaczął się tak zadręczać, a później Maman zachorowała.

Gdy Pierrot wyszedł z pokoju, zaczął rozglądać się za Beatrix, ale ponieważ nigdzie jej nie było, wykrzyknął głośno jej imię. Wyjrzała z frontowego salonu.

— Pieter, nigdy więcej tak nie rób — upomniała go. — Żadnego biegania ani pokrzykiwania w tym domu, pamiętaj. Bo pan nie znosi hałasu.

— Chociaż sam tyle go robi — odezwała się Emma, która wysunęła się z kuchni, wycierając wilgotne ręce ścierką. — Jak on się wścieka, to mu hałas nie przeszkadza. Wrzeszczy jak opętany, kiedy coś jest nie po jego myśli.

Beatrix nerwowo zerknęła dookoła i spojrzała na kucharkę jak na kogoś, kto postradał zmysły.

— Któregoś dnia napytasz sobie biedy przez ten swój niewyparzony język — ostrzegła ją.

— Ej, ty! — Emma wytknęła ją palcem. — Nie jesteś nade mną, więc nie panosz się tak. Kucharka i gospodyni to równorzędne stanowiska, nie traktuj mnie z góry.

— Nawet nie próbuję. — W głosie Beatrix pobrzmiwało zmęczenie i zniecierpliwienie, z którego można było wnieść, że podobna rozmowa toczy się między nimi nie po raz pierwszy. — Chcę tylko, żebyś zdała sobie sprawę, jak niebezpieczne mogą być słowa. Myśl sobie, co chcesz, ale nie mów takich rzeczy głośno. Czy ja mam być jedyną rozsądną osobą w tym domu?

— A ja tam mówię, co uważam! — odburknęła Emma. — Zawsze tak robiłam i zawsze będę robić.

— Świetnie. To powiedz panu prosto w oczy coś takiego, jak przed chwilą, i czekaj, co z tego dla ciebie wyniknie.

Emma wyniośle prychnęła, z jej skwaszonej miny widać było jednak, że nie pozwoli sobie na to. Pierrot zaczął się zastanawiać, jak właściwie jest z tym panem. Wygląda, że wszyscy się go boją, a przecież był na tyle dobry, że pozwolił mu tutaj zamieszkać. Trudno było się w tym wszystkim połapać.

— A gdzie się podział ten chłopiec? — zapytała kucharka, rozglądając się wokół.

— Tu jestem — powiedział Pierrot i pokazał się jej.

— No! Jakoś nigdy nie mogę cię wypatrzyć, kiedy mi jesteś potrzebny. Bo taki z ciebie malec. Nie myślisz, że już pora trochę podrosnąć?

— Daj mu spokój, Emma — rzuciła Beatrix.

— Nie mówię, żeby mu dokuczyć. Ale on mi przypomina historię o tych małych... no, jak im tam... — Klepnęła się w czoło, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć.

— No, jakże się nazywały te małe ludziki z tej książki...

— Jakie ludziki? Z jakiej książki? — niecierpliwiła się Beatrix.

— No, wiesz, ten facet trafia na wyspę i jest olbrzymem w porównaniu z nimi, to oni go wiążą i...

— Lilipuci — przerwał jej Pierrot. — Oni są w Podróżach Guliwera.

Obie kobiety spojrzały na niego ze zdziwieniem.

— A skąd ty wiesz? — zapytała Beatrix.

— Bo to czytałem — stwierdził, wzruszając ramionami. — Mój przyjaciel Ansz... to znaczy chłopiec, który mieszkał pod nami w Paryżu — poprawił się — miał tę książkę. A w bibliotece w sierocińcu też była.

— Dobra, dobra, już się tak nie popisuj — mruknęła Emma. — Powiedziałam ci, że będę miała później dla ciebie robotę, no i mam. Chyba nie jesteś mięczakiem, co?

Pierrot zerknął na ciotkę, bo nie był pewien, czy nie powinien się raczej trzymać jej, ale ona wzięła od niego swój bezrękawnik i powiedziała, żeby poszedł z Emmą. W kuchni, gdzie się najpierw znaleźli, poczuł cudowny aromat wypieków, przygotowywanych już od wczesnego ranka — z jajkami, cukrem i różnego rodzaju owocami — i spojrzał łakomie na stół, na którym stały wszystkie te pyszności, starannie ponakrywane serwetkami.

— Oczy i ręce precz! — ostrzegła go Emma. — Bo jakby czegoś brakowało, będę wiedziała, czyja to sprawka. Wszystko mam przeliczone, Pieter, pamiętaj.

Z kuchni wyszli na podwórze, to gospodarcze, na tyłach domu. Pierrot zaczął się rozglądać.

— Widzisz je? — zapytała, wskazując na kurczaki w kojcu.

— Tak — odparł.

— To przypatrz się im, wybierz dwa najtłuściejsze i powiedz mi, które to.

Pierrot podszedł bliżej i starannie zlustrował kurczaki. Było ich więcej niż tuzin, niektóre zastygły w bezruchu, inne kryły się za pozostałymi, jeszcze inne dziobały coś z ziemi.

— Ten — stwierdził, wskazując ruchem głowy na kurczaka, który przysiadłszy, rozglądał się wokół z największym możliwym u drobiu brakiem entuzjazmu wobec życia. — I ten — dodał, pokazując innego, który biegał w kółko, robiąc wielkie zamieszanie.

— No dobra — zgodziła się Emma, po czym odepchnęła go od kojca, żeby mieć lepszy dostęp i podnieść wieko.

Kurczaki podniosły rwestes, ale ona szybko schyliła się, złapała za nogi te dwa, które wskazał Pierrot, i wyciągnęła je. Gdy się wyprostowała, w każdej ręce miała po jednym, zwieszonym głową w dół.

— Zamknij to teraz — powiedziała. — Opuść wieko.

Pierrot zrobił, co mu kazała.

— W porządku — mruknęła. — Teraz chodź stąd za mną. Reszta nie musi widzieć, co będzie dalej.

Przeszli za róg domu. Pierrot był bardzo zaciekawiony, co też ona planuje. Pomyślał, że może będą się jakoś bawili z tymi kurczakami albo urządzą im wyścig, żeby sprawdzić, który jest szybszy... Miał nawet na to chęć, bo przecież w ostatnich dniach nie działo się nic specjalnie ciekawego.

— Weź tego — Emma dała mu do przytrzymania potulniejszego kurczaka.

Niechętnie złapał go za nogi i odsunął od siebie tak daleko, jak tylko się dało, żeby go przypadkiem nie dziobnął.

— Co teraz będzie? — zapytał, widząc, że Emma układa swojego kurczaka bokiem na pieńku i mocno go do niego przyciska jedną ręką.

— A to! — odpowiedziała, sięgając drugą ręką po siekierę i szybkim, wprawnym ciosem odcinając kurczakowi głowę.

Kiedy pozbawiony jej znalazł się na ziemi, zaczął jeszcze biegać w kółko w

śmiertelnym szale, nim zwolnił i padł martwy.

Wstrząśnięty Pierrot poczuł, że świat wokół niego zaczyna wirować. Odruchowo chciał się oprzeć ręką o pień, ale jego dłoń trafiła w kałużę krwi, więc krzyknął, przewrócił się i pozwolił uciec swojemu kurczakowi, który — będąc świadkiem niespodziewanego końca współtowarzysza — podjął rozsądną decyzję, by wracać do kojca najszybciej, jak tylko się da.

— Wstawaj, Pieter, bo jak pan przyjdzie i zobaczy, że tak tu leżysz jak oferra, to mu się flaki w brzuchu przewrócą — huknęła Emma i ruszyła w pogoń za kurczakiem.

Ten w popłochu próbował dostać się z powrotem do zamkniętego kojca, skąd dochodziła przeraźliwa kakofonia wywołana przez pozostałe, które pokrzykiwały, patrząc, jak on się miota, ale oczywiście nie mogły nic zrobić. Emma dopadła kurczaka, zanim pojął, co się dzieje. Złapała go za nogi i zaniósła na pień, gdzie błyskawicznie dopełnił się jego smutny los.

Pierrot poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Jak zwymiotujesz mi tu na ptaka i spaskudzisz go, to będziesz następny — ostrzegła Emma i pogroziła mu siekierą. — Słyszysz mnie?

Wylęczniony Pierrot dźwignął się z pobojuwiska, zerknął na dwie obcięte kurczakom głowy leżące w trawie i poplamiony krwią fartuch Emmy, wpadł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Ale nawet będąc już wewnątrz, biegnąc przez kuchnię i korytarz do swego pokoju na górze, słyszał, jak rechotliwy śmiech Emmy i przeraźliwe pokrzykiwanie ptaków nakładają się na siebie i w końcu tworzą jedność: dźwięk, jakim brzmią koszmary.

Prawie całą następną godzinę Pierrot przeleżał na łóżku, pisząc do Anszela list o tym, czego był świadkiem. Oczywiście widywał wcześniej setki razy pozbawione głów kurczaki, wiszące w oknach wystawowych w rzeźniczych sklepach w Paryżu, i doskonale pamiętał, jak czasami Maman, kiedy miała trochę nadprogramowej gotówki, kupowała jednego, przynosiła do domu, oskubywała w kuchni z piór i tłumaczyła mu przy tym, że jak się takiego ptaka starannie podzieli, to będzie z czego robić obiady przez cały tydzień, jednak nigdy dotychczas nie widział, jak się kurczaka zabija.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że ktoś musi to robić. Ale ideę okrucieństwa samą w sobie odrzucał. Odkąd tylko pamiętał, nie cierpiał przemocy, w jakiegokolwiek postaci, i instynktownie unikał konfrontacji. Niektórzy chłopcy w szkole w Paryżu rwali się do bitki z najbłahszego powodu, można było sądzić, że dla przyjemności. Kiedy rzucali się na siebie z pięściami, inni gromadzili się wokół i podjudzali ich, a równocześnie zasłaniali przed nauczycielami. Jednak Pierrot nigdy na coś takiego nie patrzył, absolutnie nie pojmował bowiem, jak można odczuwać przyjemność, zadając ból innym.

O tym właśnie napisał Anszelowi, odnosząc się również do kurczaków.

Nie odniósł się natomiast w zasadzie do tego, o czym Anszel napisał mu w swoim liście — że ulice Paryża zrobiły się niebezpieczne dla chłopca takiego jak on, że w

sklepie z pieczywem, którego właścicielem jest monsieur Goldblum, wybito szyby i napisano „Juden!” na drzwiach, i jeszcze, że on musi teraz schodzić z trotuaru do rynsztoka, aby ustąpić miejsca zbliżającemu się z naprzeciwka nie-Żydowi. Pierrot zignorował te wszystkie sprawy, gdyż nie mógł znieść myśli o tym, że jego przyjaciel jest wyzywany i prześladowany.

W zakończeniu listu powiadomił Anszela, że pisząc do siebie, będą musieli stosować specjalny szyfr.

„Nie możemy pozwolić, żeby nasza korespondencja wpadła w ręce wroga!” — zaznaczył. — „Dlatego od tej pory, Anszel, nie będziemy podpisywali naszych listów imionami. Zamiast nich użyjemy symboli, jakie wybraliśmy dla siebie nawzajem, kiedy mieszkaliśmy razem w Paryżu. Ty musisz używać znaku lisa, a ja będę używał znaku psa”.

Kiedy Pierrot znowu zszedł na dół, trzymał się jak najdalej od kuchni, bo nie chciał zobaczyć, co Emma może robić z ciałami martwych ptaków. Zerknął natomiast na swoją ciotkę, która czyściła szczotką sofę w salonie, skąd roztaczał się przepiękny widok na Obersalzberg. Na ścianach wisiały tam dwie flagi — te długie wstęgi ostrej czerwieni, z kolistymi białymi polami pośrodku, w których widniały czarne swastyki, równocześnie imponowały i przerażały. Cicho przeszedł dalej, minął Ute i Hertę, które niosły tace z czystymi szklankami do głównych sypialni, i zatrzymał się w końcu korytarza, zastanawiając się, co robić dalej.

Dwoje drzwi po lewej było zamkniętych, natomiast otwarte były te do biblioteki, wszedł więc do środka i zaczął odczytywać tytuły książek ustawionych na półkach. Trochę go rozczarowały, bo żaden nie brzmiał tak dobrze jak *Emil i detektywi*; w bibliotece przeważały książki historyczne i biografie nieżyjących już osób. Na jednej z półek znajdował się cały tuzin egzemplarzy tej samej książki — napisanej osobiście przez pana; jeden z nich przekartkował, a potem odłożył.

W końcu zwrócił uwagę na stojący pośrodku duży prostokątny stół, z mapą na blacie, przyciśniętą we wszystkich czterech rogach masywnymi, gładkimi kamieniami. Spojrzał na nią i poznał, że to mapa Europy.

Pochylił się i wodząc po niej palcem wskazującym, łatwo znalazł Salzburg, natomiast nie natrafił na leżące u stóp góry Berchtesgaden. Przejechał więc palcem na zachód, przez Zurych i Bazyleę do Francji, a tam do Paryża. Poczuł, że ogarnia go ogromna tęsknota za domem, w którym byli Maman i Papa. Przymknął oczy i przypomniał sobie, jak to leżeli z Anszelem na trawie na Polu Marsowym, a D’Artagnan biegał wokół nich i niuchał, tropiąc nieznanne zapachy.

Z tego wszystkiego nie usłyszał bieganiny na zewnątrz, warkotu samochodu na podjeździe ani głosu Ernsta, który otwierał drzwi pasażerom. Nie słyszał też głośnych powitań ani dobiegającego z korytarza stukotu coraz bliższych kroków.

Dopiero kiedy uświadomił sobie, że ktoś na niego patrzy, odwrócił się w stronę drzwi. Stał w nich niezbyt wysoki mężczyzna z wąsikami nad górną wargą, w szarym płaszczu z grubego sukna, z wojskową czapką pod pachą. Spoglądając na chłopca, zsuwał z dłoni rękawiczki, powoli, metodycznie, palec po palcu.

Pierrotowi serce podskoczyło aż do gardła; rozpoznał go natychmiast, z portretu w

swoim pokoju. To był pan!

Pamiętał instrukcje, jakie ciocia Beatrix powtarzała mu dziesiątki razy przy każdej okazji, odkąd przyjechał, i teraz starał się dokładnie do nich zastosować. Wyprężył się, trzasnął głośno obcasami, stawiając stopę przy stopie w pozycji na baczność, wyrzucił prawą rękę ukosem w górę, unosząc dłoń nieco ponad wysokość ramienia i pilnując, by wszystkie palce były wyprostowane i przylegały jeden do drugiego. A na koniec wykrzyknął tak czysto i pewnie, jak tylko zdołał, dwa słowa, których wypowiedzenie ćwiczył niezliczoną ilość razy po przybyciu do Berghof:

— Heil Hitler!

Część 2  
**1937-1941**

## *Paczka w brunatnym papierze*

Kiedy Pierrot mieszkał w Berghof prawie rok, Führer dał mu prezent.

Był już wtedy ośmiolatkiem, zadowolonym z życia na szczycie góry Obersalzberg, pomimo bardzo rygorystycznego porządku dnia, jaki mu tu narzucono. Co rano wstawał o siódmej i wybiegał z domu do gospodarczego magazynu, aby wziąć stamtąd torbę karmy dla kurczaków — mieszanki ziaren i nasion — a potem sypnąć im ją do korytka na śniadanie. Następnie szedł do kuchni, gdzie Emma przygotowywała mu w miseczce owoce z płatkami, a potem brał szybką zimną kąpiel.

W dni powszednie Ernst podwoził go do szkoły w Berchtesgaden. Niektóre dzieci wyśmiewały się tam z niego, bo był nowy i wciąż mówił z lekkim francuskim akcentem, jednak dziewczynka, z którą siedział w ławce, nigdy tego nie robiła.

— Nie pozwalaj im, żeby ci dokuczali, Pieter — powiedziała kiedyś. — Nienawidzę tego najbardziej na świecie. Ci, co dokuczają, to tchórze i tyle. Łatwo możesz im się postawić.

— Ale oni są wszędzie — odparł i opowiedział jej o chłopcu z Paryża, który przezywał go „Le Petit” i o tym, jak Hugo prześladował go w sierocińcu sióstr Durand.

— To po prostu śmiej się z nich — podsunęła z kolei. — Niech całe to ich gadanie spływa po tobie jak woda po kacze.

Dopiero odczekawszy chwilę, Pierrot przyznał się jej do tego, co go naprawdę nurtowało.

— Czy ty nie myślisz czasem, że lepiej prześladować innych niż być prześladowanym? — zapytał niepewnie. — Przynajmniej nikt nie mógłby cię urazić.

Katarina spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Nie — odpowiedziała zdecydowanie. — Nie, Pieter. Ja nigdy tak nie myślę, ani przez chwilę.

— Ja też nie — szepnął, odwracając wzrok.

Popołudniami na górze miał wolny czas i mógł sobie biegać, ile dusza zapragnie, a ponieważ na tej wysokości pogoda zwykle dopisywała — było słonecznie, a rześkie powietrze mile pachniało sosnowymi igłami — rzadko zdarzał się dzień, w którym nie mógł wyjść na dwór. Wspinał się na drzewa albo zapuszczał się w las daleko od domu, żeby potem odnajdywać drogę powrotną, szukając własnych śladów, obserwując niebo i wykorzystując ogólną znajomość terenu.

Nie myślał już o Maman tak wiele, jak kiedyś, za to ojciec od czasu do czasu ukazywał mu się w snach, zawsze w mundurze i przeważnie z karabinem na ramieniu. Zrobił się też mniej chętny, by szybko odpowiadać Anszelowi, który zgodnie z jego sugestią podpisywał teraz wszystkie swoje listy do Berghof znakiem lisa

zamiast imieniem. Fakt, czuł się winny, że zaniedbuje przyjaciela, ale kiedy czytał o tym, co się dzieje w Paryżu, łapał się na tym, że po prostu nie wie, co odpisać.

Führer niezbyt często bywał na górze Obersalzberg, ale ilekroć miał przyjechać, oznaczało to straszną panikę i mnóstwo roboty. Ute zniknęła pewnego wieczora, nie powiedziawszy nawet do widzenia, i zastąpiła ją Wilhelmina, niezbyt mądra dziewczyna, która wciąż chichotała i uciekała do innego pokoju, ilekroć pan się zbliżał. Pierrot widział, że Hitler przypatruje się jej niekiedy aż nazbyt uważnie, a Emma, która gotowała w Berghof od 1924 roku, nawet wiedziała dlaczego.

— Jak po raz pierwszy tu przyjechałam — zaczęła mu opowiadać pewnego ranka po śniadaniu, zamknąwszy drzwi i ściszywszy głos — ten dom wcale nie nazywał się Berghof. Nie, nie, dopiero pan tak go nazwał. Wcześniej mówiło się o nim Haus Wachenfeld i to był letni dom małżeństwa Winterów z Hamburga. Kiedy Herr Winter umarł, wdowa zaczęła wynajmować go letnikom. Dla mnie to było straszne, bo za każdym razem, jak przyjeżdżali jacyś nowi, to musiałam się dowiadywać, co lubią i jak mam to dla nich przyrządzać. Pamiętam, jak Herr Hitler przyjechał pierwszy raz w 1928 roku z Angellą i Geli...

— Z kim? — zapytał Pierrot.

— Ze swoją siostrą i siostrzenicą. Angella miała kiedyś taką posadę, jak teraz twoja ciotka. Przyjechali tamtego lata i Herr Hitler — no, bo to był jeszcze wtedy Herr Hitler, a nie Führer — zapowiedział mi, że nie jada mięsa. Ja nigdy o czymś takim nie słyszałam i pomyślałam sobie, że to strasznie dziwaczne. Ale z czasem nauczyłam się gotować mu to, co lubi, a on na szczęście nigdy nie zabraniał reszcie z nas jeść tego, co chcemy.

W tym momencie kurczaki narobiły na podwórku rwetesu, jakby głosowały za tym, żeby Führer narzucił wszystkim swoje standardy dietetyczne.

— Ta Angella to była twarda, nieustępliwa kobieta — ciągnęła swoją opowieść Emma, siadając i popatrując w okno. — Ona i pan kłócili się przez cały czas, zawsze, jak mi się zdaje, o Geli, tę córkę Angeli.

— Czy ona była może w moim wieku? — spytał Pierrot, który wyobraził sobie dziewczynkę hasającą codziennie na szczycie, tak jak on teraz, i przy okazji pomyślał, że dobrze byłoby zaprosić tu kiedyś Katarinę.

— Nie, była znacznie starsza — stwierdziła Emma. — Miała jakieś dwadzieścia lat, jak mi się zdaje. Ona była wtedy bardzo blisko z panem. Może być, że za blisko — podkreśliła.

— To znaczy... — Pierrot nie bardzo rozumiał, co kucharka ma na myśli.

— Nieważne — zbyła go Emma. — Nie będę o tym gadać. Zwłaszcza z tobą.

— Ale dlaczego? — zaciekawiony Pierrot nie dawał za wygraną. — Przysięgam, że nikomu nic nie powtórzę.

Kucharka z westchnieniem pokręciła głową, ale wyraźnie było po niej widać, że ma straszną ochotę jeszcze sobie poplotkować.

— No, dobrze — zgodziła się w końcu. — Ale jak piśniesz bodaj słówko o tym, co ci teraz powiem...

— Nie pisnę — zapewnił ją Pierrot.

— Chodzi o to, że w tamtym czasie nasz pan był już przywódcą Narodowo-Socjalistycznej Partii, która zdobywała coraz to więcej miejsc w Reichstagu. Gromadził armię zwolenników i tej Geli podobało się, że zwraca na nią uwagę. No, ale w końcu ją to znudziło i tyle. Straciła dla niego zainteresowanie, a on tymczasem dalej ją adorował i wszędzie za nią chodził. Aż tu ona zakochała się w Emilu, który był wtedy kierowcą Führera, i dopiero się narobiło! Ten biedny Emil stracił posadę, ale dobrze, że nie stracił życia. Angela była wściekła, Geli rozszalona, a Führer upierał się, żeby mu wszędzie towarzyszyła, nie pozwolił jej odejść, przez co to biedne dziecko coraz bardziej zamykało się w sobie i w swoim nieszczęściu. Myślę, że Führer dlatego tak się teraz przypatruje tej Wilhelminie, bo ona przypomina mu Geli. Są podobne: taka sama okrągła buzia, ciemne oczy i policzki z dołeczkami. I tak samo trzpiotowate. Słowo ci daję, Pieter, że jak ją pierwszy raz zobaczyłam, to pomyślałam, że ducha mam przed sobą.

W tym momencie Emma przerwała swoją opowieść i wróciła do gotowania. A Pierrot zastanawiał się nad tym, co usłyszał, najpierw myjąc, a potem wycierając do sucha swoją miskę i łyżkę. Dopiero kiedy odłożył je na miejsce, do kuchennego kredensu, odważył się zapytać:

— Jak to, ducha? Co się stało z tą Geli?

Emma znowu westchnęła i pokręciła głową.

— Pojechała do Monachium. To znaczy, on ją tam zabrał — uściśliła — bo nie chciał ani na chwilę stracić jej z oczu. No i któregoś dnia, jak akurat została sama w mieszkaniu Führera przy Prinzregentenplatz, poszła do jego sypialni, wyciągnęła pistolet z szuflady i strzeliła sobie prosto w serce.

Eva Braun prawie zawsze towarzyszyła Führerowi, kiedy przybywał do Berghof, a Pierrot miał surowo nakazane, żeby mówić o niej „Fräulein” i tak samo się do niej zwracać. Była wysoką panią tuż po dwudziestce, z włosami blond i niebieskimi oczami, zawsze bardzo modnie ubraną. Pierrot nigdy nie widział jej dwa razy w tej samej kreacji.

— Możesz to teraz powyrzucać — poinstruowała kiedyś Beatrix przed wyjazdem, otwierając jedną po drugiej swoje szafy i machnięciem ręki wskazując na wszystkie sukienki i bluzki, które tam wisiały. — Fasony już niemodne, z zeszłego sezonu. Projektanci z Berlina obiecali przysłać mi teraz próbki z nowych kolekcji.

— A mogłabym oddać to biednym? — zapytała Beatrix.

Eva przecząco pokręciła głową.

— Byłoby rzeczą niestosowną, żeby jakaś inna niemiecka kobieta, zamożna czy uboga, nosiła sukienkę, która wcześniej dotykała mojej skóry — powiedziała. — Niech ta odzież idzie do pieca razem ze śmieciami. Skoro dla mnie już się nie nadaje, to niech się spali i koniec.

Eva — całkiem inaczej niż Führer — nie zwracała szczególnej uwagi na Pierrota, tylko od czasu do czasu, mijając go w korytarzu, mierzwiła mu włosy albo smyrała go po podbródku, jakby był, nie przymierzając, spanielem, i rzucała coś w stylu: „słodkie maleństwo” albo „istny aniołeczek”, a wtedy on czuł się strasznie

zażenowany. Generalnie nie znosił, kiedy w ten sposób do niego mówiono, a jeśli chodzi o nią, to wiedział, że nie jest zdecydowana, za kogo ma go brać: za małoletniego pracownika, dzikiego lokatora czy po prostu za żywą maskotkę.

Tego popołudnia, kiedy otrzymał prezent od Führera, w ogrodzie, niedaleko od głównego budynku, Pierrot rzucał do aportowania patyk Blondi, która była owczarkiem niemieckim i należała do Hitlera.

— Pieter! — zawołała Beatrix, stanąwszy w otwartych drzwiach. — Pieter, chodź tu do mnie!

— Ale ja się bawię — odkrzyknął, po czym chwycił patyk, który Blondi właśnie mu przyniosła, i rzucił go znowu.

— Chodź tu zaraz, Pieter, razem z tym nieodłącznym psem! — powtórzyła Beatrix tak zasadniczym tonem, że chłopiec wydał z siebie wprawdzie pomruk niezadowolenia, ale posłusznie ruszył w jej stronę. — Jak potrzebuję cię znaleźć, to wystarczy, że posłucham, skąd dochodzi szczekanie.

— Blondi uwielbia być tutaj — stwierdził Pierrot z uśmiechem od ucha do ucha. — Myślisz, że mógłbym poprosić Führera, żeby zostawił ją na stałe, zamiast zabierać do Berlina?

— Na twoim miejscu nie prosiłabym o to — odpowiedziała Beatrix, kręcąc głową. — Przecież wiesz, jak on jest przywiązany do tego psa.

— Ale Blondi uwielbia być tu na górze — upierał się. — A z tego, co słyszałem, kiedy jest tam, w siedzibie władz partii, to wcale nie wychodzi na dwór, żeby się pobawić. Widzisz zawsze, jaka jest podniecona, kiedy tutaj przyjeżdża i wyskakuje z samochodu.

— W żadnym wypadku go o to nie proś — powtórzyła Beatrix. — Nie proś go o nic.

— Ale przecież nie dla mnie, tylko dla Blondi — Pierrot nie ustępował. — Może Führer nie będzie miał nic przeciwko temu, kiedy to ja mu powiem...

— Zbliżyliście się do siebie, prawda? — przerwała mu pytaniem Beatrix, wypowiadając je z nutką niepokoju w głosie.

— Ja i Blondi?

— Ty i Herr Hitler.

— Nie powinnaś nazywać go Führerem?

— Masz rację. Więc ty i Führer. Zbliżyliście się, prawda? Spędzasz z nim mnóstwo czasu, kiedy tutaj przebywa.

Pierrot zastanowił się przez chwilę, czy tak jest, a jeśli, to dlaczego, i aż oczy otworzył szeroko ze zdumienia, kiedy zdał sobie sprawę z powodów.

— Papa mi się przy nim przypomina — powiedział. — Bo on tak jakoś mówi o Niemcach, o ich przeznaczeniu i przeszłości. I taki jest dumny z niemieckiego narodu. Całkiem jak Papa.

— Ale on nie jest twoim ojcem — zauważyła Beatrix.

— No, nie jest — przyznał Pierrot. — Przede wszystkim nie pije przez całe noce. Bo on pracuje. Dla dobra innych. Dla przyszłości ojczyzny.

Beatrix pokręciła głową i popatrzyła na niego, a potem spojrzała w dal, na szczyty gór. Pierrot pomyślał, że pewnie przeszedł ją nagły dreszcz, bo drgnęła i skrzyżowała

ramiona, jakby usiłowała się w ten sposób ogrzać.

— Jestem ci teraz potrzebny, ciociu? — zapytał, zastanawiając się, czy będzie mógł wrócić do zabawy z Blondi.

— Mnie nie — odpowiedziała Beatrix. — Jemu.

— Führerowi?

— Tak.

— Trzeba było od razu mówić! — wykrzyknął, kierując się w pośpiechu do domu. — Przecież wiesz, że nie może być tak, żeby on czekał!

Ruszył biegiem przez korytarz w stronę gabinetu pana, o mało co nie zderzając się z Evą, która wyłoniła się z jednego z bocznych pokoi. Przytrzymała go za ramiona, wbijając w nie palce tak mocno, że aż się skrzywił z bólu.

— Pieter — syknęła. — Czy nie prosiłam cię, żebyś tutaj nie biegał?

— Ale ja biegnę, bo Führer chce mnie widzieć — wypalił z miejsca i spróbował wyrwać się z kleszczy.

— Wzywał cię?

— Tak.

— No, to idź. — Wypuściła go i spojrzała na wiszący na ścianie zegar. — Tylko nie siedź u niego za długo, dobrze? Bo zbliża się pora posiłku, a ja chcę mu jeszcze przedtem puścić parę nowych płyt, bo muzyka zawsze dobrze mu robi na trawienie.

Pierrot ominął ją, zastukał w masywne dębowe drzwi gabinetu i czekał, aż usłyszy pozwolenie, by wejść. Kiedy już znalazł się w środku i zamknął za sobą drzwi, marszowym krokiem podszedł do biurka, trzasnął obcasami, jak robił to już tysiące razy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, podniósł przepisowo rękę w powitalnym geście, który zawsze pozwalał mu czuć się kimś bardzo ważnym, i wykrzyknął na całe gardło:

— Heil Hitler!

— Aha, jesteś, Pieter — odezwał się na to Führer, po czym nakręcił skuwkę na wieczne pióro, odłożył je i wyszedł zza biurka. — Nareszcie! — podkreślił.

— Przepraszam, mein Führer, ale zostałem zatrzymany.

— Jak to?

Pierrot zawahał się przez moment.

— Ktoś zaczął ze mną rozmawiać na dworze — wyjaśnił.

— Ktoś? A kto?

Pierrot otworzył już usta, mając na końcu języka imię ciotki, ale nie zdecydował się go od razu wypowiedzieć, obawiał się bowiem, że będzie miała przez to kłopoty, choć z drugiej strony, tłumaczył sobie, sama zawiniła, nie przekazując mu szybciej wiadomości o tym, kto na niego czeka.

— Nieważne, skoro już tu jesteś — stwierdził po chwili Hitler. — Siadaj, proszę.

Pierrot przysiadł sztywno na brzeżku sofy, a Führer zajął miejsce w fotelu naprzeciwko niego. W tym momencie rozległo się drapanie w drzwi. Hitler zerknął na nie i stwierdził:

— Możesz ją wpuścić.

Pierrot zerwał się i otworzył, Blondi wbiegła do środka, rozejrzała się za swym

panem i wyciągnąwszy się u jego stóp, szeroko ziewnęła, wyraźnie zmęczona zabawą na powietrzu.

— Dobra sunia, dobra — powiedział Hitler i nachylił się, żeby ją poklepać po karku.

— Byliście razem na dworze? — zapytał Pierrota.

— Tak, mein Führer. Trenowaliśmy.

— A co?

— Aportowanie, mein Führer.

— Ty ją bardzo dobrze szkolisz, Pieter. Ja nie potrafię, nie umiem jej zdyscyplinować, w tym problem. Bo mam zbyt miękkie serce.

— Ona jest bardzo inteligentna, więc nietrudno ją szkolić — stwierdził Pierrot.

— Bo to inteligentna rasa — rzekł na to Hitler. — Jej matka też była mądrym psem.

A ty miałeś kiedyś psa, Pieter?

— Tak, mein Führer — odparł Pierrot. — D'Artagnana.

Hitler uśmiechnął się.

— Jednego z trzech muszkietierów Dumasa — rzucił.

— Nie, mein Führer — zaprzeczył Pierrot.

— Nie?

— Nie, mein Führer — powtórzył. — Trzej muszkietierowie to Atos, Portos i Aramis. D'Artagnan był... No, on był jednym z ich przyjaciół. Ale zajmował się tym samym, co oni.

Hitler uśmiechnął się ponownie.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — zapytał.

— Moja mama bardzo lubiła tę książkę. Dlatego tak nazwała naszego pieska, kiedy był jeszcze szczeniakiem.

— A jakiej rasy?

— Nie jestem pewien — stwierdził Pierrot, marszcząc brwi. — Pewnie każdej po trochę, tak myślę.

Po twarzy Führera nietrudno było poznać, jak bardzo jest zdegustowany.

— Ja jestem zwolennikiem czystych ras — oznajmił. — A tymczasem jeden z mieszkańców Berchtesgaden zapytał mnie kiedyś, czy pozwoliłbym dopuścić jego kundla do Blondi, żeby były szczeniaki, wyobraź sobie! — Nieomal parsknął śmiechem na absurdalność takiego pomysłu. — Prośba tyleż bezczelna, co odrażająca. Przecież ja nigdy nie pozwolę, żeby Blondi zhańbiła swoją rasę, zadając się z jakimiś bezwartościowymi kreaturami. A gdzie jest teraz twój pies?

Pierrot już miał opowiedzieć o tym, że D'Artagnan zamieszkał z madame Bronstein i Anszalem po śmierci jego Maman, ale przypomniał sobie, jak Beatrix i Ernst przestrzegali go, żeby nigdy nie wypowiadał imienia przyjaciela w obecności pana.

— On zdechł — bąknął, wbijając wzrok w podłogę.

Kryjąc w ten sposób twarz, miał nadzieję ukryć również to, że kłamie, bo nie mógł znieść myśli o tym, że Führer przyłapuje go na mówieniu nieprawdy i traci do niego zaufanie.

— Ja uwielbiam psy. — Hitler nie wyraził ubolewania w związku z tym, co usłyszał, tylko ciągnął dalej swój wątek. — Moim ulubionym był mały czarno-biały Jack

Russell terrier, który zdezerterował w czasie wojny z angielskiej armii i przeszedł na stronę Niemiec.

Pierrot spojrział z powątpiewaniem, ponieważ historia o psiej dezercji wydała mu się nieprawdopodobna, ale Führer tylko z uśmiechem pogroził mu palcem.

— Ty myślisz, że ja sobie żartuję, Pieter, ale ja cię zapewniam, że nie. Ten mój Jack Russell, którego nazwałem Fuchsl, czyli lisek, był najpierw maskotką Anglików. Bo widzisz, oni trzymali małe psy w swoich okopach, chociaż to było okrucieństwo. Niektóre wykorzystywali jako łączników, do przenoszenia wiadomości, inne jako wykrywaczy moździerzy, bo pies potrafi usłyszeć odgłos nadlatujących pocisków szybciej niż człowiek. Te psy uratowały życie wielu żołnierzom, także wtedy, kiedy wyczuwały zapach chloru albo gazu musztardowego i podnosiły alarm. No, ale tak czy inaczej, mały Fuchsl zapędził się na pas ziemi niczyjej którejś nocy... to musiało być... niech pomyślę, pewnie w 1915 roku. Przedostał się cały i zdrowy przez ostrzał artyleryjski i wskoczył jak jakiś akrobata do naszego okopu, prosto w moje ramiona. Czy możesz w to uwierzyć? Przez następne dwa lata nie odstępował mnie. Był bardziej lojalny i stały w uczuciach niż ktokolwiek z ludzi, jakich znałem.

Pierrot próbował wyobrazić sobie małego psa, który przedzierając się przez teren walk, wymyka się pociskom, potyka się na oderwanych przez wybuchy kończynach i ślizga na wyprutych wnętrznościach żołnierzy obydwu armii. Słuchał już wcześniej takich historii od ojca, przyprawiały go o mdłości.

— A co się z nim dalej stało? — zapytał o Fuchsla.

Twarz Führera sposepniała.

— Podle mi go skradziono — odparł ponuro. — To było w sierpniu 1917 roku, na stacji kolejowej tuż pod Lipskiem, jakiś robotnik kolejowy dawał mi tam za Fuchsla 200 marek, a ja mu powiedziałem, że nigdy go nie sprzedam, nawet za tysiąc razy więcej. Ale wyszedłem do toalety, zanim pociąg ruszył, a kiedy wróciłem na swoje miejsce, to Fuchsla, mojego liska, już nie było. Złodziejstwo, podle złodziejstwo!

Chociaż minęło dwadzieścia lat, Führer na wspomnienie tamtych wydarzeń wpadł w furję; na jego twarzy pojawił się wściekły grymas, jego oddech stał się gwałtowniejszy, a głos przeszedł w krzyk.

— Czy ty wiesz, co bym zrobił, jakbym dopadł tego typa, która skradł mojego małego Fuchsla? — zapytał.

Pierrot pokręcił głową, a Führer nachylił się w jego stronę, dając mu równocześnie znak, żeby się również przybliżył. A potem, uniósłszy rękę jak do przysięgi, wyszeptał mu do ucha trzy zdania — krótkie i jednoznaczne. Kiedy skończył, wyprostował się, a coś na kształt uśmiechu przemknęło mu po twarzy. Pierrot również odchylił się do tyłu, lecz nie wydobył z siebie ani słowa, spojrział tylko na Blondi, która otworzyła jedno oko i popatrywała w górę, zachowując kompletny bezruch. Jakkolwiek lubił przebywać z Führerem, bo przy nim zawsze czuł się taki ważny, to w tym momencie niczego nie pragnął bardziej, jak tego, by znaleźć się znowu na dworze z Blondi, rzucić jej patyk daleko, aż do lasu, i pobiec tam za nią najszybciej, jak tylko się da. Żeby się bawić. Żeby rzucać. Żeby żyć.

— No, ale dosyć o tym — stwierdził Führer i klepnął trzy razy dłońią w poręcz swego

fotela na znak, że chce zmienić temat. — Mam dla ciebie prezent.

— Dziękuję, mein Führer — wykrztusił zaskoczony Pierrot.

— To jest coś, co powinien mieć każdy chłopiec w twoim wieku. Przynieś — polecił, wskazując na paczkę w brunatnym papierze, ułożoną na stoliku, który stał obok jego biurka.

Blondi dźwignęła łeb, słysząc słowo „przynieś”, wypowiedane jako komenda przy aportowaniu, co rozbawiło Führera, który ze śmiechem pogłaskał ją i kazał leżeć. Pierrot podszedł i wziął w obie ręce pakunek, wyczuwając, że jest w nim coś miękkiego. Przeniósł go ostrożnie i podał panu.

— Nie, nie, ja wiem, co jest w środku — powiedział Hitler. — To dla ciebie, Pieter. Otwórz. Myślę, że ci się spodoba to, co tam jest.

Pierrot zaczął rozsupływać sznurek, którym obwiązana była paczka. Wiele czasu minęło, odkąd ostatnio dostał prezent, był więc mocno podekscytowany tym, że teraz jakiś dostaje.

— To bardzo miłe... — zaczął.

— Otwórz i tyle — przerwał mu Führer.

Sznurki puściły, brunatny papier rozchylił się i Pierrot zaczął po kolei wyciągać to, co było w paczce: parę czarnych krótkich spodni, jasnobrązową koszulę, granatową bluzę, czarną chustę i jasnobrązową czapkę. Na lewym rękawie koszuli naszyta była czarna opaska z białą błyskawicą.

Patrzył na te rzeczy z sercem przepelnionym na równi niepewnością i pragnieniem. Pamiętał przecież, jak ubrani w coś podobnego chłopcy z pociągu dokuczali mu i jak Rottenführer Kohler ukradł mu kanapki, i wcale nie uważał, że chciałby być podobny do nich. Ale z drugiej strony, jak sobie pomyślał, oni niczego się nie bali, bo tworzyli jedną drużynę, coś jak muszkietierowie. Myśl, że można niczego się nie bać, spodobała się mu. Tak samo jak myśl o tym, żeby gdzieś przynależeć.

— To jest naprawdę szczególnie strój — podkreślił Hitler. — Oczywiście wiesz coś o Hitlerjugend...

— Wiem — przytaknął Pierrot. — Kiedy jechałem tutaj pociągiem, spotkałem kilku chłopaków z Hitlerjugend w przedziale.

— No, to troszeczkę się już dowiedziałeś, a ja teraz powiem ci więcej — stwierdził Hitler. — Otóż Partia Narodowo-Socjalistyczna wielkimi krokami prowadzi nasz kraj ku lepszemu jutru. Bo takie jest moje przeznaczenie: sprawić, żeby Niemcy na cały świat zasłynęły czymś wielkim, i to się stanie, obiecuję ci. A ty mi uwierz, że nigdy nie jest za wcześnie, by przyłączyć się do walki o słuszną sprawę. Ja zawsze podziwiam tych chłopców w twoim wieku albo niewiele starszych, którzy stają po mojej stronie, żeby poprzeć naszą politykę, naszą determinację w dążeniu do naprawy krzywd, jakie wyrządzono nam w przeszłości. Spodziewam się, że rozumiesz, o czym mówię?

— Tak... trochę — wykrztusił Pierrot. — Mój ojciec często mówił o czymś takim.

— To dobrze — stwierdził Führer. — Zatem, zachęcamy naszą młodzież, aby wstępowała do partii tak wcześnie, jak tylko jest to możliwe. Zaczynamy od Deutsches Jungvolk. Ty wprawdzie jesteś troszkę za młody, ale zrobię dla ciebie specjalny wyjątek. W odpowiednim czasie, kiedy będziesz starszy, zostaniesz

członkiem Hitlerjugend. Jest też sekcja dla dziewcząt, Bund Deutscher Madel, bo trzeba docenić ważną rolę kobiet, które będą matkami naszych przyszłych przywódców. To załóż ten swój mundur, Pieter. Niech zobaczę, jak w nim wyglądasz.

Pierrot w zakłopotaniu zamrugał oczami.

— Teraz, mein Führer? — zapytał.

— A dlaczego nie? Idź do swego pokoju i przebierz się. Wróć, jak będziesz gotowy.

Pierrot pobiegł do siebie na górę, gdzie zdjął buty, spodnie, koszulę i bluzę, jakie miał na sobie, i ubrał się w to, co dostał. Wszystko pasowało na niego idealnie. Na koniec włożył nowe buty i trzasnął obcasami: ich stukot robił o wiele większe wrażenie niż ten, jaki kiedykolwiek udało mu się wydobyć z noszonych dotychczas. Na ścianie było lustro; kiedy stanął przed nim, aby się przejrzeć, wszelka niepewność, jaką mógł wcześniej odczuwać, natychmiast zniknęła. Podobna duma nie przepełniała go jeszcze nigdy w życiu. Znów przypomniał mu się Kurt Kotler; uświadomił sobie, jak cudownie byłoby mieć taką jak on władzę: móc zabrać, co się chce, kiedy się chce i komu się chce, zamiast zawsze być tym, któremu coś odbierają.

Do gabinetu wrócił promiennie uśmiechnięty.

— Dziękuję, mein Führer! — wykrzyknął.

— Bardzo proszę — rzekł Hitler. — Tylko pamiętaj, że chłopiec, który nosi ten mundur, musi przestrzegać naszych zasad i nie pragnąć w życiu niczego innego, jak tylko potęgi naszej partii i naszego kraju. Tylko po to tutaj jesteśmy, my wszyscy. Żeby uczynić Niemcy znowu wielkimi. A teraz jeszcze jedno — zapowiedział, po czym podszedł do biurka, przegarnął rozłożone tam papiery i wydobył spośród nich kartkę z jakimś tekstem.

— Stań tam — wskazał na zawieszoną na ścianie długą wstęgę narodowo-socjalistycznego sztandaru, czerwonego z czarną swastyką w kolistym białym polu pośrodku.

Pierrot posłusznie stanął we wskazanym miejscu.

— A teraz weź ten tekst i głośno go odczytaj.

Pierrot najpierw przeczytał tekst bezgłośnie, dla siebie, a potem spłoszony spojrzał na Führera. Poczuł, że dzieje się z nim coś niesamowicie dziwnego: chciał wypowiedzieć te słowa na głos i równocześnie nie chciał.

— Pieter — z cicha rzucił Hitler.

Pierrot odchrząknął i wyprostował się.

— W obecności tego krwią uświęconego sztandaru, który reprezentuje naszego Führera — zaczął — przysięgam poświęcić wszystkie moje siły i umiejętności zbawcy naszego kraju, Adolfowi Hitlerowi. Wyrażam wolę i gotowość, by oddać za niego życie. Tak mi dopomóż Bóg.

Führer uśmiechnął się i pokiwał z ukontentowaniem głową, po czym wziął kartkę od Pierrota, który starał się nie tracić nadziei, że aż tak bardzo nie widać, jak mocno drżą mu ręce.

— Dobra robota, Pieter — pochwalił go Hitler. — Od tej pory nie chcę cię widzieć w niczym innym, tylko w mundurze, rozumiesz? Znajdziesz jeszcze trzy komplety w swojej szafie.

Pierrot skinął głową, po czym oddał Führerowi przepisowe honory, opuścił jego gabinet i ruszył korytarzem. W mundurze czuł się bardziej pewny siebie, bardziej dorosły. Był przecież teraz, jak sam sobie powtarzał, członkiem Deutsches Jungvolk. I to nie takim, jak każdy inny, tylko szczególnie ważnym. No, bo ilu jeszcze chłopców ma mundury od samego Adolfa Hitlera?

„Papa byłby ze mnie taki dumny” — myślał sobie.

Za zakrętem korytarza dostrzegł Beatrix i szofera Ernsta, którzy stali razem w znajdującej się tam niszy i rozmawiali przyciszonymi głosami, więc usłyszał jedynie urywki.

— Jeszcze nie teraz, ale już niedługo — mówił Ernst. — Jak sprawy zaczną zanadto wymykać nam się z rąk, zaraz będę działał, obiecuję.

— A wiesz, co masz robić? — zapytała Beatrix.

— Wiem — odparł. — Rozmawiałem z...

Umilkł w tym momencie, bo spostrzegł chłopca.

— Pieter — rzucił.

— Patrzcie! — wykrzyknął Pierrot, prężąc się z dumą. — Popatrzcie na mnie!

Beatrix w pierwszym odruchu nie mogła wypowiedzieć choćby słowa, ale po chwili zdobyła się na uśmiech i stwierdziła:

— Wyglądasz wspaniale. Prawdziwy patriota. Prawdziwy Niemiec.

Rozpromieniony Pierrot spojrzał na Ernsta, ale ten w najmniejszym stopniu nie odwzajemnił jego uśmiechu.

— A ja myślałem, że ty jesteś Francuzem — mruknął, po czym ukłonił się Beatrix, przykładając palce do daszka swojej szoferskiej czapki, otworzył frontowe drzwi i zniknął za nimi, wtapiając się jak cień w jaskrawe światło, jakie popołudniowe słońce rzucało na górski pejzaż, zdominowany przez zielen i biel.

## *Szewc, żołnierz i król*

W ósmym roku życia Pierrota Führer zbliżył się do niego, zainteresował się tym, co czyta, dał mu swobodny dostęp do swojej biblioteki i zaczął polecać autorów i książki, pod wrażeniem których sam pozostawał. Zaprezentował mu między innymi biografię osiemnastowiecznego pruskiego króla Fryderyka Wielkiego, którą napisał Thomas Carlyle; tom tak opasły i wydrukowany tak drobną czcionką, że Pierrot powątpiewał, czy zdoła przebrnąć choćby przez pierwszy rozdział.

— Wielki wojownik — objaśniał Hitler, stukając palcem wskazującym w okładkę książki. — Wizjoner na skalę ogólnoswiatową. I mecenas sztuki. Oto droga do doskonałości: walczymy, aby osiągnąć nasze cele, oczyszczamy świat, a potem czynimy go znów pięknym.

Pierrot czytał nawet książkę samego Führera, Mein Kampf, która była nieco łatwiejsza dla niego do ogarnięcia niż Carlyle, chociaż i tak się w niej gubił. Szczególnie interesowały go fragmenty odnoszące się do wojny, tej wielkiej światowej, oczywiście dlatego, że właśnie podczas niej jego ojciec, Wilhelm, tak wiele wycierpiał. Pewnego popołudnia, podczas wspólnego spaceru z Blondi po lesie, który otaczał górską kwaterę Führera, zapytał o jego własne wojenne losy.

— Najpierw — zaczął opowiadać — byłem łącznikiem, przerzucałem meldunki pomiędzy armiami stacjonującymi na granicy francuskiej i belgijskiej. Potem walczyłem w okopach pod Ypres, nad Sommą i pod Passchendaele. Pod koniec wojny zostałem niemalże oślepiony podczas ataku gazem musztardowym. Ale później niekiedy myślałem sobie, że lepiej byłoby zostać ślepcem niż świadkiem poniżenia, jakie naród niemiecki musiał wycierpieć po kapitulacji.

— Mój ojciec też walczył nad Sommą — wtrącił Pierrot. — A moja mama zawsze powtarzała, że chociaż nie zginął na wojnie, to wojna go zabiła.

Führer zbył tę uwagę lekceważącym machnięciem ręki.

— Twoja matka mówiła jak osoba nieświadoma istoty rzeczy — stwierdził. — To dla każdego powód do dumy, zginąć ku chwale ojczyzny. Pamięć twojego ojca, Pieter, jest czymś, co powinieneś czcić.

— Ale kiedy on wrócił do domu, to był bardzo chory — stwierdził Pierrot. — I robił takie straszne rzeczy.

— To znaczy jakie?

Nie lubił tych wspomnień, więc zmuszony wyliczyć niektóre najgorsze przykłady, patrzył w ziemię i mamrotał z cicha. Führer słuchał z kamienną twarzą, a kiedy skończył, pokręcił tylko głową, jakby nic z tego nie miało znaczenia.

— Odzyskamy wszystko, co nasze — powiedział. — Naszą niemiecką ziemię, naszą godność i nasze przeznaczenie. To naszemu pokoleniu przypadnie w udziale walka i

chwała ostatecznego zwycięstwa.

Pierrot pokiwał głową. Ostatnio przestał myśleć o sobie jako o Francuzie, zaczął uważać się za Niemca, zwłaszcza że podrósłszy w końcu, dostał dwa nowe mundury Deutsches Jungvolk, dostosowane rozmiarem do jego wydłużających się kończyn. A zresztą, poza wszystkim, pewnego dnia cała Europa i tak, jak powiedział mu Führer, będzie niemiecka, więc poczucie przynależności narodowej straci jakiegokolwiek znaczenie.

— Będziemy jednością pod wspólnym sztandarem — oznajmił wtedy i wskazał na opaskę ze swastyką, jaką nosił na ramieniu. — Pod tym sztandarem.

Zanim Führer odjechał do Berlina, dał Pierrotowi do przeczytania jeszcze jedną książkę ze swojej prywatnej biblioteki. Chłopiec odczytał na głos jej tytuł, starannie wypowiadając poszczególne sylaby: *Międzynarodowy Żyd — główny światowy problem*. A potem imię i nazwisko autora: Henry Ford.

— To Amerykanin, oczywiście — objaśnił Hitler. — Ale on rozumie naturę Żyda, skąpstwo Żyda, sposób, w jaki Żyd zabiega o to, by się bogacić. Według mnie mister Ford powinien dać sobie spokój z produkowaniem samochodów i kandydować na prezydenta. To jest człowiek, z którym Niemcy mogłyby współdziałać. Z którym ja mógłbym współdziałać.

Pierrot wziął tę książkę, starając się ignorować fakt, że Anszel jest Żydem, a żadna z cech opisywanych przez Führera nie pasuje do niego. Na razie włożył ją do szuflady szafki nocnej, jaką miał przy łóżku, i wrócił do Emila i detektywów, bo to zawsze przypominało mu o domu.

W kilka miesięcy później, kiedy późnojesienny szron zaczął osadzać się na okolicznych górach i wzgórzach, Ernst pojechał do Salzburga odebrać Fräulein Braun, która przybyła do Berghof, aby przygotować wszystko na wizytę bardzo ważnych gości. Kiedy Emma dostała od niej spis ich ulubionych dań, pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Wygląda na to, że oni nie są ani troszeczkę wybredni, prawda? — rzuciła sarkastycznym tonem.

— Oni przywykli do określonych standardów — stwierdziła Eva, która przytłoczona mnogością tego wszystkiego, co należało jeszcze przygotować, krążyła po domu, pstrykając na wszystkich palcami i żądając od nich szybszego działania. — Führer zapowiedział, że mają być traktowani... no, cóż, po królewsku, jak monarchowie.

— Myślałam, że Kaiser Wilhelm wyczerpał nasze zainteresowanie monarchią — mruknęła pod nosem Emma, po czym zasiadła do spisywania listy produktów, jakie należało zamówić u dostawców z Berchtesgaden i okolicznych rolników.

— Cieszę się, że jestem dziś w szkole — usłyszała od Pierrota tego przedpołudnia Katarina, podczas przerwy pomiędzy lekcjami, gdy jak codziennie zdawał jej raport z tego, co dzieje się w Berghof. — W domu wszyscy są tacy zajęci. Herte i Ange...

— Jaka Ange? — zapytała.

— Nowa pokojówka — wyjaśnił Pierrot.

— Jeszcze jedna? — Katarina ze zdziwieniem pokręciła głową. — To ilu on potrzebuje?

Pierrot zmarszczył brwi. Bardzo lubił Katarinę, ale absolutnie nie podobało mu się to, że od czasu do czasu pokpiwała sobie z Führera.

— Nadal są dwie — stwierdził. — Tylko Fräulein Braun pozbyła się Wilhelminy.

— To za kim Führer teraz gania dookoła domu?

— Dom był dzisiaj rano wywrócony do góry nogami — stwierdził Pierrot, ignorując jej uwagę i żałując w tym momencie, że opowiedział jej kiedyś historię siostrzenicy Hitlera i przytoczył teorię Emmy, że pokojówka przypomina mu tamtą nieszczęsną dziewczynę. — Każda książka musi być zdjęta z półki i odkurzona, każda żarówka wykręcona z oprawki i przetarta, każda sztuka pościeli uprana, wysuszona i uprasowana, żeby wyglądała jak nowa...

— To jakiś straszny dramat — podsumowała Katarina. — I wszystko dla takich głupich ludzi.

Führer pojawił się w rezydencji wieczorem, w przededniu przyjazdu gości, dokonał skrupulatnej inspekcji i pogratulował wszystkim dobrze wykonanej roboty, dzięki czemu Eva wreszcie odetchnęła. A następnego ranka Beatrix przywołała Pierrota do swego pokoju, aby sprawdzić, czy jego mundur Deutsches Jungvolk odpowiednio się prezentuje.

— Bez zarzutu — stwierdziła, zlustrowawszy go od stóp do głów. — Tak ostatnio rośniesz, że się bałam, czy rękawy i nogawki nie będą znowu za krótkie.

W tym momencie rozległo się pukanie, a potem drzwi uchyliły się i ukazała się w nich głowa Ange.

— Ja bardzo przepraszam — zaczęła pokojówka — ale...

Pierrot odwrócił się w jej stronę i najpierw pstryknął na nią palcami, naśladując to, co robiła Eva, a potem wskazał jej korytarz i rzucił:

— Znikaj stąd! My tu z ciocią rozmawiamy.

Ange, która aż usta otworzyła ze zdumienia, popatrzyła na niego przez chwilę, a potem cofnęła się i cicho zamknęła za sobą drzwi.

— Nie powinieneś odzywać się do niej w ten sposób, Pieter — upomniała go ciocia Beatrix, nie mniej niż Ange zaskoczona jego tonem.

— A dlaczego nie? — zapytał zaczepnie Pierrot, który tym, że tak z góry potraktował pokojówkę, sam był trochę zadziwiony, ale w przyjemny sposób, bo dzięki temu poczuł się kimś ważnym. — My rozmawialiśmy, a ona nam przerwała.

— Ale to było niegrzeczne.

Pierrot pokręcił głową na znak, że odrzuca taką ocenę.

— Przecież ona jest tylko pokojówką — stwierdził. — A ja jestem członkiem Deutsches Jungvolk. Spójrz tylko na mój mundur, ciociu Beatrix! Ona powinna okazywać mi szacunek, tak samo jak każdemu innemu żołnierzowi czy oficerowi.

Beatrix podeszła do okna i spojrzała na szczyty gór, ponad którymi przepływały po niebie białe chmury. Oparła się obydwoma rękami o parapet, jakby się obawiała, że bez tego nie zdoła opanować wzburzenia i wrócić do równowagi.

— Myślę, że już nie powinieneś zabierać tyle czasu Führerowi — stwierdziła w końcu, odwracając się od okna i spoglądając na bratanka.

— Dlaczego?

— Bo on jest bardzo zapracowany.

— To prawda. Ale on mówi, że widzi we mnie wielki potencjał — stwierdził z dumą Pierrot. — A poza tym rozmawiamy o ciekawych rzeczach. I on słucha tego, co ja mówię.

— Ja też cię słucham, Pieter — zauważyła Beatrix.

— Ale to co innego.

— Czemu?

— Bo ty jesteś tylko kobietą. Potrzebną Rzeszy, oczywiście, ale sprawa Niemiec spoczywa w rękach mężczyzn, takich jak Führer i ja.

— Sam do tego doszedłeś? — spytała Beatrix z cierpkim uśmiechem.

— No... nie — zaprzeczył Pierrot, niepewny, czy to, co przed chwilą palnął, może uznać za całkiem słuszne, bo przecież Maman była kobietą, a zawsze wiedziała, co jest dla niego najlepsze. — Führer mi to powiedział. Że sprawa Niemiec spoczywa w rękach mężczyzn.

— A ty uważasz, że jesteś mężczyzną, tak? Kiedy masz ledwie osiem lat?

— Będę miał dziewięć za parę tygodni — odparował i wyprężył się, by wydać się wyższym. — A ty sama powiedziałaś, że rosnę z dnia na dzień.

Beatrix przysiadła na łóżku i klepięciem dłonią w kołdrę zachęciła Pierrota, by usiadł obok niej.

— To o jakich rzeczach Führer z tobą rozmawia? — zapytała.

— Raczej skomplikowanych — odpowiedział. — Związanych z historią i polityką, a Führer mówi, że kobiecy mózg...

— Sprawdź mnie. Będę robiła, co mogę, żeby nadażyć za tobą.

— No więc, rozmawiamy o tym, jak nas okradziono — zaczął Pierrot.

— Nas? To znaczy kogo? Ciebie i mnie? Ciebie i jego?

— Nas wszystkich. Naród niemiecki.

— No tak, zapomniałam, że ty jesteś teraz Niemcem...

— Tak jak mój ojciec! — podkreślił Pierrot.

— A z czego konkretnie nas okradziono?

— Z naszej ziemi. Z naszej dumy. Żydzi nam to ukradli. Bo widzisz, oni manipulują całym światem. Po wielkiej wojnie...

— Musisz pamiętać, Pieter, że my tę wojnę przegraliśmy.

— Ciociu Beatrix, więcej szacunku, proszę mi nie przerywać, kiedy mówię — obruszył się Pierrot. — Ja oczywiście pamiętam o tym, że przegraliśmy wojnę, ale ty z kolei nie możesz zapominać, że musieliśmy potem znosić zniewagi, jakich dopuszczono się, żeby nas upokorzyć. Alianci nie zadowolili się samym zwycięstwem, chcieli w zemście rzucić naród niemiecki na kolana. A w naszym kraju znalazło się wtedy zbyt wielu tchórzy, którzy zbyt łatwo podporządkowali się wrogom. Już więcej nie popełnimy tego błędu.

— A twój ojciec? — zapytała Beatrix, patrząc mu prosto w oczy. — Czy on był

jednym z tych tchórzy?

— Najgorszym ze wszystkich. Bo pozwolił, by słabość pokonała jego ducha. Ale ja nie jestem taki jak on. Ja jestem silny. Przywrócę godność nazwisku Fischer.

Wypowiedziawszy te słowa, Pierrot umilkł i zerknął na ciotkę.

— O co chodzi? — zapytał. — Dlaczego płaczesz?

— Nie płaczę.

— Ale przecież ja widzę.

— Sama nie wiem, Pieter — rzuciła, odwracając wzrok. — Jestem przemęczona i tyle. Te przygotowania na przybycie gości były takie wyczerpujące. No i czasami sobie myślę... — Zawahała się, jakby nie była pewna, czy powinna dokończyć to zdanie.

— Myślisz, że co?

— Że popełniłam straszny błąd, sprowadzając cię tutaj. Wydawało mi się, że robię dobrze, że jeśli będę miała cię blisko siebie, to będę mogła cię chronić. Ale teraz każdym dniem...

Znów rozległo się pukanie i otworzyły się drzwi, a Pierrot ze złością odwrócił się w ich stronę, jednak tym razem nie strzelił palcami, bo w drzwiach stała Fräulein Braun. Zerwał się więc z łóżka i stanął na baczność, choć ciocia Beatrix nie ruszyła się z miejsca. A Fräulein Braun oznajmiła podekscytowana:

— Już są!

— To jak mam się do nich zwracać? — szeptem zapytał Pierrot, kiedy aż drżąc z emocji, ustawił się obok ciotki w powitalnym szeregu.

— Wasza Królewska Wysokość — wyjaśniła mu. — Tak samo do obydwójga, do księcia i księżnej. Ale w ogóle nic nie mów, póki któreś z nich nie odezwie się do ciebie.

W kilka chwil później samochód wziął zakręt na szczycie podjazdu i niemal jednocześnie za plecami Pierrota pojawił się Führer, a cały personel wyprężył się w postawie na baczność, ze wzrokiem skierowanym na wprost. Ernst, gdy tylko zahamował i wyłączył silnik, wyskoczył szybko, aby otworzyć tylne drzwi. Z auta wysiadł niewysoki mężczyzna w garniturze, który wyglądał na trochę przyciasny. Ścisnął w rękach kapelusz i rozglądał się wokół, sądząc po minie zakłopotany, ale też rozczarowany, że nie witają go fanfary.

— Przywykło się do jakiejś orkiestry — wymamrotał po angielsku, raczej sam do siebie niż do kogokolwiek z obecnych.

Po czym uniósł rękę w nazistowskim pozdrowieniu, z powagą i zdecydowaniem; można było odnieść wrażenie, że właśnie na ten moment wizyty najbardziej czekał.

— Herr Hitler, to bardzo miłe wreszcie się z panem spotkać — odezwał się z dystynkcją, przechodząc płynnie, bez wysiłku, z angielskiego na niemiecki.

— Niemczyzna Waszej Królewskiej Wysokości jest wyśmienita — rzucił z uśmiechem Führer.

— Tak, cóż... — mruknął, skubiąc wstążkę na swoim kapeluszu. — Jak ma się rodzinę, wie pan... — zaczął i zaraz przerwał, najwyraźniej nie całkiem pewny, jak ma dokończyć to zdanie.

— Davidzie, czy nie zamierzasz mnie przedstawić? — odezwała się po angielsku, ale z wyraźnie amerykańskim akcentem kobieta, która wysiadła za nim z samochodu, cała w czerni, jakby przyjechała na pogrzeb.

— No tak, oczywiście. Herr Hitler, pozwoli pan sobie przedstawić... Jej Królewska Wysokość Księżna Windsoru.

Księżna, już po niemiecku, stwierdziła, jak bardzo jej miło, to samo powiedział Führer, komplementując przy okazji jej niemczyznę.

— Ja nie mówię po niemiecku aż tak dobrze jak księżę — odrzekła. — Ale radzę sobie.

Do przodu wysunęła się Eva, aby Hitler mógł ją z kolei przedstawić. Stała sztywno, gdy wymieniała z księciem i księżną uściski dłoni, wyraźnie pilnując się, aby w jej postawie nikt nie mógł dopatrzeć się czegoś choćby zbliżonego do pełnego uniżenia dworskiego dygnięcia. Obydwie pary konwersowały przez parę chwil niezobowiązująco, mówiąc o pogodzie, o widoku z Berghof i o drodze, którą dojeżdża się na szczyt.

— Można tam dostać zawrotów głowy — zauważył księżę. — A w paru miejscach to nawet wypaść za burzę.

— Ernst nigdy nie dopuściłby, żeby stała się Waszym Królewskim Wysokościom jakakolwiek krzywda — odparł Hitler, spoglądając na kierowcę. — On wie, jak ważni dla nas jesteście.

— Mhm, a zatem? — rzucił tonem zapytania księżę, spoglądając tak, jakby dopiero do niego dotarło, że już od pewnego czasu prowadzi rozmowę. — A zatem, co pan powiedział?

— Wejdźmy do środka — odezwał się Führer. — Jest teraz dobra pora na herbatę, jeśli się nie mylę, prawda?

— I na odrobinę whisky, jeśli pan ma, na wzmocnienie — stwierdził księżę. — Ta wysokość, rozumie pan... osłabia. Idziesz, Wallis?

— Tak, Davidzie. Właśnie podziwiam dom. Czyż nie jest przepiękny?

— Moja siostra i ja trafiliśmy tu w 1928 roku — rzekł na to Hitler. — Spędziliśmy wtedy w tym domu wakacje i tak go polubiłem, że kupiłem go, kiedy tylko mogłem sobie na to pozwolić. I przyjeżdżam tu teraz z chęcią, jeśli jest to możliwe.

— Dla ludzi z naszą pozycją to ważne, mieć jakieś własne miejsce — sentencjonalnie stwierdził księżę, tym razem skubiąc mankiety koszuli. — Gdzie świat zostawiłby nas samych.

— Dla ludzi z naszą pozycją? — pytająco powtórzył jego słowa Führer, uniósłszy brew.

— Tak ważnych — sprecyzował księżę. — Miałem, wie pan, takie miejsce tam w Anglii. Kiedy byłem Księciem Walii. Fort Belvedere. Cudowna kryjówka. Fantastyczne przyjęcia tam wydawaliśmy, prawda Wallis? Próbowałem się tam zamknąć i wyrzucić klucz, ale premier i tak zawsze jakoś się wciskał.

— Może znaleźlibyśmy sposób na powrót Waszej Królewskiej Wysokości do minionych splendorów — rzucił Führer, uśmiechając się szeroko. — Ale chodźmy na tego drinka.

— A kimże jest ten mały kawaler? — zapytała księżna, mijając Pierrota. — Czyż on nie jest przepięknie ubrany, Davidzie? Taka precudna faszystowska maskotka. Och, wzięłabym go z sobą do domu i ustawiła na kominku, dla ozdoby. Jak masz na imię, słoneczko?

Pierrot spojrział na Führera, a gdy ten skinął głową, odpowiedział:

— Pieter, Wasza Królewska Wysokość.

— To bratanek naszej gospodyni — wyjaśnił Hitler. — Ten biedny chłopiec został sierotą, dlatego zgodziłem się, żeby tu zamieszkał.

— Widzisz, Davidzie? — te słowa Wallis skierowała do męża. — To właśnie jest coś, co ja nazywam prawdziwie chrześcijańską miłością bliźniego. To jest coś, z czego ludzie nie zdają sobie sprawy, jeśli chodzi o pana, Adolfie. Bo mogę już teraz mówić panu Adolf, prawda? I proszę mówić mi Wallis. Oni nie widzą, że ten mundur i cały ten wojskowy blichtr kryją serce i duszę prawdziwego dżentelmena. A co do ciebie, Ernie... — zwróciła się do kierowcy, grożąc mu palcem okrytym rękawiczką. — Jak mam nadzieję, teraz widzisz, że...

— Mein Führer — Beatrix w pośpiechu wyszła przed szereg i odezwała się nieoczekiwanie głośno, przerywając księżnej. — Czy mamy teraz podać drinki pańskim gościom?

Hitler spojrział na nią ze zdziwieniem, ale ukontentowany tym, co księżna powiedziała o nim chwilę wcześniej, tylko kiwnął głową i zadysponował:

— Tak, ale w środku, bo tu robi się chłodno.

— Cóż, mówiliśmy coś o whisky, prawda? — odezwał się książę i ruszył w stronę domu wraz z księżną, a gospodarze i personel podążyli za nim.

Pierrot zatrzymał się jeszcze na chwilę, bo zobaczył, że Ernst opiera się o samochód, a twarz ma całkiem pobladłą.

— Ale blady się zrobiłeś — odezwał się do niego. — Ta wysokość, rozumie pan... osłabia — ciągnął, małpując księcia. — Prawda, Ernst?

Wieczorem tego samego dnia Emma wetknęła Pierrotowi do rąk tacę ze słodkimi przekąskami i kazała mu zanieść ją do gabinetu. Byli tam Führer i książę, pogrążeni w rozmowie.

— A, to ty, Pieter — odezwał się Führer. — Postaw to tu. — Stuknął dłonią w blat stolika ustawionego pomiędzy dwoma fotelami.

— Czy może przynieść coś jeszcze, mein Führer? Wasza Królewska Wysokość? — zapytał Pierrot, ale był tak przejęty, że zwracając się do księcia, użył tego pierwszego tytułu, a zwracając się do Hitlera, tego drugiego, co rozśmieszyło obydwu.

— To byłoby coś, prawda? — rzucił książę. — Jakbym tak przybył, żeby panować w Niemczech.

— Albo jakbym tak ja przejął Anglię — rzekł na to Hitler.

Książę spoważniał, usłyszawszy te słowa, i zaczął manipulować swoją ślubną obrączką, zsuwając ją i znów wsuwając nerwowo na palec.

— Zawsze u pana chłopiec wykonuje takie posługi, Herr Hitler? — zapytał w końcu. — Nie ma pan kamerdynera?

— Nie — odparł Führer. — A powinienem mieć?

— Każdy dżentelmen powinien. Albo przynajmniej lokaja, który stałby w kącie pokoju, na wypadek gdyby pan czegoś potrzebował.

Hitler pomyślał chwilę i pokręcił głową, jakby nie mógł do końca zrozumieć protokolarnych standardów wyznawanych przez gościa.

— Pieter, stań w tamtym kącie — zarządził. — Możesz być honorowym lokajem na czas wizyty księcia.

— Tak jest, mein Führer — służbiście wyrecytował Pierrot i z dumą pomaszerował we wskazane mu miejsce obok drzwi, gdzie pozostał, starając się ze wszystkich sił oddychać tak cicho, jak tylko to możliwe.

— Jak powiedziałem, bardzo pan jest uprzejmy dla nas, Herr Hitler — stwierdził książę, najwyraźniej wracając do wcześniejszego wątku rozmowy. — Wszędzie, gdzie byliśmy, traktowano nas z prawdziwie wielkoduszną przychylnością. Jesteśmy ogromnie ukontentowani. Wallis ma rację — dodał, nachylając się ku Hitlerowi. — Ja też myślę, że gdyby Anglicy mogli pana troszkę lepiej poznać, przekonaliby się, jaki z pana piekielnie porządny facet. Mamy wiele wspólnego, wie pan...

— Naprawdę?

— Tak. Stanowczość w dążeniu do celu i wiarę w szczególne przeznaczenie naszego narodu.

Führer nic na to nie powiedział, tylko nalał swemu gościowi kolejnego drinka.

— Ja to widzę w ten sposób — kontynuował książę — że obydwie nasze kraje mogą o wiele więcej zyskać we współdziałaniu niż osobno. Nie chodzi o formalny sojusz, oczywiście, bardziej o rodzaj entente cordiale, jakie mieliśmy z Francuzami, serdecznego porozumienia, na którym wprowadzić nie można było nigdy zbyt wiele polegać, jeśli chodzi o nich. Nikt nie chce powtarzać szaleństwa sprzed dwudziestu lat. Zbyt wielu niczemu niewinnych młodych mężczyzn straciło życie w tamtym konflikcie. Po obydwu stronach.

— Tak — z cicha odezwał się Führer. — Ja walczyłem w tej wojnie.

— Ja też.

— Też?

— Cóż, nie w okopach, oczywiście. Byłem wtedy następcą tronu. Miałem pozycję. I nadal mam, wie pan.

— Ale nie tę należną z urodzenia — zauważył Führer. — Chociaż to mogłoby się zmienić, jak przypuszczam. We właściwym czasie.

Książę rozejrzał się wokół, jakby się bał, że za portierami mogą się czaić szpiegowie. Nie zatrzymał jednak wzroku na postaci Pierrota, potraktował go tak, jakby był jakimś posągiem, a nie żywym człowiekiem.

— Pan wie, że brytyjski rząd nie chciał, żebym ja tu przyjechał — stwierdził konfidencyjnym tonem. — A mój brat Bertie podzielał ich zdanie. Zrobiła się straszna awantura. Baldwin, Churchill, oni tam wszyscy zaczęli potrząsać szabelkami.

— A po co zwracać na nich uwagę? — zapytał Hitler. — Kiedy już nie jest się królem, tylko wolnym człowiekiem, to można robić, co się chce.

— Ja nigdy nie będę wolny — rzekł ponuro książę. — Tak czy inaczej jest kwestia środków, proszę zrozumieć. Bo jeśli nie można tak po prostu wyjść z domu i poszukać sobie zajęcia...

— Dlaczego nie?

— A co niby miałbym robić, według pana? Stanać za ladą w dziale męskim u Harrodsa? Otworzyć sklep z galanterią? Ustawić się w kącie w roli lokaja, jak nasz młody przyjaciel? — książę roześmiał się i wskazał na Pierrota.

— Byłaby to uczciwa praca, w każdym z przypadków — stwierdził spokojnie Führer. — Ale na zbyt niskim stanowisku jak na byłego króla. Są być może inne... hm... możliwości...

Książę pokręcił głową, całkowicie ignorując tę kwestię, a Führer uśmiechnął się i zapytał:

— Czy Wasza Królewska Wysokość żałuje czasem decyzji o abdykacji?

— Ani przez moment — odparł książę, ale nawet Pierrot wychwycił fałsz w jego głosie. — Bo ja nie mógłbym, widzi pan. Bez pomocy i wsparcia kobiety, którą kocham. Jak powiedziałem w mojej mowie pożegnalnej. A oni nigdy nie pozwoliliby jej zostać królową.

— I to byłby jedyny powód pozbycia się... — zaczął Hitler.

— A myśli pan, że nie? — pytaniem przerwał mu książę.

— Myślę, że oni się bali. Tak samo, jak boją się mnie. Przecież wiedzieli, jak bliskie związki, zdaniem Waszej Królewskiej Wysokości, powinny łączyć nasze kraje. Przecież królowa Wiktorja, rodzona babka Waszej Królewskiej Wysokości, była też babką naszego ostatniego kaisera. A dziadek Waszej Królewskiej Wysokości, książę Albert, urodził się w Coburgu w Bawarii. Nasze kraje są niczym dwa wielkie dęby zasadzone obok siebie, których korzenie splatają się, jak nasze wzajemne interesy. Ściąć jeden z nich, to i drugi ucierpi. Pozwolić jednemu rozkwitać, to rozkwitną obydwa.

Książę odezwał się dopiero po dłuższym namyśle.

— Możliwe, że coś w tym jest — stwierdził.

— Przecież Waszą Królewską Wysokość ograbiono z przyrodzonych praw — ciągnął dalej Führer, podnosząc głos pod wpływem wzburzenia. — Jak można to znieść?

— Jakoś można — odparł książę. — W tej chwili to już zamknięta sprawa.

— Ale kto wie, co może przynieść przyszłość...

— Co pan ma na myśli?

— Niemcy staną się inne w nadchodzących latach. Będą znowu silne. Zajmą w świecie nową pozycję. I Anglia też może się zmienić, więc trzeba myśleć perspektywicznie, że książę i księżna mogliby uczynić więcej dobrego dla swego narodu jako król i królowa.

Książę przygryzł wargi i zmarszczył brwi.

— Tego nie da się zrobić — stwierdził po chwili. — Nie ma szans.

— Wszystko da się zrobić — zaprzeczył Hitler. — Weźmy mnie. Naród niemiecki zjednoczył się pod moim przywództwem, a przecież zacząłem od zera. Mój ojciec był szewcem.

— Mój ojciec był królem.

— A mój ojciec był żołnierzem!

Kiedy Pierrot wypowiedział te słowa i nie mógł ich już cofnąć, choćby najbardziej nawet chciał, obydwaj mężczyźni spojrzeli na niego tak, jakby dopiero teraz przypomnieli sobie o jego obecności. Wściekłość w oczach Führera sprawiła, że chłopiec poczuł gwałtowny skurcz żołądka, po którym zrobiło mu się niedobrze.

— Wszystko jest możliwe — stwierdził Hitler, wracając do przerwanej rozmowy. — Czy książę wróciłby na tron, jakby się dało?

Książę niespokojnie rozejrzał się wokół, nerwowo przygryzł paznokcie, wytarł palce o nogawkę spodni i dopiero wtedy odpowiedział:

— Cóż, oczywiście można rozważyć swoją powinność względem kraju i to, co dla niego najlepsze. Bo przecież chodzi o to, żeby służyć... żeby w służbie... żeby powinność...

Popatrzył na Hitlera z taką nadzieją, z jaką bezdomne szczenię spogląda na kogoś, po kim spodziewa się, że je przygarnie. A on uśmiechnął się i stwierdził:

— Jak myślę, rozumiemy się, Davidzie. Bo mogę tak mówić, prawda?

— Cóż, właściwie... Właściwie nikt tak nie mówi, widzi pan — stwierdził książę. — Oprócz Wallis. I mojej rodziny. Tylko że oni już wcale do mnie nie mówią, nigdy, ani słowa. Bertie nie odbiera moich telefonów, chociaż dzwonię do niego cztery albo pięć razy dziennie.

Führer uniósł do góry obydwie ręce.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — Trzymajmy się protokołu, Wasza Królewska Wysokość. A może — pokiwał w zamyśleniu głową — pewnego dnia znów Wasza Królewska Mość?

Pierrot budził się powoli, mając świadomość, że nie przespał całej nocy, tylko zaledwie parę godzin. Jego półprzymknięte jeszcze oczy zarejestrowały panującą w pokoju ciemność, dotarł do niego także szmer oddechu. Ktoś stał nad nim, przyglądając się mu podczas snu. Kiedy otworzył oczy szeroko, rozpoznał twarz Adolfa Hitlera i serce w przestkach podskoczyło mu do gardła. Usiłował usiąść, aby oddać honory, ale nie zdołał, bo został z powrotem pchnięty na łóżko. Nigdy dotąd nie widział czegoś takiego na twarzy Führera. Była teraz jeszcze bardziej przerażająca niż wcześniej, kiedy mimowolnie przerwał mu rozmowę z księciem.

— Twój ojciec był żołnierzem, tak? — syknął Führer. — Lepszym niż mój? Lepszym niż ojciec księcia? Ty myślisz, że on był odważniejszy ode mnie, skoro nie żyje?

— Nie, mein Führer — odparł Pierrot z największym wysiłkiem, bo nie mógł złapać oddechu, a słowa więzły mu w gardle.

Czuł straszliwą suchość w ustach, a serce w piersi waliło mu jak oszalałe.

— Mogę ci ufać, Pieter, prawda? — zapytał Führer, nachylając się tak blisko, że jego wąsy niemal muskały górną wargę chłopca. — Nie dasz mi powodu, bym żałował, że pozwoliłem ci tu mieszkać?

— Nie, mein Führer. Nigdy, obiecuję.

— Lepiej nie dawaj — syknął. — Bo nielojalność nigdy nie pozostaje bez kary — dodał, po czym dwa razy lekko klepnął Pierrota w policzek i wyszedł z pokoju,

zamykając za sobą drzwi.

Pierrot odchylił kołdrę i spojrzał na swoją piżamę. Miał chęć się rozpłakać, bo zrobił coś, czego nie robił od czasu, kiedy był jeszcze malcem, i teraz nie miał pojęcia, jak mógłby to komukolwiek wyjaśnić. Ale przysiągł sobie jedno: nigdy więcej nie zawiedzie Führera.

## *Szczęśliwe święta w Berghof*

Wojna trwała już ponad rok i życie w Berghof znacząco się zmieniło. Führer spędzał teraz tutaj mniej czasu niż niegdyś, a kiedy już był na miejscu, to zwykle zamykał się w gabinecie z najwyższymi rangą generałami, szefami Gestapo, Schutzstaffel i Wehrmachtu. Jakkolwiek sam Hitler nadal starał się znaleźć czas, aby podczas swoich wizyt porozmawiać z Pierrotem, to tacy dygnitarze Rzeszy jak Göring, Himmler, Goebbels i Heydrich całkowicie go ignorowali. A on marzył o nadejściu dnia, w którym będzie mógł osiągnąć pozycję równie wysoką co oni.

Już nie korzystał z niewielkiej sypialni, jaką zajmował po przybyciu na szczyt góry. Kiedy skończył jedenaście lat, Hitler oznajmił Beatrix, że ma zająć jej pokój, a ona niech się przeniesie do tego mniejszego, w związku z czym Emma nie mogła się powstrzymać, by nie pokręcić głową i nie burknąć czegoś na temat niewdzięczności okazanej ciotce przez bratanka.

— To decyzja Führera — stwierdził Pierrot, nie wysilając się nawet, żeby spojrzeć w jej stronę.

Był teraz znacznie wyższy — nikt nie mógłby go już przezwąć „Le Petit” — a jego tors zaczął robić się muskularny za sprawą odbywanych tu w górach codziennych ćwiczeń fizycznych.

— Pani podważa jego decyzje? — natarł na kucharkę. — To może zawsze będziemy z nim dyskutować o tym, czy są słuszne?

— A co się tu dzieje? — zapytała Beatrix, która akurat weszła do kuchni i zorientowała się, że panuje tam ciężka atmosfera.

— Pani Emma uważa, zdaje się, że nie powinniśmy byli zamieniać się pokojami — mruknął Pierrot.

— Ja nic takiego nie powiedziałam — zaprzeczyła kucharka i odwróciła się od niego.

— Kłamczucha — powiedział Pierrot do jej pleców i spojrzął na ciotkę.

Wyraz jej twarzy wywołał u niego dziwnie mieszane odczucia. Oczywiście chciał mieć większy pokój, ale chciał także, aby ona uznała, że ma do tego prawo. Bo poza wszystkim, ten pokój był usytuowany bliżej pokoju Führera.

— Tobie to nie przeszkadza, prawda? — zapytał.

— A czemu miałoby przeszkadzać — rzuciła, wzruszając ramionami. — To tylko miejsce do spania. Nic ważnego.

— To nie był mój pomysł, przecież wiesz.

— Naprawdę nie twój? Słyszałam coś innego.

— Nie! Powiedziałem tylko Führerowi, że chciałbym, żeby w moim pokoju było na ścianie dość miejsca do zawieszenia dużej mapy Europy, tak jak w twoim. I że wtedy mógłbym na tej mapie śledzić przemarsz naszej armii przez kontynent, kiedy

pokonujemy naszych wrogów.

Beatrix roześmiała się, ale Pierrot wcale nie odniósł wrażenia, że jest rozbawiona.

— Możemy się znowu zamienić — bąknął z cicha, patrząc w podłogę.

— Dobrze jest, jak jest — stwierdziła ciotka. — Przeprowadzka już była, szkoda tracić czasu na przenoszenie wszystkiego z powrotem.

— Właśnie — przytaknął zadowolony, podnosząc wzrok i uśmiechając się. — Wiedziałem, że tobie to nie przeszkadza. A Emma musi na każdy temat wygłosić swoją opinię, prawda? Tylko mnie poproś, a dopilnuję tego, żeby cała służba trzymała gęby na kłódkę i zajmowała się swoją pracą.

Któregoś popołudnia Pierrot zaszedł do biblioteki, aby poszukać sobie czegoś do czytania. Przebiegając palcami po grzbietach książek ustawionych jedna przy drugiej na półkach, zwrócił uwagę najpierw na historię Niemiec, potem na historię całego kontynentu europejskiego, a w końcu na publikację, w której opisane były wszystkie przestępstwa popełnione w różnych epokach przez Żydów. Obok stała rozprawa demaskująca i potępiająca traktat wersalski jako akt zbrodniczej niesprawiedliwości przeciw ojczyźnie. Pierrot przekartkował *Mein Kampf*, książkę, którą czytał trzykrotnie w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy i z której potrafił cytować wiele istotnych fragmentów. Wreszcie na końcu jednej z półek zauważył wcisnięty tam tomik, na widok którego uśmiechnął się, wspomniawszy, jaki był młody i naiwny, kiedy Simone Durand wcisnęła mu go w rękę na dworcu kolejowym w Orleanie przed czterema laty. *Emil i detektywi*.

„Jak ta książka trafiła do bibliotecznej szafy wypełnionej takimi ważnymi dziełami?” — pomyślał zadziwiony.

Zdjął ją z półki i zerknął na Hertę, która na klęczkach czyściła kominek. Spomiędzy kartek wypadła mu koperta, odłożył więc książkę i podniósł ją.

— Od kogo to? — zapytała pokojówka.

— Od mojego przyjaciela — odpowiedział.

Jego głos zdradzał niepokój, jaki odczuł na widok znajomego charakteru pisma.

— Właściwie od sąsiada — poprawił się. — Od nikogo ważnego.

To był ostatni list od Anszela, jaki Pierrot zachował. Teraz otworzył go znowu i przebiegł wzrokiem po kilku pierwszych liniijkach. Na początku nie było żadnego powitalnego nagłówka, żadnego „Drogi Pierrocie”, tylko rysunek psa, po którym następowały napisane naprędce zdania:

„Piszę w pośpiechu, bo straszny hałas słyhać z ulicy i Maman mówi, że nadszedł dzień odjazdu. Ona spakowała trochę naszych rzeczy, te najważniejsze są w walizkach przy drzwiach już od tygodni. Nie wiem dokładnie, gdzie pojedziemy, ale Maman mówi, że tutaj już nie jesteśmy bezpieczni. Nie martw się, Pierrot, zabieramy z sobą D'Artagnana! No, a jak ty się miewasz? Dlaczego nie odpowiedziałeś na moje dwa ostatnie listy? Wszystko się zmieniło tutaj w Paryżu. Chciałbym, żebyś mógł zobaczyć, jak...”

Pierrot nie czytał dalej, tylko zgniótł list i cisnął go do kominka z takim rozmachem, że nagromadzony w nim popiół wzbił się w górę i buchnął w twarz Hercie.

— Pieter! — krzyknęła rozzłoszczona.

Nie zwrócił jednak na nią uwagi, tylko zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zniszczyć listu w palenisku kuchennym, w którym od rana huczał ogień. Bo przecież gdyby Führer go znalazł, mógłby się na niego rozgniewać, a Pierrot nie wyobrażał sobie teraz niczego gorszego, bardziej przykrego od jego niezadowolenia. Lubił kiedyś Anszela, oczywiście, że lubił, ale byli przecież wtedy obydwaj tylko dziećmi, a on nie rozumiał, co to znaczy: przyjaźnić się z Żydem. I dobrze się stało, że teraz zerwał tę znajomość.

Znowu zdjął książkę z półki, po czym podał ją Hercie.

— Możesz to dać jakiemuś dziecku w Berchtesgaden, z pozdrowieniami ode mnie — powiedział rozkazującym tonem. — Albo po prostu wyrzucić, jak wolisz.

— Ojej, Erich Kastner — wykrzyknęła uradowana, spojrzawszy na zakurzoną okładkę. — Pamiętam, jak to czytałam, kiedy byłam młodsza. Urocze, prawda?

Pierrot wzruszył ramionami.

— Dla dzieci — mruknął, absolutnie nie mając chęci się z nią zgadzać. — Wracaj do roboty — dodał, wychodząc. — Ma tu być czysto, zanim Führer wróci.

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem Pierrot obudził się w środku nocy, bo musiał skorzystać z łazienki. Pobiegnął do niej korytarzem cichutko, na bosaka, a kiedy wracał, wciąż na pół śpiąc, przez pomyłkę skierował się do swojego dawnego pokoju. Zorientował się, gdzie jest, dopiero kiedy już złapał za gałkę u drzwi i miał ją przekręcić. Usłyszał wtedy dobiegające z wnętrza głosy. Ponieważ zaciekawienie w tym momencie wzięło u niego górę nad sennością, przyłgnął uchem do drzwi, żeby posłuchać.

— Ale ja się boję — mówiła ciocia Beatrix. — O ciebie. O siebie. O nas wszystkich.

— Nie ma się czego bać — stwierdził na to, jak Pierrot rozpoznał po głosie, kierowca Ernst. — Wszystko jest starannie zaplanowane. Pamiętaj, po naszej stronie jest więcej ludzi, niż możesz sobie wyobrazić.

— Ale czy to na pewno najlepsze miejsce? A może lepszy byłby Berlin?

— Tam jest za dużo ochrony, a w tym domu on czuje się bezpieczny. Zaufaj mi, kochanie, tu nic nie może pójść źle. Kiedy już będzie po wszystkim i rozsądek zwycięży, weźmiemy nowy kurs. A teraz robimy, co należy. Ty w to wierzysz, prawda?

— Sam wiesz, że tak — potwierdziła z przejęciem Beatrix. — Wystarczy, że popatrzę na Pierrota, a od razu wiem, co powinno być zrobione. On jest teraz kimś całkowicie innym niż był, kiedy tu przyjechał. Zauważyłeś to, prawda?

— Jasne że tak. Staje się jednym z nich. Z każdym dniem robi się coraz bardziej do nich podobny. Zaczął już nawet wydawać rozkazy personelowi. Zwróciłem mu uwagę parę dni temu, a on powiedział mi, żebym poszedł na skargę do Führera albo siedział cicho.

— Nawet boję się myśleć, na kogo on wyrośnie, jeśli to potrwa dłużej — powiedziała Beatrix. — Coś trzeba zrobić. Nie tylko dla niego, ale dla wszystkich tutejszych Pierrotów. Führer zniszczy cały kraj, jeśli się go nie powstrzyma. Całą Europę. On mówi, że niesie światło narodowi niemieckiemu, niemieckim umysłom, ale to

nieprawda, bo to on jest ciemnością, wysłannikiem najciemniejszych mocy.

Po tych słowach na parę chwil zapanowała cisza, którą w końcu przerwał odgłos pocałunku. Pierrot już miał otworzyć drzwi, pokazać się im i zażądać wyjaśnień, ale nie zrobił tego, tylko wrócił do swego pokoju, gdzie przeleżał w łóżku resztę nocy z otwartymi oczami, patrząc w sufit, powtarzając sobie w pamięci ich rozmowę raz za razem i próbując zrozumieć, co to wszystko mogło znaczyć.

Nazajutrz w szkole od rana zastanawiał się, czy powinien porozmawiać z Katariną o tym, co wydarzyło się w Berghof. W południe, podczas przerwy obiadowej, odnalazł ją w ogrodzie; czytała książkę na ławce pod jednym z wielkich dębów. Już nie siedzieli razem w klasie. Katarina poprosiła, aby ją przesadzono do Gretchen Baffril, najspokojniejszej ze wszystkich dziewcząt. Z jakiego powodu? Tego Pierrotowi nie wyjaśniła.

— Dlaczego go nie nosisz? — zapytał, wzięwszy z ławki jej krawat.

Katarina należała od roku do dziewczęcej organizacji Bund Deutscher Madel i przez cały ten czas narzekała, że jest zmuszana do noszenia munduru.

— Sam sobie noś, jak to dla ciebie takie ważne — mruknęła, nie podnosząc wzroku znad książki.

— Przecież noszę, zobacz — powiedział Pierrot.

Katarina zerknęła na niego i odebrała mu swój krawat.

— Podejrzewam, że jak go nie założę, to na mnie naskarżysz — rzuciła.

— Na pewno nie — stwierdził. — Dlaczego miałbym to robić? Nie ma problemu, skoro go nosisz na lekcjach. Na przerwie zawsze możesz zdjąć.

— Ależ ty jesteś prostolinijny, Pieter — odezwała się z ciepłym uśmiechem. — To jedna z rzeczy, które u ciebie lubię.

Pierrot też się uśmiechnął, ale ona odwróciła wzrok i wróciła do książki. Miał chęć dać sobie z nią spokój, ale koniecznie chciał zadać pewne pytanie. A jeśli nie jej, to komu? Nadal nie był zaprzyjaźniony z większością klasy.

— Znasz moją ciocię Beatrix? — odezwał się zatem, przysiadając obok niej.

— Wiadomo. Przychodzi zawsze do sklepu mojego ojca po papier i atrament.

— A Ernsta, kierowcę Führera?

— Nigdy z nim nie rozmawiałam, ale nieraz widziałam, jak jeździł po Berchtesgaden. Co z nimi?

Pierrot najpierw wziął głęboki oddech, jakby chciał coś ważnego wyznać, ale potem pokręcił głową i mruknął:

— Nic.

— Jak to nic? To po co mi o nich wspominałeś?

— Ty myślisz, że oni... są dobrymi... Niemcami? — wykrztusił.

Po czym dodał pośpiesznie:

— Nie, nie, takie pytanie nie ma sensu. Wszystko zależy od tego, jak rozumiemy słowo „dobry”, prawda?

— Nie sądzę — odparła, wkładając zakładkę do książki i spoglądając na niego. — Nie sądzę, żeby było zbyt wiele możliwości rozumienia tego słowa. Albo jesteś dobry,

albo nie.

— Chodziło mi raczej o to, czy oni są patriotami — uściślił.

— Skąd mogę wiedzieć? — rzuciła Katarina, wzruszając ramionami. — Chociaż na pewno są różne możliwości rozumienia patriotyzmu. Ty, na przykład, możesz go rozumieć całkiem inaczej niż ja.

— Ja rozumiem patriotyzm tak samo jak Führer — stwierdził Pierrot.

— Ano, właśnie — mruknęła Katarina i zaczęła się przyglądać młodszym dzieciakom, które grały w klasy w kącie szkolnego podwórka.

Dość długo obydwójce milczeli. Aż w końcu on zapytał:

— Dlaczego już mnie nie lubisz tak jak kiedyś?

Zaskoczył ją, było to widać po jej twarzy, kiedy znów odwróciła się w jego stronę.

— A dlaczego ty myślisz, Pieter, że ja już cię nie lubię? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Nie rozmawiasz ze mną tak jak kiedyś. No i przesiadłaś się do Gretchen Baffril, a nie powiedziałaś mi dlaczego.

— Bo z Gretchen nikt nie siedział, odkąd Heinrich Furst odszedł ze szkoły. Nie chciałam, żeby była sama.

Pierrot odwrócił wzrok i z widocznym wysiłkiem przełknął ślinę. Żałował już, że w ogóle rozpoczął tę rozmowę.

— Ty pamiętasz Heinricha, Pieter, prawda? — ciągnęła dalej Katarina. — Taki grzeczny chłopiec, taki miły. Pamiętasz, jaki to był dla nas szok, kiedy on nam powiedział, co jego ojciec mówi na temat Führera? I jak wszyscy obiecaliśmy nikomu tego nie powtarzać?

Pierrot zerwał się z ławki.

— Za zimno tutaj — stwierdził. — Wracam do środka.

— A pamiętasz — Katarina nie pozwoliła mu odejść — jak się dowiedzieliśmy, że jego ojca wywleczono z łóżka w środku nocy i wywieziono gdzieś z Berchtesgaden, a potem słuch o nim zaginął? I jak matka Heinricha z nim i jego młodszą siostrą musiała się przeprowadzić do Lipska, do swojej siostry, bo tutaj nie miała z czego żyć?

W tym momencie rozległ się dzwonek, umieszczony przy wejściu do szkolnego budynku, a Pierrot spojrzał na swój zegarek.

— Już czas, żebyś to założyła — powiedział i wskazał ręką na należący do Katariny mundurowy krawat Bund Deutscher Madel.

— Nie martw się, założę — rzuciła w jego stronę, kiedy już się oddalał. — Nie chcemy przecież, żeby biedna Gretchen jutro znowu musiała siedzieć w ławce sama, ani ja, ani ty, prawda? Prawda, Pierrot? — krzyknęła za nim, ale on nawet się nie obejrzał, udając, że to nie do niego.

A potem całą rozmowę z Katariną usunął z bieżącej pamięci i umieścił ją w innym rejonie umysłu, w nieczęsto teraz odwiedzanym miejscu, gdzie przechowywał wspomnienia o Maman i Anszelu.

Führer i Eva przyjechali do Berghof na dzień przed wigilią. Pierrot, który ćwiczył

akurat na dworze marsz z karabinem, został wezwany, kiedy już się rozlokowali.

— Jeszcze dziś, trochę później, będzie w Berchtesgaden uroczystość — oznajmiła mu Eva. — Taka świąteczna impreza dla dzieci. Führer chciałby, żebyś nam towarzyszył.

Z przejścia serce podskoczyło mu aż do gardła. Nigdy nie był nigdzie z Führerem, a teraz ma z nim pojechać! Już wyobrażał sobie miny mieszkańców Berchtesgaden, którzy będą mu zazdrościć, że przybywa razem z ich ukochanym przywódcą. To prawie jakby był synem Hitlera.

Włożył świeży mundur i polecił Ange, by wyczyściła mu buty, ale do takiego połysku, żeby się mogła w nich przejrzeć. Gdy je przyniosła, nawet dokładniej nie zerknął, tylko od razu powiedział, że nie są wystarczająco lśniące, i kazał wypucować je ponownie.

— I żebym nie musiał ci zlecać czyszczenia trzeci raz! — zastrzegł.

Kiedy po południu kroczył przez żwirowany dziedziniec z Hitlerem i Evą, przepełniała go taka duma, jakiej nie doznał jeszcze nigdy w życiu. Usiedli razem, w trójkę, na tylnym siedzeniu auta i ruszyli w dół, ku miastu. Pierrot spoglądał na twarz Ernsta za każdym razem, gdy pojawiała się we wstecznym lusterku, i usiłował odszyfrować jego intencje wobec Führera; odniósł jednak tylko wrażenie, że Ernst w ogóle nie zważa na jego, Pierrota, obecność. „On uważa, że ja jestem tylko dzieckiem — pomyślał. — I że dlatego nic nie znaczę”.

Gdy dojechali do Berchtesgaden, na ulicach były już tłumy; mieszkańcy machali chorągiewkami ze swastyką i głośno wiwatowali. Choć dzień był chłodny, Hitler polecił Ernstowi złożyć dach, aby ludzie mogli go widzieć, a oni wznosili okrzyki na jego cześć, kiedy przejeżdżał. Z powagą pozdrawiał ich gestem wzniesionej ręki, a Eva uśmiechała się i machała do nich.

Burmistrz już czekał w drzwiach ratusza, by ich powitać. Zgiął się w unizonym ukłonie, kiedy Führer podał mu rękę, potem po faszystowsku oddał honory, następnie skłonił się jeszcze niżej, a w końcu kompletnie się speszył, bo Hitler położył mu dłoń na ramieniu, dając w ten sposób znać, żeby zaprzestał pantomimy, odsunął się z drogi i przepuścił ich do środka.

— Nie wchodzisz, Ernst? — zapytał Pierrot, widząc, że szofer się wycofuje.

— Nie, bo muszę zostać przy samochodzie — odpowiedział. — Ale ty idź. A ja będę czekał na was wszystkich.

Pierrot kiwnął głową, ale nie wszedł do ratusza od razu, bo chciał, żeby jego wnętrze wypełnili najpierw mieszkańcy Berchtesgaden; wyobrażał sobie, jak wszyscy patrzą z podziwem na niego, gdy najpierw kroczy środkiem sali zgromadzeń w swoim mundurze Deutsches Jungvolk, a potem zajmuje miejsce obok Führera.

Gdy wreszcie miał już wchodzić, zauważył leżące na ratuszowym podejździe kluczyki od samochodu. Musiały wypaść kierowcy, kiedy przeciskał się przez tłum.

— Ernst! — krzyknął Pierrot, spoglądając w ulicę, przy której auto było zaparkowane.

Sapnął ze zdenerwowania i zajrzał z kolei do ratusza, ale ponieważ stwierdził, że znajdujący się w środku ludzie wciąż się kręcą, bo spora część z nich jeszcze nie

pozajmowała miejsc, to uznał, że ma jeszcze czas i pobiegł ulicą, spodziewając się zobaczyć przy samochodzie Ernsta, który przetrząsa swoje kieszenie w poszukiwaniu kluczyków.

Jednak chociaż samochód stał tam, gdzie powinien, nigdzie w pobliżu nie było widać kierowcy.

Pierrot zmarszczył brwi i uważniej rozejrzał się wokół. Czy Ernst nie mówił, że zostaje przy aucie? Mówił, a jakże! A teraz... Pierrot ruszył dalej przed siebie, zerkając po drodze w boczne ulice, ale gdy już miał dać sobie spokój z poszukiwaniami i wrócić do ratusza, to zauważył w pewnej odległości kierowcę, który stukał do jakichś drzwi.

— Ernst — zawołał, ale jego okrzyk nie dotarł aż tak daleko.

Widział, jak otwierają się drzwi niewielkiego, niczym niewyróżniającego się domku i Ernst w nich znika. Odczekał więc, aż ulica całkiem opustoszeje, a potem podszedł do okna domku i zajrzał przez nie do środka.

W pokoju od frontu, wypełnionym książkami i płytami gramofonowymi, nie było nikogo, ale w głębi amfilady dostrzegł Ernsta w towarzystwie mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widział. Rozmawiali przez pewien czas, na stojąco, aż w końcu mężczyzna podszedł do szafy i otworzył ją, po czym wziął z jednej z półek strzykawkę i fiolkę z jakimś płynem, zatkaną gumowym korkiem. Przekłuł korek igłą i pobrał troszkę płynu, a następnie wstrzyknął go w ciastko, które leżało na papierowej serwetce na stoliku ustawionym obok szafy, i szeroko rozpostarł ramiona, jakby chciał tym gestem powiedzieć: „To takie proste!”. Ernst, kiwnąwszy głową, wziął fiolkę i strzykawkę i wsunął je do kieszeni płaszcza, a w tym samym czasie tamten mężczyzna wrzucił do kosza na śmieci ciastko razem z serwetką.

Kiedy kierowca skierował się ku frontowym drzwiom, Pierrot skrył się za narożnikiem domu, żeby usłyszeć, co będą mówili, zegnając się.

— Powodzenia — powiedział nieznajomy.

— Powodzenia, dla nas wszystkich — rzekł na to Ernst.

Pierrot ruszył z powrotem w stronę ratusza, po drodze zatrzymał się tylko na moment przy samochodzie, żeby wetknąć kluczyki w stacyjkę, a znalazłszy się w sali zgromadzeń, zajął miejsce z przodu i wysłuchał końcówki przemówienia Führera. Zapowiadał on, że następny rok, 1941, będzie doniosły i wspaniały dla Niemiec; że cały świat ostatecznie zrozumie, jaką są potęgą, gdy zwycięstwo stanie się bliskie. Ignorując pogodną świąteczną atmosferę, wywrzaskiwał zdanie po zdaniu w taki sposób, jakby pouczał czy nawet strofował zgromadzonych, a oni reagowali okrzykami rozkoszy, porwani przez jego entuzjazm, tak niepohamowany, że aż bliski obłądu. Hitler raz po raz walił pięścią w mównicę, aż Eva zamykała oczy i podskakiwała na krześle, a im częściej to robił, tym głośniejszym tłum wiwatował i energiczniej wyrzucał w górę ramiona, jakby wszyscy zgromadzeni byli jednym ciałem połączonym wspólną myślą, wykrzykującym „Sieg Heil!, Sieg Heil!, Sieg Heil!”, a obejmującym również Pierrota, który głos miał tak samo gromki jak wszyscy, pasję tak samo głęboką, wiarę tak samo silną.

W wigilię Führer zebrał personel rezydencji Berghof na świątecznym spotkaniu, aby przy poczęstunku podziękować wszystkim za całoroczną pracę. Jakkolwiek nie przewidywał żadnych upominków dla poszczególnych osób, to Pierrota zapytał wcześniej, czy jest może coś specjalnego, co chciałby dostać, ten jednak wymówił się, nie chcąc wyjść na jedynego dzieciaka wśród dorosłych.

Emma przeszła samą siebie, przyrządzając indyka, kaczkę i gęś z cudownie aromatycznym nadzieniem z jabłek i żurawiny, ziemniaki na trzy sposoby i kiszoną kapustę dla wszystkich, zaś bogaty zestaw dań wegetariańskich dla Führera. Biesiadowano wesoło, Hitler krążył wśród zgromadzonych, rozmawiając z nimi o polityce i niezależnie od tego, co powiedział, każdy zagadnięty przytakiwał, kiwając głową, i zapewniał go, że ma absolutną rację. Mógłby nawet stwierdzić, że księżyc zrobiony jest z sera, a wszyscy potwierdziliby skwapliwie: „Oczywiście że tak, mein Führer. Z limburgera”.

Pierrot obserwował ciotkę, która wydawała się bardziej niż zwykle zdenerwowana; przez cały czas miał też na oku Ernsta, ale ten robił wrażenie wyjątkowo spokojnego.

— Ernst, napij się — głośno zachęcił Führer, napełniając mu szklankę winem. — Dzisiaj nie będziesz już musiał prowadzić. Jest przecież wigilia. Baw się dobrze!

— Dziękuję, mein Führer — powiedział szofer, biorąc szklankę i unosząc ją w górę, aby wnieść toast za przywódcę, który pokiwał głową i z lekka się uśmiechnął na znak, że jest ukontentowany.

— Ojej, jeszcze deser! — wykrzyknęła Emma, kiedy półmiski i talerze były już niemal puste. — O mało co zapomniałabym o deserze.

Pobiegła do kuchni i po chwili przyniosła stamtąd na stół Stollen, tradycyjne niemieckie ciasto świąteczne. Prezentowało się wspaniale i cudownie pachniało bakaliami, marcepanem i korzeniami. Dołożyła wszelkich starań, żeby się nim popisać: nadała mu kształt samego Berghof, przyprószonego lukrem niczym śniegiem, co robiło wrażenie, jakkolwiek szczerze pochwalić jej rzeźbiarski talent mógłby pewnie tylko jakiś ze wszech miar życzliwy krytyk. Beatrix z pobladłą twarzą spoglądała to na ciasto, to na Ernsta, ten jednak na wszelki wypadek w ogóle nie patrzył w jej stronę. A Pierrot zdenerwowany obserwował, jak Emma wyciąga nóż z kieszeni fartucha i zaczyna kroić swój wypiek.

— To ciasto wygląda wprost fantastycznie, Emmo — stwierdziła Eva, rozpromieniona z zachwytu.

— Pierwszy kawałek dla Führera — zaproponowała Beatrix, głosem wprawdzie mocnym, jednak wyraźnie drżącym.

— Koniecznie — poparł ją Ernst. — Musi pan nam powiedzieć, mein Führer, czy smakuje tak samo dobrze, jak wygląda.

— Przykro mi, ale niestety nic już nie zmieszczę — stwierdził Hitler, poklepując się po brzuchu. — Chyba bym pękł, jakbym jeszcze coś zjadł. Nie mogę...

— Ale pan musi, mein Führer! — wykrzyknął na to Ernst. — Przepraszam — zmitygował się natychmiast, bo spostrzegł, jak bardzo wszyscy są zaskoczeni jego natarczywością. — Miałem na myśli, że to się panu należy, jako nagroda. Tak wiele pan zrobił dla nas w tym roku. Jeden kawałek, proszę. Żeby uczcić świąteczny czas.

A potem my się poczęstujemy.

Emma ukroiła sporą porcję ciasta i nałożyła ją na talerz, który wraz z niewielkim widelcem podsunęła Führerowi, a ten, przez chwilę jeszcze robiąc wrażenie niezdecydowanego, ostatecznie roześmiał się i pokiwał głową.

— Racja — przyznał. — Jak są święta, to musi być Stollen.

Po czym oddzielił sobie od całej porcji mniejszy kawałek, nabił go na widelec i uniósł do ust.

— Nie! — krzyknął Pierrot i rzucił się ku niemu. — Nie wolno tego jeść!

Wszyscy zdrętwieli, zdumieni zachowaniem chłopca, który tymczasem doskoczył już do Führera. A ten zapytał:

— Co z tobą, Pieter? Sam chcesz zjeść ten pierwszy kawałek? Myślałem, że jesteś lepiej wychowany...

— Zostaw to ciasto! — przerwał mu Pierrot, roztrzęsiony z emocji.

— Słucham? — Głos Hitlera był lodowaty, gdy wypowiadał to słowo.

— Proszę zostawić to ciasto, mein Führer — poprawił się Pierrot. — Nie trzeba go jeść.

Wszyscy milczeli, a zdezorientowany Hitler spoglądał przez chwilę na przemian raz na ciasto, raz na chłopca.

— Dlaczego? — zapytał w końcu.

— Myślę, że może być z nim coś nie tak — wykrztusił Pierrot, któremu głos drżał w tym momencie tak samo, jak wcześniej jego ciotce.

Bał się przecież, że może się mylić w swoich podejrzeniach. Że zrobi z siebie głupka, a Führer nigdy mu nie wybaczy jego wyskoku.

— Coś nie tak z moim Stollen? — oburzyła się Emma. — Dowiedz się, kawalerze, że ja piekę to ciasto od ponad dwudziestu lat i nikt nigdy nie miał do niego zastrzeżeń! — huknęła.

— Pieter, jesteś zmęczony — stwierdziła Beatrix, która podeszła do Pierrota i położyła mu dłonie na ramionach, aby go delikatnie wypchnąć w stronę drzwi. — Proszę mu wybaczyć, mein Führer — zwróciła się do Hitlera. — Tak się przejął tymi świętami. Pan wie, jaki są dzieci, mein Führer.

— Zostaw mnie! — wrzasnął Pierrot i odskoczył od niej, a ona cofnęła się i w przerażeniu przycisnęła sobie dłoń do ust. — Nie dotykaj mnie nigdy więcej, słyszysz? Jesteś zdrajczynią!

— Pieter — odezwał się Hitler. — Co ty...

— Pan mnie pytał, mein Führer, czy chcę coś na święta? — przerwał mu Pierrot.

— Prawda, pytałem. No i co?

— Ja nic nie chciałem, ale zmieniłem zdanie i jednak coś chcę. To drobiazg.

Hitler spojrzął po zgromadzonych z niepewnym półuśmiechem, jakby miał nadzieję, że ktoś w końcu wyjaśni mu to wszystko.

— Niech będzie — zgodził się. — Co takiego chcesz? Powiedz.

— Chcę, żeby Ernst zjadł pierwszy kawałek.

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. Tylko Führer przez chwilę stuknął palcem w brzeg talerza, rozważając to, co usłyszał, po czym powoli, bardzo powoli, przeniósł

wzrok na kierowcę.

— Żeby Ernst zjadł pierwszy kawałek... — powtórzył w zamyśleniu słowa chłopca.

— Nie, nie, mein Führer — zaprotestował Ernst łamiącym się głosem. — Ja nie...

Tak nie może być. Ten pierwszy kawałek... to pański przywilej, mein Führer. Przecież pan zrobił... — Ze strachu brakowało mu słów. — Pan tak wiele... dla nas wszystkich...

— Ale są święta — stwierdził Führer i ruszył ku niemu z talerzem tak zdecydowanie, że Herta i Ange uskoczyły mu z drogi, robiąc przejście. — A na święta najmłodszy dostają to, co chcą, jak byli grzeczni. A Pieter był grzeczny, bardzo grzeczny.

Podając Ernstowi talerz, spojrzał mu prosto w oczy.

— Zjedz to — polecił. — Zjedz to wszystko. I powiedz mi, jak smakuje.

Cofnął się o krok. Ernst, uniósłszy widelec do ust, zaczął się w napięciu wpatrywać w nabity na niego kawałek ciasta. I nagle cisnął w Führera tym wszystkim, co trzymał w rękach, a sam wypadł z pokoju. Talerz rozbił się z hukiem o podłogę, Eva przeraźliwie krzyknęła, a Beatrix zawołała:

— Ernst!

Trzymający wartę żołnierze natychmiast ruszyli w pościg za uciekinierem, słysząc było stukot ich butów, a kiedy dopadli już Ernsta, odgłosy walki. A potem oni powalili go na ziemię, a on krzyczał do nich, żeby go zostawili, puścili...

Pierrot wszystko to słyszał i widział, że Beatrix, Emma i pokojówki stoją jak skamieniałe z przerażenia.

— O co tu chodzi? — zapytała Eva, bezradnie rozglądając się wokół. — Co się dzieje? Dlaczego on nie chciał zjeść tego ciasta?

— Próbował mnie otruć. Strasznie się na nim zawiodłem — grobowym głosem odezwał się Führer.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł, kierując się korytarzem do swego gabinetu. Gdy już tam wkroczył, zamknął za sobą drzwi, po chwili jednak uchylił je i ryknął:

— Pieter!

Dużo czasu minęło, nim Pierrot usnął tej nocy, bynajmniej nie dlatego, że ekscytowało go nadejście bożonarodzeniowego poranka. Przepytywany przez Führera przez godzinę z okładem, bez oporów mówił o wszystkim, co widział i słyszał od momentu swego przybycia do Berghof: o swoich podejrzeniach wobec Ernsta i o wielkim rozczarowaniu postawą ciotki, która zdradziła ojczyznę. Hitler niewiele się odzywał, słuchając go, tylko od czasu do czasu rzucał pytania, zwłaszcza o to, czy Emma, Herta, Ange albo któryś z wartowników byli wciągnięci w plan zamachu; wszystko wskazywało jednak na to, że oni tak samo jak Führer byli nieświadomi zamiarów Ernsta i Beatrix.

— A ty, Pieter? — zapytał chłopca, zanim pozwolił mu odejść. — Dlaczego nie przyszło ci do głowy, żeby przyjść do mnie z tą sprawą wcześniej?

— Bo do dzisiejszego wieczora nie rozumiałem, o co im chodzi — odpowiedział, aż czerwieniejąc na twarzy z przejęcia, że też mógłby zostać wplątany w to, co zaszło, i

za karę odesłany z Obersalzberg. — Nie byłem nawet pewien, że Ernst mówił o panu, mein Führer. Zdałem sobie ze wszystkiego sprawę dopiero w ostatniej chwili, kiedy on tak się upierał, żeby pan zjadł to ciasto.

Führer przyjął wyjaśnienie i kazał mu iść do łóżka, gdzie leżał potem, kręcąc się i przewracając z boku na bok, dopóki w końcu nie ogarnął go sen. Spał niespokojnie: śnili mu się obydwój rodzice, szachownica na dole w restauracji, której właścicielem był monsieur Abraham, paryskie ulice w rejonie Avenue Charles-Floquet. A także D'Artagnan i Anszel, i opowiadania, które przyjaciel mu przysyłał. Coraz bardziej mu się to wszystko we śnie gmatwało, aż w końcu wzdrygnął się i obudził, i usiadł na łóżku z twarzą zlaną potem.

Kiedy tak siedział, przyciskając jedną rękę do piersi, by łatwiej mu było wciągnąć wystarczającą ilość powietrza do płuc, usłyszał dobiegające z wysypanego żwirem dziedzińca przyciszone głosy i skrzywienie butów. Wskoczył z łóżka, podbiegł do okna i rozsunął zasłony. Widział nie tylko sam dziedziniec, ale też rozciągające się w głębi ogrody rezydencji Berghof. Żołnierze przyprowadzili dwa samochody — ten Ernsta i jeszcze jeden — i zaparkowali je po obydwu stronach dziedzińca, z lekka skośnie, z włączonymi światłami, które na środek trawnika rzucały upiorny blask. Trzej stanęli w szeregu, odwróceny tyłem do domu, a niebawem dwaj inni doprowadzili Ernsta tam, gdzie przecinały się wiązki światła. Wyglądał strasznie. Zdarto z niego koszulę, na obnażonym torsie czerniały sińce po bestialskim pobiciu, największy na brzuchu. Spoglądał tylko jednym okiem, bo drugiego nawet nie było widać spod krwiaka i opuchlizny, zaś krew spływała mu po twarzy z rany na czole. Ręce miał związane za plecami i z wyraźnym trudem trzymał się na nogach, ale stał dumnie wyprostowany, jak prawdziwy mężczyzna.

Po chwili pojawił się sam Hitler, w płaszczu i kapeluszu. Stał na prawo od żołnierzy, a kiedy podnieśli karabiny, nic do nich nie powiedział, tylko skinął głową.

— Śmierć faszystom! — zdołał jeszcze wykrzyknąć Ernst, nim dosięgnęły go kule.

Przerażony Pierrot zacisnął dłonie na parapecie, patrząc, jak kierowca osuwa się na ziemię, a potem jak jeden z tych żołnierzy, którzy doprowadzili go na miejsce stracenia, podchodzi, wyciąga z kabury pistolet i jeszcze strzela mu w głowę. Gdy Hitler ponownie skinął głową, obydwaj chwycili martwego Ernsta za nogi i powlekli jego ciało w mrok.

Pierrot, który nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego, przycisnął sobie dłoń do ust, aby nie krzyknąć, i osunął się na podłogę. Zrobiło mu się niedobrze.

„Ty to zrobiłeś” — mówił mu jakiś wewnętrzny głos. — „To ty go zabiłeś”.

— Ale on był zdrajcą — odpowiedział ochryple, bo słowa z trudem wydobywały mu się z gardła. — Zdradził Ojczyznę! Zdradził samego Führera!

Leżał tak, spocony i roztrzęsiony, usiłując się uspokoić, a gdy w końcu poczuł, że już trochę panuje nad sobą, odważył się wstać, żeby podejść do okna.

Nim zdążył to zrobić, znów usłyszał chrzęst żwiru pod butami gwardzistów. Zaraz potem rozległy się głosy kobiet, które histerycznie krzyczały. Gdy Pierrot wyjrzał, zobaczył Emmę i Hertę. Na wszystkie świętości, z płaczem, błagały o coś Führera. Aż w końcu Emma padła przed nim na kolana...

Pierrot nie rozumiał, co się dzieje. Przecież Ernst został już rozstrzelany. Za późno było prosić o jego życie.

I wtedy ją zobaczył.

Swoją ciocię Beatrix, prowadzoną na miejsce stracenia, to samo, w którym Ernst padł kilka minut wcześniej.

Nie związano jej rąk jak kierowcy, ale była tak samo jak on skatowana, w porwanej bluzce. Nie odezwała się ani słowem, ale spojrzała z wdzięcznością na błagające o jej życie kobiety. Führer wrzaskiem uciszył kucharkę i pokojówkę, i pojawiła się Eva, która wciągnęła je z powrotem do domu.

Pierrot patrzył na ciotkę i nagle zdrętwiał, jakby krew zastygła mu w żyłach, bo zorientował się, że ona też skierowała na niego wzrok. Ich spojrzenia spotkały się i kiedy on stał tak bezradny w oknie, nagle huknęły strzały, gwałcąc spokój gór, i jej martwe ciało runęło na ziemię. Pierrot stał i patrzył, niezdolny się poruszyć. Dodatkowy pojedynczy strzał, tak samo jak poprzednio, przeciął ciszę nocy.

„Ale ty jesteś bezpieczny” — tłumaczył sobie w myślach. — „A ona dopuściła się zdrady, jak Ernst. Zdrajcy muszą być ukarani”.

Zamknął oczy, żeby nie patrzeć, jak odciągają jej ciało. Spodziewał się, że kiedy je znów otworzy po pewnym czasie, to ujrzy pustą przestrzeń, tymczasem zobaczył samotnego mężczyznę, który stał w tym samym miejscu, co przedtem Beatrix, i tak samo jak ona spoglądał w jego stronę.

Pierrot też stał nieruchomo i nawet nie drgnął, gdy jego oczy spotkały się z oczyma Adolfa Hitlera. Już wiedział, co ma zrobić. Wyprężył się na baczność i wyrzucił ramię do przodu, lekko w górę, trącając szybę koniuszkami palców, aby oddać honory w sposób, który już wszedł mu w nawyk.

Obudził się tego dnia rano i wstał z łóżka jeszcze jako Pierrot, ale wrócił do niego teraz, by usnąć kamiennym snem, już jako Pieter.

Część 3  
**1942-1945**

## Projekt specjalny

Spotkanie trwało już prawie godzinę, kiedy w końcu dotarli ci dwaj. Pieter spostrzegł z gabinetu, że Kempka, nowy szofer, podjeżdża pod frontowe drzwi, szybko więc wypadł na zewnątrz, gotów powitać oficerów, jak tylko wysiądą z auta.

— Heil Hitler! — wykrzyknął ile sił w płucach, prężąc się na baczność i oddając honory.

Herr Bischoff, niższy i bardziej korpulentny z przybyłych, zaskoczony aż złapał się za serce.

— Czy on musi aż tak głośno? — rzucił w stronę kierowcy, który spojrzał w tym momencie na chłopca spod oka. — I w ogóle kto to jest?

— Jestem Scharführer Fisher — przedstawił się służbiście Pieter stopniem i nazwiskiem, wskazując na jeden ze swych naramienników, z dwiema białymi błyskawicami na czarnym tle. — Kempka, trzeba wnieść bagaże.

— Tak jest — rzucił kierowca i bez ociągania się wykonał polecenie.

Drugi z przybyłych mężczyzn, z dystynkcjami Obersturmbannführera i prawą ręką w gipsie, wysunął się do przodu i najpierw zlustrował mundur chłopca, a potem spojrzał mu w oczy wzrokiem absolutnie zimnym i całkowicie nieprzyjaznym. Chłopiec odniósł wrażenie, że skądś go zna, nie był jednak w stanie uzmysłwić sobie skąd. Miał pewność, że nie widział go wcześniej w Berghof, bo skrupulatnie notował sobie w pamięci twarze wszystkich wyższych oficerów, jacy tutaj bywali, lecz mimo to był dziwnie przekonany, że ich drogi musiały się już kiedyś przeciąć.

— Scharführer Fischer — z cicha powtórzył mężczyzna. — Członek Hitlerjugend?

— Tak jest, mein Obersturmbannführer.

— W jakim wieku?

— Trzynastu lat, mein Obersturmbannführer. Führer awansował mnie do stopnia Scharführera z rocznym wyprzedzeniem w uznaniu zasług oddanych jemu i Ojczyźnie.

— Rozumiem. Dowódcze stanowisko... Ale jak się jest dowódcą, to trzeba kimś dowodzić, mam rację?

— Tak jest, mein Obersturmbannführer — przyświadczył Pieter, cały czas pozostając w pozycji „baczność, na wprost patrz”.

— Tylko kim?

— Proszę wybaczyć, mein Obersturmbannführer, ale...

— Mam na myśli oddział, którym dowodzisz, kawalerze — wyjaśnił mężczyzna. — Ilu liczy członków Hitlerjugend? Dwunastu? Dwudziestu? Piętnastu?

— Poza mną nie ma członków Hitlerjugend tu w Berghof, mein Obersturmbannführer — zameldował Pieter.

— Żadnych?

— Żadnych, mein Obersturmbannführer — potwierdził chłopiec, wyraźnie zakłopotany.

Był bowiem wprawdzie dumny ze swojego stopnia, ale też wstydził się tego, że nigdy nie szkolił się ani nawet nie przebywał razem z innymi członkami organizacji, więc chociaż Führer co jakiś czas dawał mu awans i nowy tytuł, w oczywisty sposób wszystko to miało wyłącznie honorowy charakter.

— Komendant bez podkomendnych — rzucił z ironicznym uśmiechem Obersturmbannführer, zwracając się do swego współtowarzysza — Słyszał pan kiedyś o czymś takim, Herr Bischoff? Bo ja nigdy.

Pieter poczuł, że twarz mu czerwienieje i pożałował, że w ogóle wychodził do tych dwu mężczyzn. Aby się podbudować, powiedział sobie jednak w myślach, że oni kpią sobie z niego, bo pewnie po prostu mu zazdroszczą. I że on im kiedyś odplaci, jak już będzie miał realną władzę w swoich rękach.

— Karl! Ralf! — wykrzyknął Führer, który akurat w tym momencie pojawił się w drzwiach domu i ruszył schodami w dół na dziedziniec, żeby uścisnąć dłonie nowo przybyłym. — Nareszcie jesteście. Coś was po drodze zatrzymało? — zapytał z niepokojem, ale bez złości, gdyż był w wyjątkowo dobrym nastroju.

— Bardzo przepraszam, mein Führer — odezwał się Kempka, trzaskając obcasami i oddając honory. — Pociąg z Monachium do Salzburga miał opóźnienie.

— To dlaczego ty przepraszasz? — mruknął Hitler, który z obecnym kierowcą nie był w tak dobrej komitywie, jak w swoim czasie z jego poprzednikiem, na co nawet któregoś wieczoru poskarżył się Evie, a ona wtedy stwierdziła tylko tyle, że przynajmniej Kempka nigdy nie próbował go zabić. — Przecież ten pociąg nie spóźnił się przez ciebie, prawda? No, wchodźcie, panowie. Heinrich już jest, ja dołączę do was za parę minut. Pieter pokaże wam drogę do mojego gabinetu.

Chłopiec doprowadził oficerów korytarzem do właściwych drzwi, aby je w końcu im otworzyć. W środku czekał już Reichsführer Himmler, który zmusił się do uśmiechu, witając się z nimi. Pieter zauważył, że do Bischoffa jest on usposobiony względnie przyjaźnie, natomiast do jego współtowarzysza raczej niechętnie.

Kiedy zostawił ich samych i ruszył z powrotem korytarzem, spostrzegł Führera, który stał przy jednym z okien i czytał list. Podszedł do niego, stanął na baczność i zaczął trochę niepewnie:

— Mein Führer, mam nadzieję...

— O co chodzi, Pieter? Jestem zajęty — rzucił Hitler, chowając list do kieszeni.

— Mam nadzieję, że dowiodłem, jak bardzo jestem panu oddany, mein Führer — dokończył przerwane zdanie Pieter.

— Dowiodłeś, bez wątplenia. A dlaczego chciałeś, żebym to potwierdził?

— Chodzi o to, co powiedział Obersturmbannführer. Że ja mam rangę, z którą nie wiążą się żadne obowiązki.

— Przecież ty masz wiele obowiązków, Pieter. Jesteś częścią mojego życia tutaj, na górze Obersalzberg. No i uczysz się.

— Ale ja myślę, że może mógłbym być bardziej przydatny w naszych zmaganiach.

— Przydatny w jaki sposób?

— W bezpośredniej walce. Ja chciałbym walczyć, bo jestem silny, jestem zdrowy, jestem...

— Trzynastolatkiem — wszedł mu w słowo Führer, przywołując na twarz lekki półuśmiech. — Pieter, ty masz dopiero trzynaście lat. A armia to nie miejsce dla dzieci.

— Ja nie jestem już dzieckiem, mein Führer — stwierdził chłopiec, pąsowiejąc z emocji. — Mój ojciec walczył za Ojczyznę. I ja też chcę walczyć, żeby pan był ze mnie dumny i żeby moje nazwisko odzyskało honor, który został tak haniebnie splamiony.

Führer rozważał przez chwilę te jego słowa, dość ciężko przy tym oddychając. Wreszcie zapytał:

— Czy ty zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego ja cię tu zatrzymałem po tym wszystkim, co się stało?

Pieter pokręcił przecząco głową.

— Kiedy ta zdradziecka kobieta, której imienia nawet nie chcę wspominać, zapytała mnie, czy mógłbyś zamieszkać z nią w Berghof, z początku byłem sceptyczny. Nie miałem doświadczenia, jeśli chodzi o dzieci, bo jak wiesz, jestem bezdzietny. Kiedy więc pomyślałem, że ktoś tu będzie biegał po domu i plątał mi się pomiędzy nogami, wcale nie miałem ochoty się zgodzić... Ale ja zawsze miałem miękkie serce, więc się zgodziłem. I muszę ci powiedzieć, że nigdy nie żałowałem tej decyzji, bo okazałaś się dzieckiem cichym i rozmiłowanym w nauce. Gdy wyszły na jaw zbrodnie twojej ciotki, wielu podpowiadało mi, że trzeba cię odesłać albo nawet zgotować ci taki sam los, jak jej.

Pieter szeroko otworzył oczy. Ktoś sugerował, że on też powinien być rozstrzelany za spisek, jaki uknuli Beatrix i Ernst? Ale kto? Może któryś z żołnierzy? Herta lub Ange? Emma? Nie mogli ścierpieć tego, ile znaczył w Berghof. Czy w związku z tym chcieli jego śmierci?

— Ale ja powiedziałem „nie”! — kontynuował Führer, pstrykając palcami na Blondi, która podeszła i zaczęła trącać nosem jego dłoń. — Bo Pieter jest moim przyjacielem, bo Pieter dba o moje dobro, bo Pieter nigdy mnie nie zdradzi, nie zawiedzie. Mimo tego, że wywodzi się z tej nikczemnej rodziny, mimo wszystko. Powiedziałem, że zatrzymam cię tutaj, póki nie będziesz dorosły. Ale ty, Pieter, jeszcze nie dorosłeś, wciąż jesteście mały.

Chłopiec aż pobladł, usłyszawszy to ostatnie słowo, poczuł się irytująco zawiedziony i bezradny.

— Jak będziesz już starszy, to co innego, pomyślimy, co by tu dla ciebie zrobić. Ale oczywiście o wiele wcześniej wojna się skończy, bo przecież odniesiemy zwycięstwo w przyszłym roku albo niewiele później, to bardziej niż pewne. A ty na razie musisz się uczyć, bo to jest najważniejsze. Za kilka lat czeka cię jakieś ważne stanowisko w Rzeszy, tego jestem pewien.

Pieter pokiwał głową. Był rozczarowany takim obrotem spraw, ale dobrze wiedział, że lepiej nie sprzeciwiać się Führerowi ani nawet nie próbować go przekonywać, by zmienił zdanie. Widział przecież niejedną raz, jak szybko traci on panowanie nad

sobą i wpada w złość, choćby przed chwilą był dobrotliwy i spokojny. Trzasnął więc obcasami, w zwyczajowy sposób oddał honory i wyszedł przed dom, gdzie Kempka stał oparty o samochód i palił papierosa.

— Wyprostować się! — wrzasnął na niego. — Postawa!

I kierowca natychmiast się wyprostował. I przyjął postawę zasadniczą.

Pieter wrócił do domu i wszedł do kuchni, gdzie nie było akurat nikogo. Zaczął zaglądać po szafkach i szufladach, szukając czegoś do zjedzenia. Był teraz stale głodny i niezależnie od tego, jak wiele zjadł, nigdy nie miał dosyć, co Herta określiła jako typowe dla jego wieku. Gdy podniósł pokrywę pojemnika na ciasto, uśmiechnął się, bo zobaczył, że czeka tam na niego dopiero co upieczony czekoladowy biszkopt. I już miał ukroić sobie kawałek, gdy w kuchennych drzwiach stanęła Emma.

— Tylko mi dotknij tego ciasta, Pieterze Fischer, a przełożę cię przez kolano i przyleję drewnianą łyżką! — huknęła.

Pieter spojrzał na nią lodowatym wzrokiem, bo nie mógł ścierpieć, że ktoś go znowu tego dnia obraża.

— Nie myśli pani, że jestem już trochę za duży, żeby grozić mi czymś takim? — zapytał.

— Nie — burknęła, po czym odepchnęła go od ciasta i nakryła je ponownie szklanym kloszem. — W mojej kuchni masz się stosować do moich zasad. Nie obchodzi mnie, jaki ważny się czujesz. Zostało trochę kurczaka, jest w lodówce. Jak jesteś głodny, zrób sobie kanapkę.

Otworzył drzwi lodówki i zajrzał do niej. Na jednej z półek stał talerz z kurczakiem i jeszcze salaterka z farszem, i druga ze świeżo zrobionym majonezem.

— Świetnie — stwierdził i aż klasnął w dłonie z ukontentowania. — To wszystko wygląda naprawdę apetycznie. Niech mi pani zrobi kanapkę, a potem da jeszcze coś słodkiego — zarządził, po czym rozsiadł się przy stole.

Emma spojrzała na niego z ukosa i wzięła się pod boki.

— Ja nie jestem żadną twoją służącą — wybuchnęła. — Jak chcesz kanapkę, to sobie zrób. Masz dwie ręce, nie?

— Pani jest kucharką — wycedził z cicha — a ja jestem głodnym Scharführerem. Zrobi mi pani kanapkę.

Emma nie ruszyła się z miejsca, Pieter zorientował się jednak, że traci wcześniejszy rezon, uznał więc, że trzeba jeszcze trochę na nią nacisnąć.

— I to już! — wrzasnął, walnąwszy najpierw pięścią w blat stołu.

Podziałało. Kucharka, mamrocząc już tylko pod nosem, wyjęła co trzeba z lodówki i ukroiła dwie grube pajdy chleba. Kiedy kanapki były już gotowe, umieściła je na talerzu i postawiła go przed nim. A on zerknął na nią i uśmiechnął się.

— Dziękuję pani — odezwał się grzecznie. — Wyglądają smakowicie.

Patrzyła na niego w milczeniu dość długo, nim w końcu odezwała się:

— To musi być rodzinne. Twoja ciocia Beatrix też bardzo lubiła kanapki z kurczakiem. Tylko że ona sama je sobie robiła.

Pieter zacisnął zęby, poczuł narastającą w nim wściekłość. Przecież powiedział

sobie, że nigdy nie miał żadnej cioci Beatrix. Miał ją zupełnie inny chłopiec. Chłopiec o imieniu Pierrot.

— A przy okazji — rzuciła Emma, sięgając do kieszeni fartucha. — To do ciebie.

Podawała mu kopertę, a on tylko zerknął na znajomy charakter pisma i od razu, nie otwierając, oddał jej.

— Do spalenia — stwierdził. — I jakby znowu przyszło, to też.

— To od tego twojego koleżki z Paryża, nie? — zapytała, przyglądając się kopercie pod światło, jakby chciała w ten sposób odczytać tekst listu znajdującego się w środku.

— Powiedziałem, do spalenia — warknął. — Ja nie mam żadnych kolegów w Paryżu. I na pewno nie jest moim kolegą ten Żyd, który się uparł, żeby się do mnie rozpisywać, jak straszne jest teraz jego życie. Powinien być szczęśliwy, że Paryż jest niemiecki. I niech się cieszy, że wolno mu tam nadal mieszkać.

— Pamiętam, że jak tu przyjechałeś, to też tak usiadłeś przy tym stole i zacząłeś mi opowiadać o małym Anszelu — powiedziała cicho Emma. — Jak to on opiekuje się twoim pieskiem, i jak to sobie rozmawialiście na migi, i wymyśliliście dla siebie specjalne znaki. On był lisem, a ty byłeś psem i...

Pieter nie pozwolił jej dokończyć tego zdania, bo zerwał się z krzesła i wyszarpnął jej kopertę z rąk z taką siłą, że straciła równowagę, poślizgnęła się i runęła na podłogę.

— Co pani sobie wyobraża? — syknął, nawet nie próbując pomóc jej wstać. — Więcej szacunku! Nie wie pani, kim ja jestem?

— Nie wiem — wykrzyknęła roztrzęsiona. — Nie wiem, kim teraz jesteś. Ale wiem, kim byłeś.

Poczuł, że dłonie zaciskają mu się w pięści, ale zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, Führer uchylił drzwi i zajrzał do kuchni.

— Pieter! — rzucił. — Przyjdź do mnie, dobrze? Jesteś mi potrzebny.

Zerknął na Emmę, ale nie zainteresował się tym, że leży na podłodze, tylko wycofał się z obojętnym wyrazem twarzy. Pieter cisnął list w ogień.

— Nie chcę więcej dostawać tych listów — zapowiedział kucharce. — Jak jakiś znowu przyjdzie, trzeba go spalić, rozumiano? A nie wtykać mi, bo pani pożałuje — zagroził.

Po czym wziął talerz z nietkniętymi kanapkami ze stołu, podszedł do kosza na śmieci i zrzucił je do niego.

— Zrobi mi pani nowe — mruknął. — Dam znać, kiedy.

— Jak sam widzisz, Pieter — odezwał się Hitler, kiedy chłopiec wszedł do jego gabinetu — nasz Obersturmbannführer trochę się nadwerężył. Miał do czynienia z jakimś bandziorem, który zaczepił go na ulicy.

— On złamał mi rękę — rzucił oficer gwoździ wyjaśnienia, z takim spokojem, jakby to w ogóle się nie liczyło — a ja przetrąciłem mu kark.

Himmler i Herr Bischoff spojrzeli na niego od ustawionego pośrodku pokoju stołu, na którym porozkładane były liczne szkice i wykresy, i równocześnie, jak na komendę, roześmiali się.

— Tak czy inaczej nie może pisać przez jakiś czas i potrzebuje sekretarza. Dlatego siadaj, bądź cicho i notuj dla niego wszystko, co będziemy mówili. Tylko przypadkiem się nie wtrącaj.

— Tak jest, mein Führer — powiedział Pieter, który doskonale pamiętał swoje przerażenie sprzed blisko pięciu lat, kiedy w tym samym gabinecie, w obecności księcia Windsoru, odezwał się nieproszony.

Trochę nie miał odwagi ulokować się za biurkiem Führera, ale ponieważ wszyscy czterej mężczyźni zgromadzili się wokół stołu, nie miał wyboru. Zasiadł, oparł obydwie dłonie płasko na blacie i ogarnęło go niesamowite poczucie mocy, kiedy tak spoglądał na pokój, mając z obydwu stron obok siebie flagi państwa niemieckiego i partii nazistowskiej. Nie mógł się powstrzymać przed wyobrażeniem sobie, jakby to było — siedzieć tutaj i faktycznie sprawować władzę.

— Pieter, jesteś gotowy? — rzucił Hitler.

Chłopiec wyprostował się, przysunął sobie notes, odkręcił skuwkę z wiecznego pióra, które leżało na biurku, i zaczął zapisywać wszystko, co mówiono.

— Tutaj mamy proponowaną lokalizację — objaśnił Herr Bischoff, wskazując na jakieś planistyczne schematy. — Jak się pan orientuje, mein Führer, szesnaście budynków, usytuowanych w tym miejscu już wcześniej, zostało przystosowanych na nasz użytek, ale po prostu już brakuje w nich miejsca dla osadzanych tam więźniów.

— Ilu ich jest teraz? — zapytał Führer.

— Ponad dziesięć tysięcy — odparł Himmler. — W większości Polacy.

— Ten obszar — kontynuował Herr Bischoff, wskazując na teren rozciągający się wokół obozu — jest czymś, co nazywam „strefą zainteresowania”. To około czterdziestu kilometrów kwadratowych gruntu, wprost idealnego, jeśli chodzi o nasze potrzeby.

— Czy cały ten teren jest wolny? — zapytał Hitler, zakreślając go palcem na mapie.

— Nie, mein Führer — odpowiedział Herr Bischoff, kręcąc głową. — Należy do miejscowych właścicieli ziemskich i rolników. Jak sobie wyobrażam, moglibyśmy rozważyć jego wykup.

— Raczej konfiskatę — rzucił beznamiętnym tonem Obersturmbannführer. — Można go zarekwirować na użytek Rzeszy. Obecni właściciele będą musieli zrozumieć konieczność...

— Ale...

— Herr Bischoff, proszę kontynuować — polecił Führer. — Ralf ma słuszość. Teren zostanie skonfiskowany.

— Tak, oczywiście — zgodził się skwapliwie mężczyzna, którego łysą głowę, jak zauważył Pieter, pokryły w tym momencie kropelki potu. — Zatem, tutaj są sporządzone przeze mnie plany drugiego obozu.

— Ile gruntu on zajmie?

— Około sto siedemdziesiąt hektarów.

— Aż tyle? — Führer najwyraźniej był pod wrażeniem.

— Byłem tam osobiście, mein Führer — z dumą oświadczył Himmler. — Rozejrzałem się i wiem, ile musimy mieć dla naszych potrzeb.

— Oto cały mój Heinrich, zawsze lojalny i skuteczny — rzekł z uśmiechem Hitler, ująwszy na chwilę za ramiona Reichsführera, rozpromienionego z powodu pochwały.

— W projekcie przewidziałem trzysta budynków — ciągnął Herr Bischoff. — To będzie największy tego typu obóz w Europie. Żeby ułatwić pracę strażnikom...

— No dobrze, dobrze — przerwał mu Führer. — Niech mi pan raczej powie, ilu więźniów zmieści się w tych trzystu budynkach. Bo jakoś nie wydaje mi się, że zbyt wielu.

— Ależ mein Führer, te budynki są pakowne — stwierdził Herr Bischoff, rozpościerając szeroko ramiona, jakby na poparcie swoich słów. — Każdy pomieści od sześciuset do siedmiuset ludzi.

Hitler zaczął obliczać w pamięci, przymknąwszy jedno oko.

— Razem to będzie...

— Dwieście tysięcy — odezwał się Pieter zza biurka, znów nieproszony, ale tym razem Führer spojrzał na niego z aprobatą czy nawet podziwem, a nie ze złością.

— Zgadza się? — rzucił w kierunku oficerów.

— Tak jest, mein Führer — potwierdził Himmler. — Około tego.

— Znakomicie. Ralf, myślisz, że zdołasz dopilnować dwustu tysięcy więźniów?

Obersturmbannführer bez wahania kiwnął głową.

— Potraktuję to zadanie jako zaszczytny obowiązek wobec Rzeszy — stwierdził.

— I tak należy, panowie — rzekł na to Führer, wyraźnie usatysfakcjonowany. — A co z zabezpieczeniami?

— Proponuję podzielić obóz na dziewięć sektorów — odezwał się Herr Bischoff. — Tutaj są szczegółowe plany każdego z nich. Oto na przykład baraki kobiece — wskazał. — I z kolei męskie. Każdy sektor będzie otoczony kolczastymi drutami...

— Pod napięciem — dodał Himmler.

— Tak jest, mein Reichsführer, oczywiście. Kolczasty drut pod napięciem. Nikt nie zdoła się wymknąć ze swojego sektora. A na wypadek, gdyby jakimś cudem zdarzyło się to, co nie będzie możliwe, cały obóz zostanie otoczony dodatkowym pasem drutów elektrycznych. Żeby każda próba ucieczki oznaczała samobójstwo. No i oczywiście wszędzie będą wieże strażnicze, z żołnierzami gotowymi strzelać do każdego, kto próbowałby uciekać.

— A tutaj? — zapytał Führer, wskazując punkt w górnej części mapy. — Co to jest? Podpisane „sauna”.

— Proponuję urządzić specjalne komory parowe — powiedział Herr Bischoff. — Do dezynfekcji odzieży więźniów, bo mogą być na niej wszy czy jakaś inna zaraza. A nie chcemy, żeby w obozie szerzyły się choroby, prawda? Musimy mieć na względzie naszych dzielnych niemieckich żołnierzów, którzy będą pełnili tam służbę.

— Jasne — rzucił Hitler, przebiegając wzrokiem po projekcie całego kompleksu, jakby szukał czegoś szczególnego.

— Każda komora ma wyglądać jak łaźnia z prysznicami u sufitów — objaśnił Himmler. — Tylko nie woda będzie z nich leciała.

Pieter zmarszczył brwi i spojrzał znad notesu.

— Przepraszam, mein Reichsführer — odezwał się.

— O co chodzi, Pieter? — zapytał Hitler, z lekka zniecierpliwiony.

— Proszę wybaczyć, mein Führer, ale musiałem się przestyszeć — rzekł chłopiec. —

Bo te prysznice bez wody...

Wszyscy czterej mężczyźni przez parę chwil patrzyli na niego, ale żaden się nie odezwał.

— Bądź łaskaw więcej nam nie przerywać, Pieter — rzucił w końcu z cicha Führer i odwrócił wzrok.

— Bardzo przepraszam, mein Führer. Ja tylko nie chciałem zrobić błędu w tych notatkach dla Obersturmbannführera.

— Nie zrobiłeś błędu, pisz dalej. A ty, Ralf, powiedz... Przepustowość?

— Na rozruchu mniej więcej tysiąc pięćset dziennie. Ale w ciągu dwunastu miesięcy możemy podwoić tę liczbę.

— Bardzo dobrze. Nie może być zastoju, jeżeli chodzi o więźniów, konieczny jest przepływ, musimy o to konsekwentnie dbać, żebyśmy mieli pewność, kiedy wygramy wojnę, że świat, którym mamy władać, jest już oczyszczony dla naszych celów. Stworzyłeś coś pięknego, Karl.

Architekt odetchnął z ulgą i skłonił głowę.

— Dziękuję, mein Führer — powiedział.

— Pozostaje jeszcze tylko zapytać, kiedy ruszy budowa...

— Czekamy na pański rozkaz, mein Führer, możemy rozpocząć roboty jeszcze w tym tygodniu — stwierdził Himmler. — A jeśli Ralf jest tak sprawny w działaniu, jak nam się wydaje, to obóz będzie gotowy do października.

— Bez obaw, Heinrich — rzucił z cierpkim uśmiechem Obersturmbannführer. — Jakby obóz nie był wyszykowany w tym czasie, to możesz mnie w nim za karę zamknąć.

Choć Pieter był już zmęczony pisaniną, coś w tonie głosu Obersturmbannführera sprawiło, że ocknął się z odrętwienia i jakaś klapka otworzyła mu się w pamięci. Spojrzał na komendanta obozu i już wiedział, gdzie go spotkał wcześniej: przed sześciu laty na dworcu w Mannheim. Kiedy biegł tam do rozkładu jazdy, żeby sprawdzić, z którego peronu odjedzie pociąg do Monachium, zderzył się z mężczyzną w ziemistoszarym mundurze i przewrócił się na podłogę, a wtedy tamten przydepnął mu butem palce. I mógł mu złamać rękę, gdyby nie pojawiła się jego żona z dziećmi, bo wtedy zostawił go i odszedł z nimi.

— Bardzo dobrze — powtórzył Hitler, uśmiechając się i zacierając ręce. — To wielkie przedsięwzięcie, panowie, może nawet największe ze wszystkich, jakie naród niemiecki kiedykolwiek podejmował. Heinrich, rozkaz został wydany. Możesz od razu ruszać z robotami w obozie. A ty, Ralf, wracaj tam natychmiast i miej nadzór nad całą operacją.

— Tak jest, mein Führer.

Obersturmbannführer oddał Hitlerowi honory i podszedł do biurka, przy którym siedział Pieter. Stał przed nim i spojrzał na niego z góry.

— O co chodzi? — rzucił chłopiec.

— O notatki.

Podał mu notes, w którym starał się w pośpiechu zapisać to, co mówili wszyscy czterej. Obersturmbannführer zerknął na jego gryzmoły, po czym odwrócił się, powiedział „do widzenia” i opuścił gabinet.

— Też możesz już iść, Pieter — stwierdził Führer. — Jak chcesz, to pobaw się na dworze.

— Raczej pójdę do mojego pokoju i zajmę się nauką, mein Führer — mruknął chłopiec, starając się nie okazać, że w środku aż kipi ze złości po usłyszeniu tego ostatniego zdania.

Nie mógł pogodzić się z tym, jak jest traktowany: raz jako zaufany powiernik, który może zasiadać za najważniejszym biurkiem w kraju i robić notatki dotyczące projektu specjalnego Führera, a zaraz potem jak dziecko. W końcu jednak pocieszył się myślą, że może i jest jeszcze bardzo młody, ale przynajmniej wie, że nie ma sensu budować łaźni z prysznicami bez wody.

## *Przyjęcie Ewy*

Katarina zaczęła pracować u swego ojca, w sklepie z materiałami piśmiennymi, zaraz po piętnastych urodzinach. Był rok 1944. Pieter wybrał się na dół, do Berchtesgaden, żeby się z nią zobaczyć. Tym razem postanowił nie zakładać munduru Hitlerjugend, z którego był tak dumny. Ubrał się w tradycyjne skórzane spodnie do kolan i białą koszulę, pod szyją zawiązał ciemny krawat, a na nogi włożył brązowe buty. Wiedział bowiem, że Katarina, z jakiegoś trudnego do wytłumaczenia powodu, nie lubi mundurów, a nie chciał dać jej okazji do krytyki pod swoim adresem.

Krążył wokół sklepu przez prawie godzinę, zbierając się na odwagę, by wejść. Oczywiście spotykał Katarinę codziennie w szkole, ale to było co innego; natomiast dzisiaj chciał jej zadać szczególne pytanie — choć pełen był obaw co do tematu, jaki chciał poruszyć.

Gdy w końcu wszedł do sklepu, ustawiała akurat na półce oprawione w skórę notesy. Odwróciła się, a on odczuł to doskonale już sobie znane, przyprawiające go o skurcz żołądka połączenie pragnienia i rezygnacji, jakiego zawsze ostatnio doświadczał, kontaktując się z nią. Rozpaczliwie chciał, żeby go polubiła, bał się jednak, że nigdy to nie nastąpi; teraz też, kiedy zobaczyła, kto stoi w drzwiach, bez słowa znów zajęła się pracą, a uśmiech, który przelotnie pojawił się na jej twarzy, natychmiast zniknął.

— Cześć, Katarina — powiedział.

— Cześć, Pieter — rzuciła, nie patrząc w jego stronę.

— Piękny mamy dziś dzień — stwierdził. — No i Berchtesgaden jest takie piękne o tej porze roku — dodał. — A ty jesteś piękna przez cały rok — wypalił zdesperowany i natychmiast poczuł, że oblewa się pąsem od szyi po policzki. — To znaczy... — zaczął się plątać. — Miałem na myśli... że miasto jest piękne... przez cały rok... bo to piękne miasto. I ja za każdym razem... jak się tu znajdę... to jestem pod wrażeniem jego... no, jego...

Katarina ustawiła na półce ostatni notes, odwróciła się w jego stronę, spojrzała na niego dość nieufnie i podsunęła mu brakujące słowo:

— Piękna?

— Właśnie — przytaknął, zdeprymowany tym, że aż tak źle idzie mu rozmowa, do której się tak starannie przygotowywał.

— Chcesz coś kupić, Pieter? — zapytała.

— Tak. Poproszę o atrament i stalówki do wiecznego pióra.

— Jakie? — rzuciła Katarina, przemieszczając się za oszkloną ladą, aby otworzyć jedną z gablot.

— Te najlepsze. Bo będzie ich używał sam Adolf Hitler, nasz Führer!

— Ano tak — mruknęła, nie siląc się na szczególny entuzjazm. — Przecież ty mieszkasz z Führerem w Berghof. Powinieneś częściej o tym wspominać, żeby ludzie nie zapomnieli.

Pieter zmarszczył brwi. Sądził, że wspomina o tym wystarczająco często, więc zaskoczyło go to, co usłyszał z jej ust. W istocie niekiedy zastanawiał się nawet, czy powinien mówić o tym aż tyle.

— A co do stalówek, to nie chodziło mi o jakość, tylko o rodzaj — wyjaśniła. — Bo mogą być cienkie, średnie albo grube. A jak ktoś ma bardzo wyrafinowany gust, to może wypróbować supercienkie typu falcon albo stub, albo cors, albo...

— Niech będą średnie — zdecydował Pieter, uznając taki wybór za najbezpieczniejszy, bo poczuł się głupio, że nie ma pojęcia o aż takim zróżnicowaniu stalówek do wiecznego pióra.

Katarina otworzyła drewnianą kasetkę i pochyliła się nad nią.

— Ile?

— Pół tuzina.

Kiwnęła głową i zaczęła wyliczać stalówki, a on oparł się o ladę, starając się wywołać wrażenie, że robi to nonszalancko, swobodnie.

— Mógłbyś nie kłaść mi rąk na szkłe? — zapytała. — Dopiero co przetałam je do połysku.

— Oczywiście, przepraszam — powiedział i znów stanął prosto. — Chociaż ręce to ja mam zawsze czyste. Jak przystało na członka Hitlerjugend. Przecież my się szcycimy naszą dbałością o higienę.

Katarina odłożyła stalówki i spojrzała na niego tak, jakby wygłosił jakąś rewelację.

— Zaraz, zaraz — odezwała się. — To ty jesteś członkiem Hitlerjugend? Naprawdę?

— Wiadomo — zachnął się. — Przecież codziennie przychodzę w mundurze do szkoły.

— Oj, Pieter, Pieter... — rzuciła z ciężkim westchnieniem, kręcąc przy tym głową.

— Jakbyś nie wiedziała, że należę do Hitlerjugend — mruknął naburmuszony.

— Pieter, mówiłeś też o atramencie, prawda? — zmieniła temat.

— O atramencie?

— Tak, powiedziałeś, że chcesz go kupić.

— Jasne, chcę! Poproszę o sześć butelek atramentu.

— A kolor?

— Cztery butelki czarnego, dwie czerwonego.

W tym momencie brzęknął dzwonek umieszczony nad drzwiami i do sklepu wszedł mężczyzna z dostawą nowego towaru, spakowanego w trzy wielkie pudła. Katarina pokwitowała mu odbiór i zamieniła z nim kilka słów. Trzeba przyznać, że odzywała się do dostawcy tonem zdecydowanie bardziej przyjacielskim niż do kolegi z klasy.

— Nowe pióra? — zapytał Pieter, gdy tamten już sobie poszedł, nie z autentycznej ciekawości, lecz by podtrzymać rozmowę.

Starał się o to usilnie, choć zdążył już się przekonać, że prowadzenie konwersacji z dziewczyną jest czymś o wiele bardziej skomplikowanym, niż się spodziewał.

— I papier. I inne rzeczy — rzuciła Katarina.

— Nie masz tu nikogo do pomocy? — spytał ją Pieter, widząc że sama przenosi pudła w kącie sklepu i ustawia je tam starannie jedno na drugim.

— Miałam — odparła cicho, patrząc mu prosto w oczy. — Kiedyś pracowała tu bardzo miła pani imieniem Ruth. Przez prawie dwadzieścia lat, w istocie. Była dla mnie jak druga matka. Ale już jej tu nie ma.

— Nie ma jej? — rzucił Pieter, choć poczuł, że Katarina prowadzi go w tym momencie rozmowy na grząski grunt. — Dlaczego? Co się z nią stało?

— A kto to może wiedzieć — rzekła z westchnieniem. — Zabrano ją. I jej męża. I troje dzieci. I żonę jej syna. I ich dwoje dzieci. Nie mieliśmy już potem od nikogo z nich żadnych wiadomości. Ona lubiła pisać wiecznym piórem z supercienką stalówką. Bo miała bardzo subtelny, wyrafinowany gust. Inaczej niż niektórzy.

Pieter spojrział w okno, żeby na nią w tym momencie nie patrzeć. Był wściekły o to, że z niego drwi, a równocześnie pragnął jej aż do bólu. Franz, chłopak z klasy, który siedział przed nim, ostatnio zaczął się bliżej przyjaźnić z Gretchen Beffril; cała szkoła aż huczała od plotek, że całowali się na dużej przerwie, w porze obiadu, w zeszłym tygodniu. A inny chłopak, Martin Rensing, zaprosił Lenę Halle na wesele swojej starszej siostry parę tygodni temu i potem po klasie krążyły fotografie, na których widać było, jak razem tańczyli albo gdzieś w kącie sali trzymali się za ręce. Dlaczego oni mogli wyjednać sobie coś takiego u dziewcząt, a jemu Katarina wszystko zawsze tak utrudnia? Nawet teraz, kiedy patrzył w okno, widział jakąś spacerującą parę, mniej więcej w tym samym wieku, co oni. Zaśmiewali się oboje, bo chłopak, żeby rozbawić dziewczynę, kuczał i udawał małpę. Dobrze im było razem, widział to, choć sam nigdy czegoś podobnego nie doświadczył.

— To pewnie byli Żydzi? — wycedził ze złością, odwracając się znów w stronę Katariny. — Ta cała Ruth i jej rodzina. Żydzi, tak?

— Tak — potwierdziła.

I nachyliła się nad ladą, a on wtedy spostrzegł, że górny guzik jej bluzki jest prawie rozpięty i pomyślał, że mógłby tak patrzeć na nią bez końca, w milczeniu i bezruchu, czekając, aż zawieje jakiś przyjazny mu wietrzyk i rozchyli jeszcze bardziej tkaninę na jej dekolcie.

— Chciałabyś zobaczyć Berghof? — zapytał po chwili, stawiając wszystko na jedną kartę.

— Co takiego? — wykrzyknęła zaskoczona i popatrzyła na niego podejrzliwie.

— Pytam, bo w sobotę będzie tam przyjęcie. Urodzinowe przyjęcie Fräulein Braun, która jest serdeczną przyjaciółką Führera. Z udziałem wielu ważnych osobistości. No, to może byś chciała oderwać się od tutejszego nudnego życia i doświadczyć czegoś tak wspaniałego, ekscytującego?

Katarina uniosła brwi i z lekka się uśmiechnęła.

— Nie sądzę — stwierdziła.

— Oczywiście, jeśli uważasz, że nie wypada, żebyś pojawiła się sama, to twój ojciec też mógłby tam być — dodał Pieter.

— Nie — ucięła, kręcąc głową. — Ja po prostu nie chcę i tyle. Ale dziękuję ci za

zaproszenie.

— A gdzie to mógłby być twój ojciec? — spytał Herr Holzmann, który wyłonił się w tym momencie z pomieszczenia na zapleczu sklepu, wycierając dłonie umazane czarnym atramentem w ręcznik i pozostawiając na nim smugę, która przypominała kształtem Włochy.

Spostrzegłszy, że w sklepie jest Pieter, którego znali przecież niemal wszyscy mieszkańcy Berchtesgaden, zatrzymał się, wyprostował, wypiął pierś i rzekł:

— Dobry wieczór.

— Heil Hitler! — huknął Pieter, trzaskając obcasami i unosząc dłoń.

Katarina aż podskoczyła z przestachu. A Herr Holzmann odpowiedział mu takim samym gestem i hasłem, tyle że o wiele mniej wprawnie.

— To twoje stalówki i atrament — rzuciła Katarina. — Do widzenia.

Wziął od niej paczkę i wyciągnął pieniądze, żeby zapłacić i wyjść, ale Herr Holzmann powtórzył swoje pytanie:

— To gdzie mógłby być twój ojciec?

Katarina westchnęła i wyjaśniła:

— Oberscharführer Fischer zaprosił mnie, a właściwie nas oboje, na sobotnie przyjęcie w Berghof. Urodzinowe.

— To Führer ma teraz urodziny? — wykrztusił oszołomiony Herr Holzmann, szeroko otwierając oczy.

— Nie — odparł Pieter. — Jego przyjaciółka, Fräulein Braun.

— Bylibyśmy zaszczytzeni — rzekł Herr Holzmann — mogąc uczestniczyć...

— Mów za siebie, tato — przerwała mu córka.

— Katarina! — krzyknął na nią, marszcząc groźnie brwi. — Proszę wybaczyć, Oberscharführer, ale ona już mówi, zanim jeszcze pomyśli.

— Ale przynajmniej myślę, mam własne zdanie, a ty zawsze pozwalasz sobie narzucić...

— Katarina! — wykrzyknął jeszcze raz, aż czerwieniejąc z gniewu na twarzy. — Odzywaj się z szacunkiem do ojca, bo inaczej zaraz pójdiesz do swego pokoju. — Przepraszam, Oberscharführer, ale moja córka jest teraz w takim trudnym wieku.

— W takim samym jak on — mruknęła.

— Przybędziemy z największą przyjemnością — stwierdził Herr Holzmann, wzmacniając swoje zapewnienie lekkim skłonem głowy.

— Tato, przecież my nie możemy tam iść. Musimy myśleć o naszym sklepie, o klientach. Poza tym wiesz, że ja...

— Katarina, już ty się nie martw o sklep ani o klientów, ani o nic — uciszył ją ojciec. — To wielki zaszczyt dla nas, że Oberscharführer Fischer... — Herr Holzmann był tak przejęty, że nie zdołał dokończyć zdania. — To o której należy się pojawić? — zapytał po chwili, wzięwszy głęboki oddech.

— O dowolnej porze po godzinie czwartej — wyjaśnił Pieter, zadowolony z obrotu spraw, choć jednak trochę rozczarowany, że Katarina przybędzie z ojcem, a nie sama.

— Odmeldujemy się niezawodnie. A pieniądze proszę schować. I przekazać te drobiazgi Führerowi ode mnie w upominku.

— Dziękuję — powiedział z uśmiechem Pieter. — Do zobaczenia zatem, będę czekał. Do widzenia, Katarina.

Wyszedłszy ze sklepu, odetchnął z ulgą, że ma już to wszystko za sobą, a pieniądze, które mu oddał Herr Holzmann, schował sobie osobno. Bo przecież nikt w Berghof nie musi wiedzieć o tych darmowych materiałach piśmiennych — uznał.

W dniu przyjęcia Berghof zapelnili najważniejsi dygnitarze Rzeszy. Z Reichsführerem Himmlerem i Josephem Goebbelsem, ministrem propagandy, Hitler zamknął się w swoim gabinecie na prawie całe przedpołudnie, a po

krzykach, jakie dochodziły zza drzwi, Pieter poznał, że nie jest zadowolony. Wiedział z gazet, że wojna nie idzie dobrze, choćby we Włoszech. Że Scharnhorst, jeden z najważniejszych okrętów Kriegsmarine, został zatopiony w rejonie Przylądka Północnego, u wybrzeży Norwegii. A przez ostatnich kilka tygodni Brytyjczycy ustawicznie bombardowali Berlin. Kiedy więc wreszcie zaczęło się zorganizowane na wolnym powietrzu przyjęcie, notable najwyraźniej odetchnęli, że mogą wyjść na dwór w celach towarzyskich i nie muszą już tłumaczyć się w zamknięciu przed rozgniewanym Führerem.

Himmler przyglądał się innym gościom przez małe okrągłe okularki i skubał poczęstunek małymi kęskami, jak szczur. Lustrował każdego, a już zwłaszcza tych, którzy rozmawiali z Führerem, jakby był przekonany, że wszyscy bez wyjątku mówią o nim. Goebbels siedział na ustawionym na werandzie leżaku w ciemnych okularach i wystawiał twarz ku słońcu. Pieter ocenił, że wygląda jak szkielet obleczony skórą. Herr Speer, który był wcześniej w Berghof kilka razy z projektami powojennej przebudowy Berlina, robił teraz wrażenie, że wolałby znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj. Atmosfera była napięta i ilekroć Pieter spoglądał na Hitlera, widział roztrzęsionego człowieka, któremu bardzo niewiele już było trzeba, by stracił panowanie nad sobą.

Oczywiście nie spuszczał też z oczu prowadzącej do Berghof drogi — miał nadzieję, że Katarina pokaże się na niej, ale chociaż godzina czwarta nadeszła i minęła, wciąż nie było jej widać. A przecież on, żeby zrobić na niej wrażenie, założył świeży mundur i skropił się wodą po goleniu, podkradzioną z pokoju szofera Kempki.

Eva dość nerwowo przechodziła od jednej grupki gości do drugiej, przyjmując życzenia i upominki. Pieter, który był przez nią jak zwykle ignorowany, sprezentował jej na urodziny Czarodziejską górę, zakupioną za skromne oszczędności. „Ależ się postarałeś!” — rzuciła, odbierając od niego książkę, po czym odłożyła ją na ustawioną pod ścianą konsolkę i odeszła, a on pomyślał, że pewnie Herta zabierze ją stamtąd później nieprzeczytaną i odstawi na którąś z półek w bibliotece.

Wśród zgromadzonych krążyła kobieta, na którą Pieter zwrócił szczególną uwagę. Miała kamerę filmową, kierowała ją w stronę poszczególnych gości i prosiła ich, aby powiedzieli parę słów. A oni, niezależnie od tego, jak bardzo rozgadani i rozbawieni byli wcześniej, na jej widok peszyli się, jakby nie chcieli być filmowani, i odwracali się albo kryli twarze w dłoniach. Od czasu do czasu kobieta z kamerą robiła też ujęcia samego domu albo góry. Mocno go intrygowały te wszystkie jej działania. A ona w

którymś momencie podeszła do Goebbelsa i Himmlera, którzy byli akurat pogrążeni w rozmowie, ale przerwali ją natychmiast i tylko patrzyli na nią w milczeniu. Oddaliła się więc, a spostrzegłszy chłopca, który stał sam i popatrywał na biegnącą stromym zboczem góry drogę, podeszła do niego.

— Nie myślisz, żeby skoczyć, prawda? — zapytała.

— Nie, oczywiście, że nie — odparł. — Dlaczego niby miałbym myśleć o czymś takim?

— Żartowałam. Ale już poważnie ci powiem, że bardzo szykownie wyglądasz w tym swoim kostiumie.

— Przecież to nie jest kostium — zirytował się. — To mundur.

— Przecież wiem, tylko tak droczę się z tobą. Jak masz na imię?

— Pieter. A pani?

— Leni.

— A co pani robi tym tutaj? — Wskazał na kamerę.

— Kręcę film.

— Dla kogo?

— Dla każdego, kto zechce go oglądać.

— Pewnie jest pani żoną któregoś z nich — rzucił, kierując wzrok w stronę dygnitarzy.

— Wcale nie — zaprzeczyła zdecydowanie. — Oni są zainteresowani tylko sobą nawzajem, nikiem więcej.

Pieter zmarszczył brwi.

— To gdzie jest pani mąż? — zapytał.

— Nie mam męża. A co, oświadczasz mi się?

— Jasne, że nie.

— No tak, jesteś dla mnie trochę za młody. Bo ile ty masz lat, czternaście?

— Piętnaście — burknął. — I wcale się nie oświadczałem, tylko po prostu pytałem, to wszystko.

— Tak się składa, że wychodzę za mąż jeszcze w tym miesiącu.

Pieter nic na to nie powiedział, tylko znów spojrzał w dół zbocza.

— A co tam jest takiego ciekawego? — zapytała Leni, patrząc w tym samym kierunku co on. — Czekasz może na kogoś?

— Nie — zaprzeczył. — Na kogo miałbym czekać? Wszyscy, którzy się liczą, już tutaj są.

— Mogę cię sfilmować, Pieter?

Pokręcił przecząco głową.

— Jestem żołnierzem — stwierdził. — A nie aktorem.

— Gdzież tam, nie jesteś ani tym, ani tym — stwierdziła. — Jesteś tylko chłopcem ubranym w mundur. Ale przystojnym chłopcem, bez dwóch zdań. Będziesz dobrze wyglądał w filmie.

Zmierzył ją nadąsanym wzrokiem. Nie obchodził go jej film, miał jej natomiast za złe, że mówi do niego w sposób, do jakiego nie był przyzwyczajony. Czyżby nie rozumiała, jak bardzo on tu jest ważny? Już otwierał usta, żeby jej o tym powiedzieć,

kiedy spostrzegł samochód, który pokonywał właśnie ostatni zakręt pod szczytem góry i kierował się w ich stronę. Rozchmurzył się, wręcz rozpromienił, gdy zorientował się, kto w nim siedzi, i dopiero po chwili przybrał wcześniejszy wyraz twarzy.

— Teraz widzę, na co czekałeś — odezwała się Leni, unosząc kamerę i filmując auto. — Albo raczej, na kogo czekałeś.

Miał chęć wyrwać jej tę kamerę z rąk i cisnąć ją w dół zbocza, ale nie zrobił tego, tylko wygładził swoją mundurową bluzę, aby być pewnym, że dobrze leży, i ruszył na powitanie gości.

Kiedy wysiedli, skłonił się im uprzejmie i rzekł:

— Herr Holzmann, Katarina, tak strasznie się cieszę. Witajcie w Berghof.

Kiedy trochę później tego samego dnia Pieter uzmysłowił sobie, że Katarina zniknęła mu z oczu i rozglądając się za nią, wszedł do domu, zastał ją przy którymś z wiszących na ścianie obrazów. Najwyraźniej chciała się odizolować od reszty gości, zupełnie inaczej niż jej ojciec, który, korzystając z okazji, chętnie wdawał się w rozmowy z obecnymi na przyjęciu nazistowskimi notablami. Ale ponieważ był prostym człowiekiem, to oni jawnie pokpiwali sobie z tych jego prób nawiązania kontaktu i przypodobania się im. Na dodatek Herr Holzmann był tak speszony obecnością Führera, że przez cały czas trzymał się możliwie najdalej od niego. Pieter obserwował to wszystko z pewnym niesmakiem, bo nie mieściło mu się w głowie, że dorosły mężczyzna może zachowywać się na przyjęciu jak mały chłopiec.

Co do Katariny, to strasznie trudno mu było z nią rozmawiać. Nawet nie usiłowała udawać zadowolenia z tego, że się tutaj znalazła, i łatwo było się zorientować, że chce zniknąć możliwie najszybciej. Kiedy przedstawiał ją Führerowi, była pod każdym względem układna, ale na pewno nie wylękniona, czego się spodziewał.

— A więc to ty jesteś sympatią naszego młodzieńca? — rzucił Hitler, uśmiechając się z lekka i mierząc ją wzrokiem.

— Absolutnie nie — zaprzeczyła. — Chodzimy do tej samej klasy, to wszystko.

— Ależ on się w tobie wyraźnie podkochuje, to widać z daleka — rzekła filuternie Eva, która właśnie podeszła i włączyła się do rozmowy. — A nam tu nawet nie przychodziło na myśl, że on już się interesuje dziewczętami.

— My tylko się przyjaźnimy — stwierdził Pieter, oblewając się rumieńcem.

— To i tak za dużo powiedziane — sprostowała Katarina z uśmiechem.

— Tak ci się teraz wydaje — odezwał się Führer — ale ja już widzę, że między wami iskrzy. No, to niedługo będzie też płomień. I może zostaniesz Frau Fischer, co?

Katarina nic na to nie powiedziała, ale było widać, że aż kipi ze złości. Kiedy Führer i Eva odeszli, Pieter próbował wciągnąć ją w rozmowę o niektórych wspólnych kolegach z Berchtesgaden, ale nic z tego nie wyszło, bo ona najwyraźniej nie miała chęci ujawniać przed nim swoich opinii o kimkolwiek. A kiedy zapytał ją, zmieniając temat, którą z bitew, do jakich doszło dotychczas w toczącej się wojnie, uważa za swoją ulubioną, popatrzyła na niego jak na szaleńca i w końcu stwierdziła:

— Bitwę, w której zginęło najmniej ludzi.

I tak mijało to popołudnie, że on robił, co tylko mógł, aby zjednać ją sobie, a ona za każdym razem dawała mu ostrą odprawę. Pocieszał się myślą, że może to ze względu na obecność tak wielu osób, zgromadzonych na ogrodowym przyjęciu. Teraz więc, kiedy znaleźli się sam na sam w zaciszu domu, postanowił być bardziej nieustępliwy.

— Dobrze się bawisz? — zapytał.

— Nie jestem pewna, czy w ogóle jest tu ktoś, kto dobrze się bawi — odrzekła.

Zerknęła na obraz, któremu się przypatrywała.

— Nie wiedziałem, że interesujesz się sztuką — rzucił.

— Cóż, interesuję się...

— I ten obraz ci się szczególnie podoba?

Katarina pokręciła głową.

— Jest okropny — stwierdziła. — Jak wszystkie tutaj — dodała, obrzucając wzrokiem pozostałe malowidła. — Jak ktoś ma taką władzę jak Führer, to mógłby sobie wybrać z muzeów coś troszeczkę lepszego, tak sobie myślę.

Usłyszawszy jej słowa, Pieter aż osłupiał. Nie mogąc wykrztusić bodaj słowa, tylko wytrzeszczył oczy i wskazał palcem na podpis autora w dolnym prawym rogu obrazu.

— A niech to! — jęknęła Katarina, najwyraźniej zdenerwowana. — Ale trudno. — Opanowała się. — Nieważne, kto je malował. I tak są okropne.

Pieter, wciąż milcząc, ujął ją mocno za ramię, podprowadził korytarzem do swojego pokoju i zamknął drzwi.

— Co ty robisz? — krzyknęła, wrywając się.

— Ochraniam cię — stwierdził. — Nie mówi się takich rzeczy, nie rozumiesz tego? Bo można mieć kłopoty.

— Przecież ja nie wiedziałam, że to on je malował — stwierdziła, rozkładając ręce.

— Ale teraz już wiesz, więc na przyszłość nie otwieraj buzi, Katarina, póki nie będziesz dokładnie wiedziała, o czym mowa. I przestań traktować mnie z góry. Zaprosiłem cię tutaj, a to jest miejsce, którego dziewczyna taka jak ty normalnie nigdy nie miałaby okazji zobaczyć. Więc wreszcie okaż mi trochę szacunku.

Kiedy spojrzała na niego, dostrzegł w jej oczach rosnący, z najwyższym trudem opanowywany strach. Nie był pewien, czy właśnie do tego chciał ją doprowadzić.

— Nie mów do mnie w ten sposób — powiedziała z cicha.

— Przepraszam — rzucił, podchodząc do niej bliżej. — To tylko dlatego, że troszcę się o ciebie, nic więcej. Nie chcę, żeby stała ci się jakaś krzywda.

— Przecież nawet mnie nie znasz.

— Znam cię już od lat!

— Wcale mnie nie znasz.

Westchnął i stwierdził:

— No, może i nie. Ale chciałbym cię poznać, jeśli mi pozwolisz.

Zrobił jeszcze krok w jej stronę i musnął palcem jej policzek. Cofnęła się ku ścianie.

— Jesteś tak bardzo piękna — szepnął, sam zaskoczony tym, jakie słowa wypowiada.

— Przestań, Pieter. — Odwróciła twarz i próbowała przywołać go do porządku.

— Niby dlaczego? — spytał, przysuwając się tak blisko, że zapach jej perfum niemal

go oszołomił. — Przecież tego właśnie chcę!

Ujął ją dłonią za podbródek, obrócił jej twarz w swoją stronę i nachylił się, żeby ją pocałować.

— Odczep się ode mnie! — krzyknęła i odepchnęła go od siebie obydwoma rękami z taką siłą, że bezwładnie poleciał do tyłu, wpadł na krzesło i upadł w końcu na podłogę.

— Co? — sapnął skonfundowany.

— Precz z łapami ode mnie, rozumiesz?

Wyrzuciwszy z siebie te słowa, otworzyła drzwi, ale nie wyszła z pokoju, tylko patrzyła, jak on się dźwiga.

— Żadna siła mnie nie zmusi, żebym cię pocałowała, wiesz? — dodała.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Chyba nie rozumiesz, jaki to zaszczyt dla ciebie — mruknął. — Czy ty nie wiesz, kim ja jestem?

— Oczywiście, że wiem — odpowiedziała. — Chłopaczkiem w skórzanych spodenkach, który przychodzi kupić atrament do wiecznych piór Führera. Jak mogłabym nie docenić tego, ile znaczysz.

— Tego już za wiele! — warknął, wstając na równe nogi i podchodząc do niej. — Zaraz ci pokażę, na co mnie stać.

Kiedy chciał ją przytrzymać, trzasnęła go w twarz tak mocno, że pierścionek, jaki miała na palcu, przeciął mu skórę, aż pokazała się krew. Jęknął i przyłożył sobie dłoń do skaleczonego policzka. Spojrzał na nią z wściekłością, dopadł do niej i przycisnął ją do ściany.

— Myślisz sobie, że kim ty jesteś? — syknął, przybliżając twarz do jej twarzy. — Myślisz, że możesz mnie ot tak odepchnąć? Większość dziewcząt w Niemczech poszłaby po trupach, żeby być teraz na twoim miejscu.

Znów nachylił się do pocałunku, a ona tym razem nie mogła się wyrwać, ponieważ za plecami miała ścianę, a on napierał na nią całym ciałem. Usiłowała jeszcze go odepchnąć, ale nie dała rady, był za silny. Lewą ręką zaczął miętosić jej pierś przez sukienkę, a prawą zatkał jej usta, by ją uciszyć, bo próbowała wołać o pomoc. Czuł, że ona już słabnie, że niedługo nie będzie w stanie mu się opierać, więc robi z nią, co zechce. Wprawdzie jakiś przytłumiony wewnętrzny głos upominał go, by przestał, jednak inny, daleko potężniejszy, kazał mu brać to, na co ma ochotę...

I nagle jakaś niezidentyfikowana siła powaliła go znów na podłogę. Nim uświadomił sobie, co się dzieje, już leżał plackiem, a ktoś siedział mu na piersi i przyciskał mu do gardła wielki nóż do krojenia mięsa. Chciał przełknąć ślinę, ale nie odważył się, czując ostrze, które w każdej chwili mogło przeciąć mu skórę.

— Jak jeszcze raz tkniesz palcem tę biedną dziewczynę — wychrypiała Emma — to poderżnę ci gardło od ucha do ucha, nieważne, co się ze mną potem stanie. Rozumiesz mnie, Pieterze?

Nie powiedział nic, tylko przeskakiwał wzrokiem z kobiety na dziewczynę i z powrotem.

— Powiedz, że mnie rozumiesz, zaraz mi to powiedz, bo jak cię...

— Tak, rozumiem — wykrztusił.

Wtedy wstała, a on dalej leżał, przecierając sobie gardło dłonią i sprawdzając, czy na palcach nie ma przypadkiem krwi. W końcu spojrzał na Emmę z nienawiścią i odezwał się do niej z cicha:

— To był wielki błąd, tak mnie poniżyć.

— Na pewno nie aż taki jak ten, który popełniła twoja biedna ciotka, kiedy postanowiła cię przygarnąć — odparowała ostro. — I co to się z tobą porobiło, Pierrot? — zapytała, nieoczekiwanie łagodniejąc. — Byłeś takim słodkim chłopczykiem, kiedy tu przyjechałeś. Czy to naprawdę aż takie łatwe dla niewinności: dać się splugawić?

Pieter milczał. Miał ochotę ją skłąć, wyładować na niej swą wściekłość, na nich obydwu, ale coś w jej spojrzeniu, w jej twarzy, połączenie pogardy i współczucia, przywróciło mu pamięć o chłopcu, którym był niegdyś. A teraz Katarina płakała, ale on nie patrzył na nią i chciał tylko, żeby obydwie sobie poszły i zostawiły go samego.

Na wysiłek, by dźwignąć się z podłogi, zdobył się dopiero wtedy, kiedy usłyszał ich kroki dobiegające już z korytarza i słowa Katariny, która mówiła do ojca, że pora jechać. Nie wrócił jednak do gości, na wciąż trwające przyjęcie, tylko zamknął drzwi i wstrząsany lekkim dreszczem padł na łóżko, i nie wiedząc nawet do końca, z jakiego powodu, zaczął płakać.

## *Ciemność i światło*

Dom był pusty i cichy.

Porastające góry drzewa budziły się do życia z zimowego odrętwienia, a Pieter, przemierzając teren wokół rezydencji i przerzucając od niechcienia z ręki do ręki piłkę, którą kiedyś bawiła się Blondi, uzmysłowił sobie nagle, jak strasznie trudno jest mu zrozumieć, że tu, na górze, może być tak spokojnie, gdy świat tam poniżej, szarpany brutalnie od blisko sześciu lat przez jeszcze jedną niszczącą wojnę, jest właśnie ogarnięty jej finalnymi paroksyzmami.

Skończył przed dwoma miesiącami szesnaście lat, więc wolno mu było zamienić uniform Hitlerjugend na rekrucki polowy mundur w kolorze feldgrau, ale ilekroć prosił o przydział do jakiegoś batalionu, Führer zbywał go, mówiąc, że ma teraz poważniejsze sprawy na głowie. Więcej niż połowa życia minęła mu do tego czasu w Berghof i kiedy próbował myśleć o ludziach, których znał w dzieciństwie w Paryżu, to z trudem przypominał sobie ich imiona czy twarze.

Słyszał pogłoski o tym, co stało się z Żydami w całej Europie i wiedział już teraz, dlaczego ciocia Beatrix tak go przestrzegąła, kiedy pojawił się w Berghof, żeby nie opowiadał o swoim przyjacielu. Zastanawiał się, czy Anszel żyje, czy nie, czy jego matka zdołała wymknąć się z nim w bezpieczniejsze miejsce, czy wzięli z sobą D'Artagnana...

Myśl o piesku sprawiła, że cisnął piłkę ze zbocza i patrzył, jak najpierw idzie w górę, a potem opada łukiem, by wreszcie zniknąć w samym środku dość oddalonej kępy drzew.

Spoglądając w dół na drogę, przypominał sobie, jak to było, kiedy dotarł do Berghof po raz pierwszy wieczorem, wystraszony i samotny, a Beatrix i Ernst, którzy go wzięli, starali się go przekonać, że będzie tutaj bezpieczny i szczęśliwy. Aż się otrząsnął na myśl o nich, jakby chciał wyrzucić z pamięci to, co stało się z nimi, kiedy ich wydał, zadenuncjował. Skądinąd, zaczynał już jednak zdawać sobie sprawę, że to wcale nie jest takie proste.

Byli też inni. Choćby kucharka Emma, która okazywała mu taką dobroć w pierwszych latach spędzonych w Berghof, ale znieważyła go w dniu przyjęcia urodzinowego Evy Braun, więc musiał ją za to ukarać. Powiedział Führerowi, co zrobiła, tuszując fakt, że sam to spowodował, natomiast przytaczając jej słowa w taki sposób, by wyszła na zdrajczynię, i już następnego dnia żołnierze zabrali ją, nie dając jej nawet czasu na spakowanie osobistych rzeczy. Dokąd ją zabrali — nie wiedział. Płakała, idąc do samochodu, a wepchnięta na jego tylne siedzenie, skryła twarz w dłoniach w momencie odjazdu. I taką ją widział po raz ostatni. Wkrótce potem odeszła Ange, tyle że z własnej woli. Tylko Herta została.

Holzmannów też zmuszono do opuszczenia Berchtesgaden, a sklep z materiałami piśmiennymi, który ojciec Katariny prowadził przez tyle lat, został zamknięty i sprzedany. Pieter dowiedział się o tym dopiero wtedy, kiedy tam zajrzał, będąc w miasteczku, i zobaczył okna zabite deskami i wywieszkę, że wkrótce ma być otwarty w tym miejscu sklep spożywczy. Kiedy zapytał właścicielkę sąsiedniego sklepu, co stało się z Holzmannami, spojrzała na niego przenikliwie i zapytała, wskazując ruchem głowy na górę:

— Ty jesteś chłopcem, który tam mieszka, prawda?

— Zgadza się — przytaknął.

— No, to stało się przez ciebie — stwierdziła bez ogródek.

Był zbyt speszony, żeby cokolwiek powiedzieć, toteż odszedł bez słowa. Prawda była taka, że wielu rzeczy żałował, ale nie było nikogo, komu mógłby się z tego zwierzyć. Chociaż więc skrzywdził Katarinę, to jednak miał nadzieję, że ona zechce go wysłuchać i pozwoli mu na przeprosiny, i zgodzi się, by opowiedział jej o tym, jak żył przez tak długi czas, co zrobił i co widział, i że ostatecznie będzie mógł znaleźć u niej jakiś rodzaj przebaczenia.

Ale to było już niemożliwe.

Dwa miesiące wcześniej, gdy Führer zjawił się w Berghof po raz ostatni, wydawał się zaledwie cieniem człowieka, jakim był niegdyś. Zniknęła jego absolutna pewność siebie, przywódcza moc, niezachwiana wiara we własne przeznaczenie i przeznaczenie kraju. Teraz był paranoicznie podejrzliwy i wściekły, dygotał i mamrotał coś sam do siebie, krążąc po domu, a niemal każdy niespodziewany odgłos wystarczał, by doprowadzić go do furii. W którymś momencie zdemolował swój gabinet, kiedy indziej zdzielił chłopca wierzchem dłoni, gdy ten wszedł do niego, by sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Przesiadywał po nocach, mrucząc pod nosem, klnąc na swoich generałów, klnąc na Brytyjczyków i Amerykanów, klnąc na wszystkich, którym przypisywał odpowiedzialność za swój upadek. To znaczy na wszystkich z wyjątkiem siebie.

Pieter nie miał okazji się z nim pożegnać. Było po prostu tak, że pewnego ranka przyjechali całą grupą oficerowie Schutzstaffel, zamknęli się z Führerem w jego gabinecie na długą naradę, a potem on wyszedł, piniąc się z wściekłości i coś wykrzykując, a w końcu rzucił się na tylne siedzenie samochodu i zaczął wrzeszczeć na Kempkę, żeby wywiózł go z tego szczytu góry raz na zawsze, dokądkolwiek. Zaskoczona Eva musiała gonić samochód, który już ruszył z podjazdu. Kiedy Pieter widział ją po raz ostatni, nim zniknęła mu z oczu, biegła za autem Führera w dół, machając rękoma i nawołując, a jej niebieska sukienka powiewała na wietrze.

Wkrótce potem zniknęli żołnierze, więc pozostała już tylko Herta, ale i ją Pieter zastał pewnego poranka przy pakowaniu rzeczy.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał, stanąwszy w drzwiach jej pokoju.

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

— Chciałabym z powrotem do Wiednia — odpowiedziała. — Bo tam jest moja matka, mam nadzieję. Nie wiem, czy jeżdżą pociągi, ale jakoś tam dotrę.

— I co jej powiesz?

— Nic. Ja nigdy nic nikomu nie powiem o tym miejscu, Pieter. Będę milczeć. I ty bądź na tyle mądry, żeby robić to samo. Uciekaj stąd zaraz, zanim tamte armie tu przyjdą. Jesteś jeszcze taki młody. Nikt nie musi wiedzieć, co straszego tu zrobiłeś. Co myśmy wszyscy tutaj robili.

Każde jej słowo było dla niego jak cios prosto w serce, z trudem mieściło mu się w głowie, że ona z tak bezwzględny przekonaniem, wyraźnie malującym się na jej twarzy, potępia i jego, i siebie. Chwycił ją za ramię, gdy przechodziła obok, i zaczął mówić do niej szeptem, upokorzony nie mniej niż wtedy, gdy przed dziewięciu laty, pierwszego dnia po przyjeździe, miała oglądać go nagiego w wannie.

— Herta, czy będzie jakieś przebaczenie? — zapytał. — Gazety... to wszystko, o czym teraz piszą... Czy będzie dla mnie jakieś przebaczenie?

Spokojnie uwolniła swój łokieć z jego dłoni.

— Czy ty myślisz, że ja nie wiedziałam, co było planowane tutaj, na tym szczycie góry? — odezwała się. — O czym dyskutowano w gabinecie Führera? Nie będzie przebaczenia dla żadnego z nas.

— Ale ja byłem jeszcze dzieckiem — wykrztusił Pieter. — Nic nie wiedziałem, nie rozumiałem...

Pokręciła głową i ujęła jego twarz w dłonie, jak w kleszcze.

— Popatrz na mnie, Pieter — poleciła. — Popatrz na mnie.

Podniósł wzrok, w oczach miał łzy.

— Nawet nie udawaj, że nie wiedziałeś, co się tu dzieje. Miałeś oczy i uszy. I niejeden raz siedziałeś tam w gabinecie i robiłeś notatki. Wszystko słyszałeś. Wszystko widziałeś. Wiedziałeś o wszystkim. No i dobrze wiesz, za co sam jesteś odpowiedzialny.

Zawahała się przez moment, jednak musiała to powiedzieć:

— Za śmierć dwojga ludzi, którą masz na sumieniu.

Opuściła ręce, uwalniając go z uścisku, i dodała:

— No, ale jesteś jeszcze młody, masz dopiero szesnaście lat. I dość życia przed sobą, żeby jakoś przetrwać swój współdział w tym wszystkim. Tylko nigdy nie wmawiaj sobie, że nie wiedziałeś. Bo to by była najgorsza zbrodnia.

Wzięła walizkę i ruszyła z nią do drzwi. Gdy ostatni raz na nią spojrział, była obramowana słonecznym światłem, które przebijało się przez gałęzie drzew.

— I jak ty się dostaniesz na dół? — zapytał, w istocie dlatego, że nie chciał, by zostawiała go tutaj samego. — Nikogo więcej już nie ma. Ani żadnego samochodu.

— Pójdę pieszo — odpowiedziała.

I zniknęła mu z oczu.

Gazety nadal były dostarczane, gdyż miejscowi dostawcy nie mieli odwagi anulować zamówienia, obawiając się, że jeśli Führer wróci, to na nich wyładuje swój gniew. Niektórzy w Berchtesgaden wciąż jeszcze wierzyli, że wojnę da się wygrać. Inni byli gotowi przyjąć do wiadomości realia i pogodzić się z nimi. Pieter słyszał w miasteczku pogłoski o tym, że Führer i Eva ukryli się w tajnym bunkrze w Berlinie, wraz z najważniejszymi dostojnikami Partii Narodowo-Socjalistycznej, aby opracować taki

plan swego powrotu, który zapewniłby im jeszcze większą władzę niż przedtem, a krajowi wojenne zwycięstwo. I znowu, niektórzy w to wierzyli, a niektórzy nie. Ale gazety wciąż przychodziły.

Spostrzegłszy, że ostatni żołnierze przygotowują się do opuszczenia Berchtesgaden, Pieter podszedł do nich i zapytał, co on ma robić i dokąd pójść.

— Nosisz mundur, nie? — rzucił jeden z nich, mierząc go wzrokiem. — To chociaż raz zrób z tego użytek.

— Przecież Pieter w tym mundurze nie wojuje — odezwał się na to drugi. — On tylko lubi się stroić jak laleczka.

I obydwaj wybuchnęli śmiechem, a on patrzył za nimi, gdy odjeżdżali, i czuł, że jego poniżenie jest po prostu bezdenne.

Czuł się równie bezradny, jak ten mały chłopiec w krótkich spodenkach, którego niegdyś przywieziono na górę — teraz, kiedy po raz ostatni na nią wchodził.

Był sam i nie wiedział, co robić. W gazetach czytał o tym, że alianci już są w sercu Niemiec, więc zastanawiał się, kiedy wróg dotrze do niego. Na kilka dni przed końcem miesiąca nad Berghof przeleciał samolot, brytyjski bombowiec lancaster, i zrzucił dwie bomby na zbocze góry Obersalzberg. W sam dom żadna wprawdzie nie trafiła, choć niewiele brakowało, ale odłamki skał, jakie trysnęły w górę po ich wybuchu, potłukły niemal wszystkie szyby w oknach rezydencji. Pieter schronił się wewnątrz, w gabinecie Führera, i kiedy setki ostrych okruchów rozbitego szkła ze wszystkich stron poleciały ku niemu, osunął się na podłogę, twarzą w dół, krzycząc z przerażenia. Dopiero gdy całkowicie ucichł warkot samolotów, uznał, że ma już odwagę wstać i pójść do łazienki, by spojrzeć w lustro na swoje pokrwawione oblicze i obmyć je. Wystraszony, że blizny po skaleczeniach mogą mu pozostać na zawsze, przez resztę dnia starał się usunąć możliwie jak najwięcej potłuczonego szkła.

Ostatnia gazeta przyszła 2 maja i nagłówek na pierwszej stronie poinformował go o wszystkim, co chciał wiedzieć. Führer był martwy, Goebbels, ten okropny człowiek o wyglądzie kościotrupa, też, wraz z żoną i dziećmi. Eva rozgryzła kapsułkę z cyjankiem, Hitler strzelił sobie w głowę. Najgorsze było to, że przed zastosowaniem cyjanku Führer postanowił go sprawdzić, aby mieć pewność, czy naprawdę działa. Nie chciał bowiem, by Eva tylko skręcała się z bólu i w takim stanie wpadła żywa w ręce wroga. Zgodnie z jego wolą miała szybko umrzeć. Dlatego wypróbował kapsułkę na Blondi. Cyjanek podziałał, szybko i skutecznie.

Pieter nie czuł prawie nic, czytając tę gazetę. Stał przed domem i omiatał wzrokiem otaczający go pejzaż. Najpierw spojrzął w dół ku Berchtesgaden, a potem w stronę Monachium, przypominając sobie podróż pociągiem, podczas której po raz pierwszy zetknął się z członkami Hitlerjugend. A na koniec jego oczy skierowały się w stronę Paryża, miasta, w którym się urodził, ale którego się wyparł, pragnąc być kimś ważnym. Teraz nie był już Francuzem, zdawał sobie z tego sprawę. Ale nie był też Niemcem. Był nikim. Nie miał domu, nie miał rodziny i na nic nie zasługiwał.

Zastanawiał się, czy mógłby tu pozostać na zawsze. Ukryć się w górach jak pustelnik i żyć tym, co znajdzie w lesie. I może nawet już nigdy nie oglądać ludzi. „Niech sobie żyją dalej tam na dole” — pomyślał. Niech dalej walczą, wojują,

strzelają, zabijają, tylko już może niech jego w to nie wciągają. Żeby nie musiał nic mówić. Żeby nie musiał się tłumaczyć. Żeby nikt nie spoglądał mu w oczy i nie czytał z nich, co zrobił, ani nie rozpoznał w nim tego, kim się stał.

W tamtej chwili uznał, że to dobry pomysł.

## *A potem przyszli żołnierze*

To było późnym popołudniem 4 maja. Ciszę gór zaczął stopniowo przenikać basowy warkot, z początku odległy, a z czasem coraz bliższy. Gdy stał się już całkiem głośny, Pieter spojrział sprzed domu w stronę, z której dochodził, i zobaczył, że to nadjeżdża oddział żołnierzy, nie w niemieckich mundurach, tylko w amerykańskich. Jechali po niego.

Pomyślał o ucieczce do lasu, ale przecież nie było sensu uciekać ani nie było dokąd uciekać. Nie miał żadnego wyboru. Mógł tylko czekać na nich.

Wszedł z powrotem do środka i usiadł w salonie, ale słysząc, jak się zbliżają, ogarnięty nagłym strachem wybiegł, aby poszukać sobie jakiejś kryjówki. W kącie korytarza były drzwi do składziku, niewiele większego od szafy, tak niewielkiego, że z trudem zdołał się tam wcisnąć i zamknąć za sobą drzwi. Nad głową miał sznureczek i kiedy za niego pociągnął, to rozbłysnęło światło i w tej klitce zrobiło się jasno. Były tam tylko szczotki i szufelki, używane kiedyś przez pokojówki, i jakieś stare ścierki na półkach. I jeszcze coś, co kłuło go w plecy, więc sięgnął po to, by sprawdzić. Ze zdziwieniem przekonał się, że jest to książka, niedbale tam wrzucona. Spojrzął na tytuł: *Emil i detektywi*. Więc znów pociągnął za sznurek, skazując się na ciemność.

Dom wypełniły głosy. Słyszał też stukot butów, bo żołnierze chodzili tu i tam. Nawoływali się w języku, którego nie rozumiał, śmiali się i pokrzykiwali wesoło, zaglądając a to do jego pokoju, a to do pokoju Führera, a to do kwater pokojówek. Także do pomieszczenia, które kiedyś było pokojem cioci Beatrice. Słyszał, jak otwierano butelki, jak strzelały korki. I w końcu usłyszał dwie pary butów zmierzających korytarzem w jego stronę.

— A tutaj co jest? — zaciekał się jeden z amerykańskich żołnierzy.

I zanim Pieter zdążył przytrzymać drzwi, szarpnął je w swoją stronę i na oścież otworzył, gwałtownie wpuszczając do środka światło, które było tak silne, że chłopiec odruchowo zamknął oczy.

Żołnierze wrzasnęli, usłyszał szcęk odbezpieczanej przez nich broni. Otworzył oczy i zobaczył lufy skierowane w swoją stronę. Teraz on z kolei krzyknął i po chwili żołnierzy było już nie dwóch, tylko czterech, sześciu, dziesięciu, dwunastu, cała kompania z bronią wycelowaną w stronę chłopca, który krył się w ciemności.

— Nie zabijajcie mnie — błagał Pieter, kuląc się, kryjąc głowę w ramionach i pragnąc najbardziej na świecie tego, by mógł się teraz stać taki mały, że po prostu zniknąłby w nicości. — Proszę, nie zabijajcie mnie.

Zanim powiedział cokolwiek więcej, ileś rąk sięgnęło w ciemność i wyciągnęło go z powrotem do światła.

## *Chłopiec bez domu*

Spędziwszy tak wiele lat w całkowitej niemal izolacji na szczycie góry Obersalzberg, Pieter z trudem i wysiłkiem przystosowywał się do zwyczajnego życia w obozie Golden Mile Camp w pobliżu Remagen, gdzie został przewieziony bezpośrednio po zatrzymaniu. Zaraz po przybyciu, na zbiórce, dowiedział się tam, że nie jest jeńcem wojennym, skoro wojna już się skończyła, tylko należy do grupy określanej mianem „rozbrojonych sił wroga”.

— Na czym polega różnica? — zapytał mężczyzna stojący obok niego w szeregu.

— Na tym, że nie musimy przestrzegać Konwencji Genewskich — odparł jeden z amerykańskich strażników, po czym splunął na ziemię i wyjął paczkę papierosów z kieszeni mundurowej bluzy. — Dlatego nie spodziewaj się tu luksusów, frycu.

Uwięziony wraz z ćwierćmilionową rzeszą innych pojmanych żołnierzy niemieckich, już przekraczając bramy obozu, Pieter postanowił nie rozmawiać z nikim, używać tylko kilku artykułowanych dźwięków i udawać w ten sposób głuchoniemego. Sztuczka udała mu się tak dobrze, że niebawem nikt się do niego nie tylko nie odzywał, ale nawet nie spoglądał w jego stronę. Było tak, jakby nie istniał. Właśnie tego chciał.

W tym sektorze obozu, w którym się znalazł, było ponad tysiąc ludzi, od oficerów Wehrmachtu, wciąż mających tytularne zwierzchnictwo nad niższymi stopniem, po członków Hitlerjugend, także młodszych od niego, jakkolwiek wszystkich wyglądających całkiem dziecinnie zwolniono już po kilku dniach. W jego baraku stłoczono dwustu ludzi, chociaż miejsca na pryzach było ledwie dla pięćdziesięciu, dlatego w większość nocy starał się znaleźć dla siebie jakiś wolny skrawek podłogi pod ścianą, żeby wyciągnąć się tam z głową na zrolowanej kurtce, z nadzieją na parę godzin snu.

Niektórych żołnierzy, zwłaszcza tych starszych stopniem, przesłuchiowano, by zbadać, co robili w czasie wojny. Ponieważ Pieter został znaleziony w Berghof, jego również przepytowano wielokrotnie. Nadal symulował głuchotę, dlatego nie opowiadał swojej historii, tylko spisywał na papierze, jak doszło do tego, że opuścił Paryż i znalazł się pod opieką ciotki. Dowództwo zlecało powtarzanie przesłuchań i przysyłało do ich prowadzenia coraz to innego oficera, licząc na to, że w opowieści chłopca w końcu pojawi się jakaś sprzeczność, ale ponieważ zawsze przedstawiał prawdę, nie można go było na niczym przyłapać.

— A twoja ciotka? — zapytał jeden z nich. — Co się z nią stało? Nie było jej w Berghof, kiedy na ciebie tam wpadliśmy.

Pieter usiłował powstrzymać drżenie ręki, w której trzymał pióro, gdy pisał: „Ona umarła”. I nie patrzył tamtemu człowiekowi w oczy, kiedy podawał mu kartkę.

Od czasu do czasu pomiędzy uwięzionymi dochodziło do bójek. Niektórzy byli pogrążeni w rozpacz z powodu wojennej klęski, inni podchodzili do niej w bardziej stoicki sposób. Któregoś wieczoru mężczyzna, który służył w Luftwaffe, o czym świadczyła szara wełniana pilotka, jaką nosił, zaczął pomstować na Partię Narodowo-Socjalistyczną, nie oszczędzając również samego Führera, a wtedy oficer Wehrmachtu podszedł do niego, uderzył go w twarz rękawiczką i powiedział, że właśnie przez takich zdrajców jak on wojna została przegrana. Po chwili z obydwu stron posypały się ciosy i kopniaki, a już niebawem walczący dopadli do siebie i zaczęli się tłuc na podłodze, podczas gdy pozostali utworzyli wokół nich krąg i podjudzali ich okrzykami, podnieceni brutalnym widowiskiem, które wyrывało ich z obozowej stagnacji. W końcu lotnik pokonał przeciwnika, co podzieliło barak, ale obydwaj wyszli z bójki z tak poważnymi obrażeniami, że zabrano ich gdzieś, nim nastał ranek, i Pieter żadnego już więcej nie widział.

Pewnego popołudnia Pieter znalazł się w pobliżu obozowej kuchni i zorientował się, że nikt jej nie pilnuje. Wkradł się więc do środka, złapał bochenek chleba, schował go pod koszulę i wrócił z nim do baraku, gdzie skubał go sobie przez cały dzień, z ukontentowaniem napełniając brzuch nieoczekiwanym poczęstunkiem; zdążył jednak zjeść zaledwie połowę, kiedy niewiele tylko starszy od niego Oberleutnant spostrzegł, co robi, i zaczął wyrывać mu chleb. Pieter próbował mu się opierać, ale tamten był zbyt silny, więc w końcu dał za wygraną i skrył się w swoim kącie, jak zwierzę, które przebywa w tej samej klatce z silniejszym napastnikiem. Usiłował oczyścić swoją głowę ze wszystkich możliwych myśli. Całkowita wewnętrzna pustka była bowiem stanem, jakiego pragnął. Pustka i niepamięć, amnezja.

Od czasu do czasu pomiędzy barakami krążyły angielskojęzyczne gazety i ci, którzy potrafili, tłumaczyli na głos to, co było w nich napisane, aby zgromadzeni wokół nich współtowarzysze także mogli się dowiedzieć, co się dzieje w kraju po kapitulacji. Pieter usłyszał więc, że architekt Albert Speer został skazany na więzienie, zaś Leni Riefenstahl, ta kobieta z kamerą, która chciała go sfilmować w Berghof podczas przyjęcia urodzinowego Ewy, utrzymywała, że nic nie wiedziała o tym, co robili naziści, ale i tak była przetrzymywana pod kluczem zarówno przez Francuzów, jak i przez Amerykanów. Obersturmbannführer, który kiedyś przydepnął mu dłoń na dworcu kolejowym w Mannheim, a potem z ręką w gipsie przybył do Berghof, gdzie wyznaczono go na komendanta obozu śmierci, został pojmany przez aliantów. Niczego nie usłyszał na temat Herr Bischoffa, który zaprojektował ten właśnie obóz, ale dowiedział się, jak to było, kiedy otwierano bramy Auschwitz, Bergen-Belsen, Dachau, Buchenwaldu, Ravensbrück czy też takich odległych obozów jak Jasenovac w Chorwacji, Bredtvet w Norwegii albo Sjamiste w Serbii i uwalniano ocalałych więźniów, by mogli wracać do swoich domów, z których często pozostały gruzy, i do swoich najbliższych, z których nie wszyscy przeżyli wojnę. Z przejęciem słuchał ujawnianych światu szczegółów na temat tego, co działo się za obozowymi drutami, i aż drętwiał z przerażenia, usiłując objąć umysłem okrucieństwo, którego sam też był częścią. A kiedy nie mógł spać, co zdarzało się często, leżał, patrząc w sufit, i powtarzał w myślach: „Jestem winny”.

I w końcu pewnego poranka został zwolniony. Około pięciuset ludzi zgromadzono na placu apelowym, aby oznajmić im, że mogą wracać do swoich rodzin. Byli zaskoczeni i przez to podejrzewali jakiś rodzaj pułapki, kiedy już szli ku bramie. Dopiero kilometr czy dwa poza terenem obozu, gdy upewnili się, że nikt ich nie ściga, zaczęli pozbywać się napięcia i spoglądali po sobie, zakłopotani poniekąd tym swoim uwolnieniem po tylu latach spędzonych w armii, i zastanawiali się: „Co teraz mamy robić?”.

Pieter spędził kilka następnych lat, przenosząc się z miejsca na miejsce i obserwując niszczycielskie ślady wojny na twarzach ludzi i w pejzażach miast. Z Remagen udał się na północ, do Kolonii, gdzie zobaczył, jak strasznie zniszczyły to miasto bomby Royal Air Force. Gdziekolwiek się obrócił, domy były na pół zburzone, a ulice zasypane gruzem, i tylko ogromna katedra w samym sercu Domkloster stała nadal, mimo że spadło na nią niemało bomb. Z Kolonii Pieter wyruszył na zachód, do Antwerpii, gdzie znalazł sobie pracę w stoczni, która sąsiadowała z ruchliwym portem rozciągającym się wzdłuż morskiego nabrzeża, i kwaterę na poddaszu, z widokiem na rzekę Skaldę.

Znalazł też przyjaciela, co wcale nie było łatwe, gdyż inni robotnicy stoczniowi unikali go jako dziwaka i odludka, ale ten chłopak, jego rówieśnik imieniem Daniel, w jakiś sposób dzielił z nim tę odmienność i samotność. Nawet w upał, gdy wszyscy inni rozbierali się od pasa w górę i paradowali z nagimi torsami, on nosił koszulę z długimi rękawami, przez co tamci kpili sobie z niego, mówiąc, że jak będzie taki wstydlivy, to nie znajdzie sobie dziewczyny.

Od czasu do czasu szli razem na obiad albo na drinka, ale w rozmowach Daniel, tak samo jak Pieter, nigdy nie nawiązywał do swoich doświadczeń wojennych. Dopiero kiedyś, późnym popołudniem w barze, wspomniał, że akurat tego dnia byłaby trzydziesta rocznica ślubu jego rodziców.

— Byłaby? — zapytał Pieter.

— Obydwoje nie żyją — odpowiedział cicho Daniel.

— Współczuję.

— Tak samo jak moje siostry — wyszeptał Daniel, kreśląc na stole jakiś niewidoczny znak. — I mój brat.

Pieter nic na to nie powiedział, ale zrozumiał natychmiast, czemu jego przyjaciel nigdy nie zdejmuje koszuli i nosi zawsze taką z długimi rękawami. Bo ma na ręce wytatuowany numer, więc chociaż trudno mu żyć ze wspomnieniami tego, co stało się z jego rodziną, to ta niechciana „wieczna rzeczy pamiątka” zmusza go do pamiętania o tym, ilekroć na nią spojrzy.

Następnego dnia Pieter napisał list do swego pracodawcy, informując go, że rezygnuje z posady w stoczni. Wyjechał bez pożegnania.

Dotarł pociągiem do Amsterdamu i mieszkał tam przez sześć następnych lat, zmieniawszy całkowicie zajęcie, gdyż przyuczył się do zawodu nauczyciela i zaczępił się w szkole położonej niedaleko od stacji kolejowej. Nigdy nie mówił o przeszłości, miał niewielu znajomych poza pracą i spędzał większość czasu samotnie w swoim pokoju.

Aż kiedyś w niedzielne popołudnie, kiedy szedł sobie spacerkiem przez Westerpark,

zatrzymał się, aby posłuchać muzyka, który grał na skrzypcach pod drzewem i przeniósł go tą swoją grą do czasów dzieciństwa w Paryżu — do tych dawnych beztrudnych dni, kiedy chadzał z ojcem do Ogrodów Tuileries. Spory tłum słuchaczy zgromadził się wokół i kiedy skrzypek przestał na chwilę grać, chcąc przetrzeć smyczek kalafonią, bliżej podeszła młoda kobieta, by wrzucić mu kilka monet do kapelusza. Gdy odwróciła się potem, skierowała wzrok tam, gdzie stał Pieter, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, on poczuł bolesny skurcz w żołądku. Choć bowiem nie widzieli się od wielu lat, natychmiast zorientował się, kim ona jest, i nie miał najmniejszych wątpliwości, że również został przez nią z miejsca rozpoznany. Poprzednie ich spotkanie zakończyło się tym, że uciekła zapłakana z jego pokoju w Berghof, w bluzce rozdartej na ramieniu, w miejscu, gdzie szarpnął tkaninę, zanim Emma powaliła go na podłogę. Teraz bez cienia lęku w oczach podeszła i stanęła przed nim, jeszcze nawet piękniejsza niż wtedy, w latach dziewczęcych. Nie odwracała wzroku, tylko patrzyła na niego w milczeniu, jakby słowa nie były tu potrzebne, tak długo aż on, nie mogąc już tego znieść, ze wstydu spuścił głowę i zaczął wpatrywać się w ziemię. Miał nadzieję, że ona wtedy odejdzie, ale nie, twardo stała w tym samym miejscu, a kiedy ośmielił się znów na nią spojrzeć, jej twarz wyrażała tak bezdenną pogardę, że zapragnął po prostu zniknąć, rozpuścić się w powietrzu. Mógł jednak tylko odwrócić się bez słowa i ruszyć w stronę domu. Z końcem tygodnia zrezygnował z posady w szkole, zrozumiał bowiem, że wreszcie nadszedł czas, by zrobić to, co tak długo odkładał: wrócić do domu.

Miejscem, które Pieter odwiedził jako pierwsze po powrocie do Francji, był sierociniec w Orleanie. Budynek nie przetrwał wojny w całości. Podczas okupacji przejęli go Niemcy i urządzili tam swoje centrum dowodzenia, a dzieci rozpędzili na cztery wiatry. Kiedy już stało się jasne, że wojna zmierza ku końcowi, przed opuszczeniem budynku i ucieczką częściowo go zniszczyli. Ściany były na tyle mocne, że nie runął, ale jego odbudowa musiałaby pochłonąć wiele pieniędzy i nikt się nie kwapił, by znów stworzyć przystań, jaką kiedyś miały tu dzieci pozbawione rodzin.

W pomieszczeniu, które było dawniej biurem sióstr Durand, Pieter rozglądał się za oszkloną szafką, w której przechowywany był medal ich brata, ale zniknęła razem z siostrami.

Podczas pobytu w Orleanie dowiedział się natomiast, że Hugo, który tak gnębił go podczas pobytu w sierocińcu, poległ w latach wojny jako bohater. Choć miał dopiero kilkanaście lat, był w ruchu oporu i brał udział w kilku niebezpiecznych akcjach, które uratowały życie wielu ludziom, zanim wpadł w ręce okupantów, kiedy podkładał w pobliżu zajętego przez nich budynku sierocińca bombę, która miała wybuchnąć w dniu przyjazdu niemieckiego generała. Gdy postawiono go pod ścianą, nie pozwolił ponoć zawiązać sobie oczu, bo chciał do końca patrzeć na żołnierzy, którzy mieli go rozstrzelać, i na lufy ich karabinów.

Na żaden ślad Josette Pieter nie natrafił. Musiał pogodzić się z tym, że jej wojennych losów nigdy nie pozna.

Dotarłszy w końcu do Paryża, przez prawie całą pierwszą spędzoną tam noc pisał

list do kobiety mieszkającej w Lipsku. Opisał w nim szczegółowo, co zrobił w tamtą wojenną wigilię, kiedy był jeszcze chłopcem. Podkreślił, że nie spodziewa się przebaczenia, ale chce, żeby wiedziała, jak nieskończenie jest skruszony.

Od siostry Ernsta, bo to ona była adresatką, otrzymał potem krótką, uprzejmą odpowiedź, w której napisała mu, że najpierw była bardzo dumna, kiedy jej brat został kierowcą takiego wielkiego człowieka jak Adolf Hitler, a potem uznała, że splamił on honor rodziny, przygotowując zamach na Führera.

„Zrobił pan wtedy to, co powinien zrobić każdy patriota” — stwierdziła w swoim liście, który Pieter czytał, dziwiąc się temu, że chociaż czasy mogą się zmieniać, to poglądy niektórych osób pozostają niezmiennie.

Pewnego popołudnia, w kilka tygodni później, spacerując po Montmartre, natrafił na księgarnię i przystanął przed jej oknem wystawowym. Wiele lat wprawdzie minęło, odkąd przeczytał jakąkolwiek powieść — ta ostatnia to był Emil i detektywi — tu jednak coś przyciągnęło jego oko i sprawiło, że wszedł do środka, sięgnął po jedną z wystawionych książek i odwrócił ją, by spojrzeć na umieszczone z tyłu na okładce zdjęcie autora.

Tę powieść napisał Anszel Bronstein, chłopiec, który mieszkał pod nim, piętro niżej, kiedy obydwoj byli dziećmi. I chciał zostać pisarzem, o czym Pieter oczywiście pamiętał. A teraz wyglądało na to, że zdołał urzeczywistnić swoje ambicje.

Kupił książkę i przeczytał ją w dwa popołudnia, zanim trzeciego udał się do biura wydawcy, gdzie powiedział, że jest starym przyjacielem Anszela i chciałby się z nim skontaktować. Dostał adres; poinformowano go też, że prawdopodobnie zastanie teraz pisarza w domu, bo on popołudniami nigdy nie opuszcza mieszkania, tylko przesiaduje w nim, pisząc.

To było niedaleko, ale Pieter szedł bardzo powoli, gdyż obawiał się, jak może zostać przyjęty. Nie wiedział, czy Anszel będzie w stanie wysłuchać historii jego życia, czy będzie w stanie ją przełknąć, ale wiedział, że musi spróbować. Poza wszystkim, to przecież on przestał odpowiadać na listy Anszela, stwierdziwszy w tym ostatnim, że nie są już przyjaciółmi, i żeby do niego więcej nie pisał. Teraz, pukając do drzwi, nie miał nawet pewności, czy Anszel będzie go pamiętał.

Ale ja oczywiście rozpoznałem go natychmiast.

Generalnie nie lubię, jeśli ktoś do mnie przychodzi, gdy pracuję. Bo nie jest łatwo pisać powieść. Trzeba tu czasu i cierpliwości, a nawet chwilowe rozproszenie uwagi może doprowadzić do tego, że całodzienna praca pójdzie na marne. A tego popołudnia właśnie byłem w trakcie pisania ważnej sceny, więc zirytowałem się, że ktoś mi przerywa, ale wystarczył moment, bym rozpoznał mężczyznę, który stał przed moimi drzwiami i spoglądając na mnie, lekko dygotał. Minęły wprawdzie lata — a nie były one łaskawe dla żadnego z nas — ale jego rozpoznałbym wszędzie.

„Pierrot” — powiedziałem na migi, układając palce w symbol psa, dobrego i wiernego, jaki przypisałem mu, kiedy był chłopcem.

„Anszel” — odpowiedział, pokazując symbol lisa.

Staliśmy tak i patrzyliśmy na siebie przez bardzo długi, jak nam się wydawało, czas, a potem ja cofnąłem się i otworzyłem przed nim drzwi, zapraszając go do środka. Usiadł naprzeciwko mnie w moim gabinecie i zaczął rozglądać się wokół, kierując wzrok na fotografie na ścianach. Na zdjęcie mojej matki, którą widziałem po raz ostatni, kiedy wpychano ją do ciężarówki z tak wieloma spośród naszych sąsiadów, gdy żołnierze zrobili obławę na Żydów na naszej ulicy. Na zdjęcie D'Artagnana, jego pieska, mojego pieska; próbował on zaatakować jednego z hitlerowców w chwili pojmania mojej matki i został przez niego zastrzelony za swoją dzielność. I na zdjęcie rodziny, która wzięła mnie do siebie i ukryła, pomimo wiążącego się z tym ryzyka.

On długo nic nie mówił, a ja postanowiłem czekać, aż będzie gotowy. I w końcu on stwierdził, że ma historię do opowiedzenia; historię chłopca, który najpierw był przyzwoitym człowiekiem i miał serce przepełnione miłością, a potem został splugawiony przez władzę. Historię chłopca, który popełnił zbrodnię i musi z nimi teraz żyć do końca; skrzywdził ludzi, którzy go kochali, i przyczynił się do śmierci tych, którzy zawsze okazywali mu tylko dobroć; sprzeniewierzył się swemu prawu do własnego imienia i musi teraz przez resztę życia znów się go uczyć. Historię człowieka, który szukał możliwości usprawiedliwienia swoich czynów, ale na zawsze zapamiętał sobie słowa dziewczyny imieniem Herta, by nigdy nie udawał, że nie wiedział, co się dzieje, bo takie kłamstwo byłoby zbrodnią największą ze wszystkich.

„Czy pamiętasz, jak byliśmy dziećmi?” — zapytał mnie. „Ja tak samo jak ty miałem historię do opowiedzenia, ale nigdy nie potrafiłem przelać słów na papier. Mogłem mieć pomysł, ale tylko ty umiałeś znaleźć słowa. I powiedziałaś mi, że nawet jak ty napiszesz, nadal będzie to moja historia”.

„Pamiętam” — odpowiedziałem.

„A czy moglibyśmy znowu być dziećmi, jak myślisz?”

Pokręciłem z uśmiechem głową.

„Zaszło zbyt wiele, aby to było możliwe” — powiedziałem mu. „Ale możesz oczywiście opowiedzieć mi, co się wydarzyło, odkąd opuściłeś Paryż. A potem zobaczymy”.

„Opowiedzenie tej historii zajmie trochę czasu — zastrzegł Pierrot — i kiedy będziesz słuchał, to może zaczniesz mną gardzić albo nawet będziesz miał ochotę mnie zabić, ale ja mimo to opowiem ci wszystko, a ty potem zrobisz z tym, co zechcesz. Może o tym napiszesz. A może uznasz, że lepiej byłoby o tym zapomnieć”.

Usiadłem za biurkiem i odsunąłem na bok moją powieść. Była banalna w porównaniu z tym, czego miałem wysłuchać, więc pomyślałem, że zawsze przecież będę mógł do niej wrócić któregoś dnia, gdy już usłyszę to wszystko, co on ma do powiedzenia. Wyciągnąłem z szuflady niezapisany notes i nieużywane wieczne pióro, a potem odwróciłem się w stronę mojego starego przyjaciela i korzystając z tego, co było mi dane zamiast głosu — moich rąk — pokazałem trzy proste słowa, co do których byłem pewien, że je zrozumie.

„No, to zaczynamy”.

# Spis treści

## **Część 1. 1936**

Trzy czerwone plamy na chusteczce do nosa

Medal w oszklonej szafce

List od przyjaciela i list od nieznajomej

Podróż trzema pociągami

Dom na szczycie góry

Trochę mniej francuski, trochę bardziej niemiecki

Dźwięk, jakim brzmią koszmary

## **Część 2. 1937–1941**

Paczka w brunatnym papierze

Szewc, żołnierz i król

Szczęśliwe święta w Berghof

## **Część 3. 1942–1945**

Projekt specjalny

Przyjęcie Ewy

Ciemność i światło

A potem przyszli żołnierze

Chłopiec bez domu